RAPORT „DO RZECZY”

Kim jest nowy papież Leon XIV

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 20/629 12–18 MAJA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha ostro o polskiej polityce zagranicznej

DLACZEGO TRUMPOWI NIE UDAJE SIĘ ZAKOŃCZYĆ WOJNY NA UKRAINIE

Czy to fotowoltaika odpowiada za blackout w Hiszpanii?

SZOK!

Co się dzieje z Trzaskowskim?

Duże kłopoty Nawrockiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 20>
Nakład: 43 500 egzemplarzy

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w przyszłość! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Młodzi szukają prawdy na TikToku i YouTube – my tam będziemy!”

Karol Gac
SZEF PORTALU DORZECZY.PL
ORAZ PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY“

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 2d5f1223d6

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Co mówi imię Leon

Czego można się spodziewać po nowym papieżu, pierwszym Amerykaninie, Leonie XIV? Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie, chociaż najprawdopodobniej będzie to w znacznym stopniu kontynuacja pontyfikatu Franciszka. Wynika to z układu sił w kolegium kardynalskim, którego członkowie zostali nominowani w zdecydowanej większości przez poprzednika Leona. Taki wniosek można też wyprowadzić, opierając się na słowach pierwszego wystąpienia, w których to nowo wybrany papież złożył Franciszkowi hołd.

Wydaje się, że owa ciągłość będzie, niestety, dotyczyła np. stosunku do migracji. Jeszcze jako kardynał Robert Prevost pośrednio skrytykował J.D. Vance'a za jego sprzeciw wobec dotychczasowej polityki otwartych granic. Wiceprezydent USA powiedział, że „istnieje chrześcijańska koncepcja, że kochasz swoją rodzinę, a potem kochasz bliźniego, kochasz swoją społeczność, kochasz swoich współobywateli, a na koniec resztę świata. Wielu skrajnych lewicowców całkowicie to odwróciło". Były to słowa odnoszące się do lewicowej polityki migracyjnej. Vance nawiązał w ten sposób do klasycznej katolickiej nauki o porządku miłości. Co zrobił kard. Prevost? Udostępnił artykuł z lewicowego pisma „National Catholic Register", zatytułowany: „J.D. Vance się myli: Jezus nie prosi nas, abyśmy oceniali naszą miłość do innych". Niby nic, ale może być to znak zapowiadający kontynuację tej wątpliwej części dziedzictwa Franciszka. Jest to tym bardziej osobliwe, że jako augustianin kardynał powinien wiedzieć, że nauka o „ordo caritatis" wywodzi się właśnie z myśli św. Augustyna.

Znacznie trudniej przewidzieć, jak papież Leon będzie odnosił się do kwestii błogosławienia par homoseksualnych (to najnowszy pomysł Franciszka, oparty na dokumencie z 2023 r. „Fiducia Supplicans") czy zachęt Franciszka do legalizacji związków jednopłciowych (mimo braku zgody na zrównywanie ich z małżeństwami). Czy Leon podtrzyma relatywistyczną naukę swojego poprzednika na temat tego, że Bóg chce istnienia różnych religii (dokument z Abu Zabi)? Czy podobnie jak on będzie widział w muzułmanach „światłość świata"? Czy będzie angażował się w walkę ze zmianami klimatycznymi (dokumenty „Laudato si" i „Laudate Deum")? Czy podtrzyma politykę swojego poprzednika prowadzącą do ograniczania zgody na sprawowanie mszy trydenckiej („Traditionis custodes")? Niewiele wskazuje na to, by można było po nim oczekiwać jakiejkolwiek konserwatywnej kontrrewolucji. Bardziej prawdopodobne jest to, że będzie robił to samo co Franciszek, a więc wprowadzał kolejne zmiany, tyle że z mniejszym rewolucyjnym ferworem. Można się zatem choćby spodziewać, że nowy papież będzie próbował nadać jakiś sens chaotycznym i niejasnym zmianom, ogólnie nazywanym procesem synodalnym. W jaki sposób to jednak konkretnie zrobi, pozostaje zagadką.

Żaden papież nie poszedł tak daleko na drodze dostosowania Kościoła do wymogów świata jak Franciszek. Doprawdy, często trudno było odróżnić jego słowa i nauki od tego, co głosili Klaus Schwab i inni mędrcy z Davos. Jak daleko zaszedł ten proces, najlepiej pokazuje z pozoru drobny, ale znaczący fakt. Otóż jednymi z pierwszych, którzy wyrazili swój żal z powodu śmierci papieża z Argentyny, byli włoscy wolnomularze i hiszpańscy socjaliści. Ci pierwsi chwalili Franciszka za to, że jego nauka wyrażona w encyklice „Fratelli tutti" „głęboko rezonuje z zasadami wolnomularstwa". W specjalnym oświadczeniu napisali: „Wielka Loża Włoch […] przyłącza się do powszechnej żałoby z powodu śmierci papieża Franciszka, duszpasterza, który poprzez swoje nauczanie i życie ucieleśniał wartości braterstwa, pokory i dążenia do uniwersalnego humanizmu". Ci drudzy zaś ogłosili, że „Franciszek poświęcił swoje życie słabym, tym, którzy nic nie mają, tym, którzy wszystkiego potrzebują", a Kościół „musi kontynuować drogę Franciszka".

Na razie najwięcej nadziei na zmianę daje sam wybór imienia przez amerykańskiego papieża. Nie zdecydował się na imię Franciszek, ale Leon, co sugerowałoby gotowość do przewartościowania. Nie da się ukryć, że poprzedni papież noszący to imię – Leon XIII – wielokrotnie i stanowczo potępiał wszystko to, co dzisiejszy świat uznaje za osiągnięcia Franciszka. W encyklice „Humanum genus" jednoznacznie potępił wolnomularzy i ich naukę o równości różnych religii. W „Immortale Dei" przypomniał o obowiązkach państwa, z których to najważniejszym była troska o obronę i zachowanie prawdziwej religii. W „Satis cognitum" wskazał na znaczenie prawdziwej jedności Kościoła, która polega na tym, by wrócili do niego ci, którzy odeszli od prawdy katolickiej.

Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że trudno z dawnych pism Leona XIII wnosić cokolwiek na temat przyszłych działań Leona XIV, ale w obecnych czasach nawet drobne znaki nadziei się przydadzą. Tradycja katolicka sama w sobie ma pewną gravitas. Chociaż zatem większość znawców uważa, że nowy papież jest z ducha progresistą, to nie należy zapominać, że cuda się zdarzają. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

TEMAT TYGODNIA

16 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
CO SIĘ DZIEJE Z TRZASKOWSKIM?
Kto zgasił kandydata Platformy

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZAPAŚĆ NARRACYJNA

22 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
SYNDROM SZTOKHOLMSKI POLSKICH WYBORCÓW

RAPORT: NOWY PAPIEŻ

12 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JAKI BĘDZIE KOŚCIÓŁ ZA LEONA XIV?
Pierwszy papież ze Stanów Zjednoczonych

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
TO SĄ WYBORY O WSZYSTKO
Przeciw domknięciu układu Tuska

26 ŁUKASZ WARZECHA
BEZTREŚCIOWY BEŁKOT RADOSŁAWA SIKORSKIEGO

29 PIOTR CIOMPA
POLSKIE DYLEMATY ENERGETYCZNE

32 KAJA GODEK
NAJWAŻNIEJSZY WĄTEK KAMPANII

34 RADOSŁAW WOJTAS
KTOKOLWIEK WIDZIAŁ...

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
CZY HOMER BYŁ TURKIEM?
Spór o starożytne artefakty

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – MACIEJ ZEMBATY

40 PIOTR GOCIEK
MIŁOŚĆ WŚRÓD SZPIEGÓW

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, WYSTAWA, GRA

OPINIE

46 WOJCIECH GOLONKA
KTO KOGO TERAZ SZACHUJE?
Dlaczego Trumpowi nie udaje się zakończyć wojny na Ukrainie

50 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
OFIARA Z ROZUMU

HISTORIA

54 FILIP MEMCHES
„CZERWONOBRUNATNA" KONTRKULTURA ROSJI
Narodowy bolszewizm

58 ADAM HLEBOWICZ
CZŁOWIEK Z „S"

ŚWIAT

60 JAN BOGATKO
„DEMOKRACJA WALCZĄCA" W NIEMCZECH
Co oznaczałaby delegalizacja AfD

62 PIOTR WŁOCZYK
Z USA DO SALWADORU

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
TEATR NA WOJNIE Z WOJNĄ

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
CIEMNOŚĆ! WIDZĘ CIEMNOŚĆ!
Blackouty mogą się powtarzać

72 ROZMOWA Z RYSZARDEM FLORKIEM
PODSTAWĄ ROZWOJU GOSPODARCZEGO JEST RÓWNA I UCZCIWA KONKURENCJA

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (66), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2d5f1223d6

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Krzysztof Ćwik/PAP, Beata Zawrzel/REPORTER**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

List otwarty

Warszawa, 25.04.2025 r.

Pan
Szymon Hołownia,
Marszałek Sejmu RP

Szanowny Panie Marszałku,
z wielkim zainteresowaniem słuchałem Pańskiego wystąpienia na uroczystości poświęconej milenium koronacji Bolesława Chrobrego. Odnosząc się do zawartych w nim treści, chciałbym przede wszystkim podziękować Panu Marszałkowi za to, czego Pan nie powiedział:

– Dziękuję za niepowitanie przedstawicieli polskiego Episkopatu i tym samym wyraźne podkreślenie, że Polska swoim katolicyzmem nie powinna się szczycić;

– Dziękuję za niepoświęcenie ani jednego słowa tym Polakom, którzy przez ponad 120 lat zabiegali o odzyskanie wolnej i suwerennej Ojczyzny: powstańcom listopadowym, powstańcom styczniowym oraz żołnierzom pierwszej wojny światowej i zwycięskiej wojny 1920 r.;

– Dziękuję, że nie wspomniał Pan o roli Kościoła w 1000-letniej historii naszego narodu. Nareszcie znalazł się polityk, który odważnie stara się wymazać z kart historii (a przynajmniej skazać na zapomnienie) polski katolicyzm i chrześcijańskie korzenie europejskiej cywilizacji;

– Specjalnie dziękuję za pominięcie w przemówieniu Jana Pawła II, papieża, który przypominał nam i światu, skąd przychodzimy i dokąd powinniśmy zmierzać.

Mam nadzieję, że Polacy docenią odwagę i determinację, z jaką pominął Pan w swoim wystąpieniu ludzi i sprawy, o których piszę, i dadzą temu wyraz w najbliższych wyborach prezydenckich.

Z wyrazami szacunku
Wojciech Starzyński

PS „Dziękując" za to, czego Pan nie powiedział, informuję, że na mój głos w wyborach 18 maja br. nie może Pan liczyć.

O strukturze UKSW

Informacja podana przez nieocenionych „Panów G." („Do Rzeczy" nr 19/2025) wymaga ważnej korekty. Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, odwołujący się do dziedzictwa Prymasa Tysiąclecia, nie jest warszawskim odpowiednikiem KUL, czyli nie jest uczelnią kościelną, lecz państwową. Jego specyfika polega na tym, że – inaczej niż na kilku innych uniwersytetach państwowych, gdzie istnieje wydział teologiczny – ma cztery wydziały nauk kościelnych: teologiczny, prawa kanonicznego, filozofii chrześcijańskiej i studiów nad rodziną. Metropolita warszawski, wbrew temu, co często słychać również na UKSW, nie jest Wielkim Kanclerzem UKSW, lecz tych czterech wydziałów. Pozostałe wydziały uniwersyteckie nie podlegają jego jurysdykcji. Po nieszczęsnej reformie szkolnictwa wyższego zatrudnianie wykładowców pozostaje w gruncie rzeczy wyłącznie w gestii rektora. Zatrudnianie wykładowców na czterech wydziałach kościelnych powinno być konsultowane z ich Wielkim Kanclerzem, który korzysta, albo nie, z tej możliwości.

ks. prof. Waldemar Chrostowski

eprasa.pl 2d5f1223d6

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ogniowa próba Nawrockiego

PIOTR SEMKA

Gdy piszę te słowa pod koniec tygodnia, szum wokół mieszkania Karola Nawrockiego wydaje się powoli wypalać. Kandydat obywatelski PiS złożył deklarację, że przekaże lokal po Jerzym Ż. na cele charytatywne jednej z organizacji dobroczynnych. Dlaczego kandydat PiS wpadł w tak spore problemy? Wszystko wskazuje na to, że w obozie Trzaskowskiego wiedziano o sprawie od dawna i trzymano ja jako ukrytą broń. Najwyraźniej wizyta Nawrockiego w Białym Domu wywołała taką furię, że wyciągnięto zatrutą strzałę przed czasem. Wybrano dobry moment, bo dzień, kiedy Nawrocki ze swoim sztabem wracał z USA. Nikt w PiS na czas nie zorientował się, jak potencjalnie groźna to sprawa.

Zemściło się też wyznaczenie na rzecznika sztabu dziennikarki bez dogłębnego doświadczenia w polityce. Tekst oświadczenia Emilii Wierzbicki był bardzo nieprecyzyjny i otwierał furtkę do dalszych pytań. A zaraz potem, następnego dnia, Przemysław Czarnek w swoim wystąpieniu zawarł parę szczegółów, które mijały się ze słowami Nawrockiego. Obaj panowie najwyraźniej nie ustalili szczegółów sprawy. Powstało wrażenie kręcenia, choć – jak się wydaje – był to raczej efekt chaosu w sztabie po wybuchu medialnego pożaru niż złej woli Nawrockiego. Jego opowieść o próbach pomocy starszemu człowiekowi sprawia wiarygodne wrażenie. Nawrocki jako człowiek, który piął się w górę poprzez stanowiska szefa Muzeum II Wojny Światowej, a potem IPN, jako mąż i ojciec żyjący w 58-metrowym mieszkaniu niespecjalnie pasuje do przyklejanej mu gęby drapieżnika – kolekcjonera lokali. Okazane przez niego serce starszemu znajomemu rodziny stało się dla niego początkiem kłopotów, które teraz z premedytacją wykorzystuje Platforma. Ta sama partia, za której rządów w Warszawie szaleli czyściciele kamienic i w której szeregach są posiadacze parunastu mieszkań.

Logika wyborcza jest jednak bezlitosna. Za każdy błąd, szczególnie w późnej fazie kampanii, płaci się potworną cenę. Nietrudno było też przewidzieć, że gdy na Nawrockiego zwali się medialna fala insynuacji, ruszy nagonka. Co najbardziej istotne, przyłączył się do niej zdumiewająco chętnie Sławomir Mentzen. Migiem podjął wszystkie najdalej idące oskarżenia wobec kandydata PiS i wzmocnił je jeszcze zbiorowym oskarżeniem wszystkich członków PiS o złodziejstwo. Drugi najważniejszy polityk Konfederacji – Krzysztof Bosak – zachował się bardziej powściągliwie. Od razu zaznaczył, że cała sprawa nie nadaje się do żadnego śledztwa komisji sejmowej, co natychmiast zaproponował Szymon Hołownia.

Dlaczego Mentzen to zrobił? Sondaże nie dają mu większych szans na wejście do drugiej tury. To wbicie noża w plecy Nawrockiego zrazi PiS do lidera Konfederacji na długo. A przecież PiS nie zniknie, nawet jeśli Nawrocki nie wygra wyborów. Czy Mentzen liczy na jakieś modus vivendi z Platformą? Jeśli tak, to zapomina, że gdy tylko osłabnie pozycja PiS, to chór lewicowych aktywistów wezwie do delegalizacji Konfederacji zaraz za PiS. Tak wygląda polityka w krótkich spodenkach. ©℗

FOT. NBP

OSTRE CIĘCIE STÓP PROCENTOWYCH

Rada Polityki Pieniężnej pierwszy raz od października 2023 r. obniżyła w ubiegłym tygodniu stopy procentowe, z 5,75 do 5,25 proc. Decyzja może ucieszyć kredytobiorców i deweloperów, a zmartwić oszczędzających na bankowych lokatach. Prezes NBP Adam Glapiński podkreślił podczas czwartkowej konferencji prasowej, że dostosowanie stóp do obecnej sytuacji nie oznacza automatycznie rozpoczęcia cyklu obniżek. Jego zdaniem jest wątpliwe, aby RPP w czerwcu ogłosiła następną zmianę. *(jap)* ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

Miała być autostrada, a jest znowu pod górę. Taką ocenę usłyszeliśmy z okolic wierchuszki PiS po tzw. aferze kawalerkowej kandydata Karola Tadeusza. Martwią się tam szczególnie tym, że ci sami nawrockosceptycy w PiS, którzy po konwencji nabrali przekonania do kandydata, znów wrócili na pozycje sceptyczne.

Słyszeliśmy też, że panuje przekonanie, iż Karol Tadeusz, jak już zostanie prezydentem, to mocno się usamodzielni, o czym świadczyć ma fakt, że jest niechętnie nastawiony do rozmów w sprawie ewentualnego składu przyszłej kancelarii prezydenckiej. Wygląda więc na to, że dużym pałacem rządzić będą kadry z IPN.

Apropos IPN. W centrali Instytutu przy ul. Kurtyki coraz powszechniej mówi się o tym, że Nawrocki jednak przeprowadzi się na Krakowskie Przedmieście. A wtedy na porządku stanie kwestia wyboru jego następcy. Wszystko wskazuje na to, że w tym scenariuszu obecnemu reżimowi nie uda się obejść ustaw, co oznacza też, że nie uda im się przeprowadzić wyboru Machcewicza czy Dudka na nowego szefa tej placówki. Rzecz w tym, że jedynym ciałem, jakie może wskazać kandydata na następcę, jest Kolegium IPN. A tutaj przewagę mają przedstawiciele prawicy. W praktyce oznacza to, że IPN będzie zarządzał p.o. a nie PO. Polejowski. Swoją drogą też Karol.

Wracając do ewentualnego przyszłego kształtu kancelarii kandydata Karola Tadeusza – słyszeliśmy, że z ofertą pośpieszył do niego nie kto inny, jak sam Jacek Kura-Kurski. Jednak Nawrocki oświadczył, że nie zamierza korzystać z jego doświadczenia. Nie mamy pojęcia dlaczego.

Zkolei wiewiórki z okolic PO ćwierkają, że afera kawalerkowa miała być odpalona na drugą turę wyborów. Niestety, katastrofa kandydata Rafała Franciszka w serii debat tudzież wizyta Nawrockiego w Białym Domu sprawiły, że Donald się wściekł i Platforma po swą wunderwaffe sięgnęła już teraz, żeby jak najszybciej zresetować tematy kampanii już przed pierwszą turą.

Apropos tematów kampanii – niespodziewanie jednym z nich są liczne kompromitacje neo-TVP. W PeŁo dojrzewa więc myśl, by ktoś za to wszystko zapłacił. Głową, znaczy stanowiskiem. Mieliby to być neoprezes Tomasz Sygut i neoszef neo-TAI Grzegorz Sajór. Słyszeliśmy nawet, kto miałby ich zastąpić. Otóż wiewiórki ćwierkają o niejakim Marku Zającu, obecnie wiceszefie biura programowego neo-TVP.

Dla władz neo-TVPO mamy poradę: jeśli chcą koniecznie, by debatę prezydencką na Woronicza prowadziła Dorota Wysocka-Schnepf, to niech wstawią tam jej kartonową wersję. Można ją wyciąć tam, gdzie Jakubiak wycinał kartonowego Trzaskowskiego. Drogo nie było.

Zainteresowaniem wsłuchiwaliśmy się w podaną przez media opowieść szkolnej polonistki kandydata Rafała Kazimierza, która załamywała ręce nad tym, że z dobrego dziecięcia, które pisało fantastyczne eseje patriotyczne, wyrosło ladaco. Przypomniało to Panom G. historię z Zielonej Góry. Kiedyś, gdy promowali tam swoją książkę, przyszła do nich pewna miła starsza pani i powiedziała: „Ja bardzo panów chciałam przeprosić". „Za co?" – zapytali Panowie G. „Ja byłam polonistką Tomasza Lisa" – odpowiedziała zawstydzona kobieta.

Minęło już trochę czasu, bo prawie dwa tygodnie, ale musieliśmy sprawdzić dokładnie tę informację. Otóż w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji miała miejsce próba zamachu. A mianowicie Marzena Paczuska reprezentująca Andrzeja Dudę zgłosiła wniosek o odwołanie przewodniczącego Macieja Świrskiego. I – co ciekawe – wniosek uzyskał większość, ale nie była to tzw. wymagana większość. Świrskiego uratowały głosy pani Karp i samego Świrskiego.

Jednak zamach na Świra (cóż za mało wyszukana ksywka) niekoniecznie był wotum nieufności, a próbą powstrzymania zamachu szykowanego przez obecny reżim, który chce szefa KRRiT postawić przed trybunałem stanu, co oznacza zawieszenie go z automatu i paraliż Rady. Odwołanie Świra sprawiłoby, że Rada wybrałaby kogoś innego ze swojego grona na szefa, a to zapobiegłoby paraliżowi.

Tymczasem w Rumunii. Wygląda na to, że w najbliższym tygodniu kraj ten przeżyje prawdziwą polską inwazję. Spore grono posłów PiS tudzież sprzymierzonych z prawicą biznesmenów (wciąż są tacy) wybiera się tam na drugą turę wyborów prezydenckich. Plan jest prosty: zagłosować w ambasadzie w pierwszej turze wyborów polskich, a potem wieczorem cieszyć się z George'em Simionem ze zwycięstwa w drugiej rundzie wyborów rumuńskich.

Na razie wielu obawia się, że Simion zmniejszył swe szanse, bo w debacie prezydenckiej palnął, że wyrzuci z roboty pół miliona niepotrzebnych urzędników. Zamiar chlubny, ale to jednak dużo głosów. Poddajemy tę wiadomość pod rozwagę polskim kandydatom, szczególnie jednemu, który zwie się Sławomir Jerzy. On od czasu lubi powiedzieć coś słusznego, ale całkiem niepotrzebnie.

Bawiliśmy w ogrodach prezydenckich na ostatkach u prezydenta Andrzeja Sebastiana. Było ciekawie. Wypatrzyliśmy ze świata mediów nie tylko przedstawicieli konserwy, lecz także progresistów, takich jak Konrad Piasecki, Wojciech Szacki i Michał Szułdrzyński. Ale najbardziej spodobała się nam scenka z dzieckiem Pawła Szrota, które pluskało się w prezydenckiej fontannie. Do czasu. Progenitura została wyciągnięta z wody pod hasłem, że w tej właśnie sadzawce nogi maczał Marek Magierowski w upalne dni. Magierowskiego od dawna w Pałacu nie ma, ale wiadomo, co w wodzie mogło pozostać. ©℗

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 2d5f1213d6

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wizytacja

Spokojnie, to tylko kampania – tak można byłoby streścić wpis niemieckiej dziennikarki Zary Riffler o opiniach wyrażonych przez Donalda Tuska podczas spotkania z nowym kanclerzem Niemiec, Friedrichem Merzem. Z uwagi na kampanię Tusk i Merz, którzy znają się od dawna i zgadzają się we wszystkim, muszą publicznie wyrażać opinie rozbieżne. Ale Merz wie doskonale, że sprzeciw Tuska wobec wyrzucania do Polski migrantów jest tylko na użytek polskich mediów, zresztą, przypomina pani Riffler, „odrzucenia" cały czas trwają, a Polska i tak musi „odrzucanych" przyjmować, bo „istnieją stare traktaty i Polska musi ich przestrzegać". Podsumowując: nie ma żadnego problemu z Polską, jak twierdzą niektóre niemieckie media, nowy kanclerz panuje nad wszystkim, a Tusk jest i pozostanie posłuszny.

Nie jestem w stanie ocenić, na ile Zara Riffler, specjalizująca się w tematyce islamu, migracji i polityki unijnej, jest w niemieckich mediach osobą wpływową. Wydaje się jednak, że wyrażony przez nią pogląd (kto ciekaw, może sam sprawdzić – wspomniana wypowiedź pochodzi z konta @ZaraRiffler w serwisie X – 40 tys. obserwujących) nie jest w niemieckim światku odosobniony. Przebieg krótkiej wizyty nowego kanclerza w Warszawie zdaje się to potwierdzać. Pozwolił on wprawdzie wygłosić Tuskowi gołosłowne oświadczenia w sprawach takich jak reparacje czy migranci, a także zapowiedział jasno, że w żadnej z nich nie będzie dyskusji. Kwestia reparacji jest dla Niemiec zamknięta, ośrodki dla wyrzucanych z Niemiec gości, których swego czasu zaprosiła do Niemiec kanclerz Merkel, już są w Polsce budowane, nadgraniczny ośrodek przerzutowy w Niemczech też – nic do gadania.

Nie była to kurtuazyjna wizyta szefa sąsiedniego państwa w suwerennym kraju, z którym chce podtrzymać dobre, partnerskie stosunki. Była to wizyta inspekcyjna nowego zarządcy ordynacji w jednym z należących do niej folwarków. Z poklepaniem ekonoma po plecach, ale bez czynienia złudzeń, żeby sobie za dużo nie pomyślał. ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Wiązanka dla Franciszka

Czas żałoby to czas wspomnień. Warto z niego skorzystać, bo o głównych motywach pontyfikatu Franciszka wiele razy pisałem za jego życia i nieraz będzie trzeba do nich wracać. Nic bowiem nie wskazuje na to, by zakończony pontyfikat stał się jedynie epizodem we współczesnej historii Kościoła. Ale Bóg wie.

Teraz jednak, gdy trwa żałoba, warto wspomnieć o rzeczach, o których osobiście chcemy zaświadczyć Bogu i ludziom, orędując za zmarłym papieżem, jak Jezus oręduje za nami.

Chcę napisać o dwóch, które na zawsze zostaną w Kościele. Pierwsza to kanonizacja kard. Jana Henryka Newmana (1801–1890), teologa, który w czasach współczesnych najlepiej opisał Tradycję Kościoła. Kanonizacja teologa to również w pewnym sensie kanonizacja jego dzieła. A nauk błogosławionego kard. Newmana dla obrony wiary potrzebujemy dziś bardzo.

Druga to beatyfikacje ofiar komunistycznego „antyfaszyzmu". Przede wszystkim błogosławionego ks. Ludwika Lenziniego (1881–1945) i młodziutkiego błogosławionego Rolanda Riviego (1931–1945), ucznia niższego seminarium duchownego. Te zbrodnie we włoskiej Emilii-Romanii niczym – w istocie, ale nawet materialnie (tortury, strzał w tył głowy) – nie różniły się od mordów UB. Przez całe lata nie wolno było ich przypominać.

Obok włoskich stają również Franciszkowe beatyfikacje męczenników polskich – przede wszystkim ks. Stanisława Streicha (1902–1938), zamordowanego przez aktywistę KPP bohatera „Widma przyszłości" Mariana Zdziechowskiego. Franciszek dekret beatyfikacyjny ks. Streicha podpisał rok temu, samej beatyfikacji (odbędzie się za miesiąc w Poznaniu) nie dożył. Dwanaście lat temu, w 75. rocznicę męczeństwa ks. Streicha (był to czas drugiego gabinetu Tuska), Senat RP pozostawił bez rozpatrzenia uchwałę (druk senacki 309) upamiętniającą tego Księdza Jerzego II Rzeczypospolitej. Rzym miał lepszą pamięć. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O molestowaniu i zamilczaniu

W Rzymie na placu przed bazyliką św. Jana na Lateranie największe centrale związkowe zorganizowały tradycyjny koncert pierwszomajowy z udziałem włoskich gwiazd estrady. Trzej młodzieńcy z Tunezji (22–25 lat), którzy przybyli do Włoch na studia, też tam byli, ale postanowili „zaświętować" inaczej. Zaatakowali młodą Włoszkę zgodnie z północnoafrykańskim obyczajem „taharrush gamea", czyli zbiorowym molestowaniem seksualnym. Świat zachodni dowiedział się o tym rytuale 10 lat temu, gdy doszło do porażających ekscesów w Kolonii.

Sprawców ataku w Rzymie udało się schwytać. Szef włoskiego MSW zapowiedział, że zostaną wydaleni. Centrale związkowe jako organizatorzy imprezy wydały kuriozalny komunikat. Oczywiście związkowcy zdecydowanie potępili to, co się stało, ale ani słowem nie wspomnieli, skąd pochodzą sprawcy. Znany slogan postępowców mówi: „Przestępstwo nie ma narodowości". I pewnie to prawda, ale gdy przestępstwo jest emanacją osobliwej kultury, którą sprawca przywlókł ze sobą, sprawy z oczywistych powodów mają się zupełnie inaczej.

Jednak wszystko wskazuje na to, że związkowcom sprawcy, nie mówiąc o ich narodowości, nie byli do niczego potrzebni, bo wytropili prawdziwych winnych na własną rękę. To naturalnie rząd Giorgii Meloni. Dlaczego? Bo nie inwestuje w kulturę, lekceważy konieczność wprowadzenia w szkołach zajęć o afektywności, a na domiar złego nie zwalcza kultury patriarchatu, która traktuje ciało kobiety jak przedmiot. Związkowcy wezwali rząd do działań naprawczych.

Postępowcom, zawsze na barykadach walki z seksizmem i mizoginią, też odebrało mowę, gdy znany karykaturzysta Vauro, bolszewik pełną gębą, podsumował ostatnią wizytę włoskiej premier w Białym Domu. Meloni na rysunku pluje dookoła i tłumaczy, że pod językiem pozostał jej włos Trumpa. To zapewne była aluzja do słów Trumpa, że teraz wszyscy liżą go po tyłku. Chama Vaura skrytykowała jedynie pisarka Elena Loewenthal na łamach „La Stampa". Reszta postępowego salonu rechocze. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 2d5f1223d6

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

CIOS W TVP

Niektóre programy są tak złe, tak prymitywne, że nie da się ich obronić – nawet jeśli bardzo mocno by się chciało. Takim przykładem jest emitowany w TVP polityczny show „Sekielski wieczorową porą". Prowadzący, były naczelny „Newsweeka", Tomasz Sekielski, chciał być chyba polskim Jimmym Kimmelem albo Stephenem Colbertem, no ale cóż, nie wyszło.

FOT. TVP

Krytyka napływa z różnych kierunków, m.in. od Karoliny Korwin-Piotrowskiej. Pracująca aktualnie w Polskim Radiu dziennikarka zrównała z ziemią format Sekielskiego. „Po pierwszym odcinku miałam nadzieję, że program zawieszą, bo dojdą do wniosku, że na publiczną antenę za pieniądze z budżetu, w porze dobrej oglądalności dostał się program bez pomysłu i kolaudacji. Bo chyba tak wypasionego programu – scenografia, kamery, realizacja, montaż – nie pokazuje się bez kolaudacji, prawda? Odcinki są już jednak trzy. Wstydliwa to rzecz, która jest mieszanką »Tańca z gwiazdami«, »Jaka to melodia? « i »Kuby Wojewódzkiego«, okraszona plumkaniem na pianinie, dymami, ogniem, LED-ami i wizualną dyskoteką przy udziale Ryśka z »Klanu«, który mówi teksty pijanego wujka z wesela, podczas gdy jeden z lepszych dziennikarzy mówi na otwarcie programu teksty rodem ze zbioru dowcipów polskich. Sprzed dekady. Tego, kto im te teksty pisze, wsadziłabym w dyby. I chciałabym poznać tego, kogo to śmieszy" – recenzuje na Instagramie. Korwin-Piotrowska zauważa, że choć na program wydano krocie (jak na „TVP w likwidacji" przystało, prawda?), to „nie ma w tym nic – poza definicją słowa cringe". „Po co? To najważniejsze pytanie, które trzeba sobie postawić, robiąc cokolwiek. Podobno miało być lepiej, inaczej, mądrzej. Jest niestrawne disco polo uśmiechniętej Polski w LED-owej pozłotce i dymach. I strasznie to jest przykre, smutne i gorzkie. Po co ten program powstał? Poza tym, że mamy się nad czym pastwić, bo aż się prosi?" – pyta retorycznie prezenterka. Miała być czysta woda, jest mętny koktajl. Trochę podśmierdujący.

WYPADA. ALBO NIE

Ekspertka do spraw ślubów, Izabela Janachowska, która pracowała m.in. przy weselu Roksany Węgiel i Kevina Mgleja, wywołała małą aferkę. Właścicielka salonu z sukniami ślubnymi wykazała się według wielu ogromnym nietaktem. I to w dziedzinie, w której porusza się przecież jak ryba w wodzie. W czasie majówki Janachowska brała udział w weselu w podwójnej roli – organizatorki oraz gościa. Celebrytka zdecydowała się na sukienkę w kolorze czerni, co wywołało falę krytyki. Według powszechnej opinii to kolor żałobny, którego nie wypada zakładać na imprezę będącą przecież czasem wielkiej radości. Internautki oburzyły się na celebrytkę, zarzucając, że jako znawczyni tematów ślubnych popełniła tak duże faux pas. Janachowska odpowiedziała na zarzuty. Wskazała, że czarny kojarzy się z elegancją, a to, czy jest żałobny czy też nie, zależy od doboru dodatków. „Każdy kolor jest odpowiedni! Trzeba tylko dobrze dopasować dodatki, by cała stylizacja wyglądała zjawiskowo. Właściwie wszystko zależy od kontekstu, twoich własnych preferencji i oczywiście trochę od stylu wesela [...]. Jeśli mamy wątpliwości, to zawsze możemy zasięgnąć porady od znajomych. Ale przede wszystkim powinniśmy słuchać własnego gustu i intuicji" – napisała w sieci Izabela Janachowska. „Są sytuacje, kiedy czarne sukienki na wesele nie pasują i warto rozważyć wybór innego koloru. Jeśli wiesz, że para młoda i ich rodziny są przywiązane do tradycji, to lepiej postawić na jaśniejsze kolory. Czarny może być odbierany jako zbyt poważny lub nawet smutny na tak radosną okazję. Sprawdź, czy zaproszenie nie zawiera wskazówek dotyczących dress code'u. Czasem para młoda może prosić o to, by np. kolor fuksja na weselu był kolorem dominującym. Na wesele w stylu boho lub rustykalnym lepiej wybrać bardziej naturalne i jasne kolory. Czarna sukienka może nie pasować do luźniejszego, bardziej swobodnego klimatu" – podsumowała. Trudno nadążyć.

DETRONIZACJA KRÓLOWEJ?

Za nami finał 7. edycji „Sanatorium miłości". Kulminacyjnym momentem randkowego show dla seniorów był wybór królowej i króla turnusu. – Ja naprawdę nie wierzę w to, że to się dzieje – powiedziała wzruszona zwyciężczyni, odbierając koronę. Szczególne, negatywne emocje wśród pań wywołała decyzja dotycząca królowej. Triumf Urszuli nie spodobał się kilku innym kuracjuszkom, które określiły ją mianem „oszukanej królowej". – I tak np. Małgorzata stwierdziła, że rezultat głosowania jest szokujący. – To jest dla mnie absurd totalny. Nie wiem, jak to się stało. Żadna z kobiet na to nie głosowała – podkreślała z oburzeniem. Do Małgorzaty dołączyły Anna i Grażyna. – Ula będzie wesołą królową. Będzie się chichrać, chichrać, chichrać. I jeszcze raz chichrać – kpiła ta pierwsza. – No, jest ładna, jest zgrabna, ale za dużo kokietuje – dodała Grażyna. Kobieca zawiść wiecznie żywa. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ależ wyborcze emocje! Pisząc dla Was te słowa, nie znamy jeszcze wyniku konklawe nie wiemy, czy kardynałowie wybrali nowego papieża, a w tym tygodniu, w którym to czytacie, ten naród wybierze osobę prezydencką. Coś niesamowitego, takich emocji dawno nie było.

Natomiast dziś z zainteresowaniem wynikającym of kors nie z potrzeby metafizycznej bliskości z Absolutem, ale ze zwykłej humanistycznej, ludzkiej ciekawości oglądaliśmy fragmenty konklawe zakończone słowami EXTRA OMNES. Nasza pobieżna znajomość języka łacińskiego podpowiedziała nam, że omnes to może znaczyć „wszystko", a że „extra" no to po prostu extra, spoko, fajnie. Myśleliśmy więc, iż to taki komunikat: wszystko spoko, można głosować.

Ale otóż nie. Poczuliśmy się bardzo źle i ogarnął nas moralny dyskomfort, kiedy zostaliśmy uświadomieni, iż zwrot „extra omnes" oznacza, że wszyscy mają wy… jść, a zostają jedynie członkowie kolegium kardynalskiego, w dodatku ci, którzy nie skończyli 80 lat. Czyli mamy jasny dowód na ejdżyzm, ale o tym później.

To, co nas zraniło najbardziej, to to, iż papieża nie mogą wybierać osoby świeckie, niewierzące, pozostające w innych wspólnotach wyznaniowych, przedstawiciele osób uchodźczych, środowisk LGBTQ, kobiety, działacze miejscy, aktywiści środowiskowi czy edukatorzy seksualni.

Zamiast tego mamy spetryfikowane grono starszych – ale bez przesady, sami się powykluczali! xD – heteroseksualnych mężczyzn, którzy ze swojego grona wybiorą kolejnego papieża (a nie osobę papieską), która – no cóż – też będzie starszym, heteroseksualnym i do tego najprawdopodobniej białym mężczyzną. Myśleliśmy, iż za pontyfikatu Franciszka Kościół otworzy się jednak nieco szerzej, a tak naprawdę w porównaniu z konklawe sprzed 12, 120 czy 1200 lat nie zmieniło się nic :(.

No, a przed nami z kolei wybory osoby prezydenckiej. Szczerze mówiąc, to na lewicy nigdy chyba nie mieliśmy takiego bogactwa kandydatów, bo i Zandberg, i Biejat, a jak ktoś lubi uposażonych wiekowo postkomunistów, to może sobie zagłosować nawet na Senyszyn, no nie wnikamy.

W każdym razie cieszy nas to, iż każdy kandydat lewicowy może liczyć na zbliżone poparcie, iż mamy tutaj piękną egzemplifikację zasady równości – żaden z nich znacząco nie wybija się ponad pozostałych, trudno nawet założyć, że któryś z nich będzie primus inter pares (czyli najrówniejszy), raczej wszyscy będą pares (tacy sami – mamy dzisiaj jakiś taki vibe na używanie łacińskich przysłów).

Są też of kors inni kandydaci, nieco bardziej liberalni, nieco mniej, są też fashyści, na których głosować nie polecamy. A co do pozostałych, to nasza rada jest prosta: nie głosujcie, kochani, zgodnie z sumieniem, iż sumienie (chociaż of kors jest tworem teoretycznym wymyślonym przez Kościół w średniowieczu, iżby wpędzać wiernych w poczucie winy) może wam podpowiadać różne dziwne rzeczy i potem niespokojnie się śpi.

Zagłosujcie więc tak, iżby nie było wstydu przed Europą i żeby Was się potem nie wstydzili w przyzwoitym towarzystwie xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Komórka

Karol, pewien jesteś, że nie masz już żadnych innych mieszkań?
No przecież chyba wiem, Paweł, ile mam mieszkań.

Miesiąc temu też tak mówiłeś.
Oj, dobrze już, nie bądźmy drobiazgowi. Wyleciało mi z głowy i tyle.

Czyli nie masz?
A komórka się liczy?

Jaka komórka?
No… Taka na narzędzia, szpargały, takie tam. Na działce.

Duża?
Nie, jaka tam duża… Zaraz duża. 350 metrów, raptem sześć pokojów.

Sześć… Na litość…
Aha, i sauna jeszcze jest. Ale malutka! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wojna PiS-u z państwem polskim, z polskim narodem […] trwa. Tylko czekają, żeby wziąć was pod but".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na swoim kanale na YouTube*

eprasa.pl 2d5f1223d6

Jaki będzie Kościół za Leona XIV?

Paweł Chmielewski z Watykanu

Leonowi XIV należy się od katolików duży kredyt zaufania – jak każdemu nowemu papieżowi. Wiele wskazuje jednak na to, że będzie kontynuował zasadnicze elementy pontyfikatu Franciszka, jakkolwiek w dalece bardziej umiarkowanym stylu

Kiedy w czwartek 8 maja Kolegium Kardynałów wybierało 69-letniego kard. Roberta Prevosta na kolejnego papieża, stałem wśród tłumu zgromadzonego na placu św. Piotra. Na biały dym ludzie zareagowali oczywiście z wielkim entuzjazmem, ale nazwisko amerykańskiego purpurata nieco ostudziło emocje. Amerykanin papieżem? To wydawało się nieprawdopodobne dla większości dziennikarzy, a zwykli Włosi liczyli na papieża z Italii.

Sam czekałem na biały dym z dużym niepokojem. Spodziewałem się, że na konklawe dominować będzie frakcja progresywna, która wejdzie w sojusz z technokratycznie nastawioną grupą kardynałów kurialnych. Stawiałem na kard. Jeana-Marca Avelina z Marsylii, który jest wielkim orędownikiem migracji i synodalności, jakkolwiek nie angażował się wcześniej w ostre spory doktrynalne i moralne. Ten wybór, sądziłem, progresistom zapewniłby możliwość kontynuowania ich rewolucji ideowej, z drugiej strony pozwalając na „uspokojenie” sytuacji w samym Watykanie, bardzo napiętej po pełnym ekscentryzmu pontyfikacie Franciszka. Kiedy usłyszałem, że kardynałowie wybrali Prevosta, pomyślałem, że oprócz nazwiska i pochodzenia… zgadza się wszystko. Nowy papież jest człowiekiem z jednej strony jednoznacznie bergogliańskim, z drugiej – nastawionym na konsensus i stabilizację funkcjonowania Stolicy Apostolskiej. Europejscy i amerykańscy progresiści mogą być zadowoleni: przez najbliższe lata Watykan prawdopodobnie nie będzie im robić problemów.

PROGRAM KONTYNUACJI

Robert Prevost urodził się w Chicago. Jego ojciec miał pochodzenie włosko-francuskie, matka – hiszpańskie. Sam Prevost bardzo szybko wyjechał ze Stanów Zjednoczonych na studia do Rzymu, później jako misjonarz do Peru.

Zawołaniem biskupim Leona XIV są słowa: „In Illo uno unum”, co można przetłumaczyć jako: „Jedność w Chrystusie” FOT. IPA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

To właśnie w tym latynoskim kraju miał pozostać na wiele lat, najpierw jako zakonnik augustianin, później już jako biskup diecezji Chiclayo. Wybór kard. Prevosta jest zatem wyraźnym ukłonem Kolegium Kardynalskiego w stronę krajów globalnego Południa, jednak z zachowaniem „pakietu kontrolnego” – Leon XIV pomimo długoletniego posługiwania w Peru został intelektualnie ukształtowany na Zachodzie. W du-

eprasa.pl 2d5f1223d6

żej mierze mamy do czynienia z powtórką tego, co stało się w 2013 r., kiedy na konklawe wybrano Argentyńczyka Jorge Maria Bergoglia. Papież Franciszek, Latynos z krwi i kości, obeznany z teologią wyzwolenia i społecznymi problemami krajów Ameryki Łacińskiej, był zarazem zafascynowany francuską i niemiecką teologią powojenną. Dzięki temu podczas swojego pontyfikatu mógł szybko porozumieć się z wiodącymi ośrodkami myśli progresywnej, co skutkowało ogłoszeniem takich dokumentów jak „Amoris laetitia" i „Fiducia supplicans", głęboko zmieniających nauczanie moralne Kościoła. Leon XIV z balkonu bazyliki św. Piotra nie mówił nic na temat doktryny, moralności czy konieczności zachowywania jedności w wierze. Jego orędzie stanowiło jednak czytelną i jasną deklarację priorytetów, które będzie stawiać sobie jako papież. To pokój, inkluzywność, dialog oraz synodalność. Odwołał się aż dwukrotnie do papieża Franciszka, dziękując mu za jego posługę. Nie ma wątpliwości – to program kontynuacji, choć pozbawionej ostentacyjnej skromności poprzednika.

Jak doszło do tego wyboru? Watykaniści zwracali uwagę na Roberta Prevosta już od dłuższego czasu jako na człowieka, który łączy różne światy. Augustianin, Amerykanin, Peruwiańczyk… Osobiście

eprasa.pl 2d5f1223d6

słyszałem w Rzymie, że jego kandydatura była dyskutowana przez kardynałów podczas rozmów, które toczono w dniach poprzedzających konklawe. Nazwisko nowego papieża nie padało nigdy wśród głównych papabili, wskazywano raczej, że to kandydat „drugiego" wyboru. Według snutych scenariuszy gdyby się okazało, że frakcja kurialno-dyplomatyczna nie jest w stanie przeforsować Pietra Parolina, a progresiści nie mają większych szans na to, by obsadzić tron św. Piotra osobą Mattea Zuppiego, wtedy do gry weszliby ludzie „z drugiego szeregu". Wśród nich wymieniano również Prevosta. Kardynał z Ameryki został wybrany w czwartym głosowaniu. To bardzo szybko, co wskazuje, że już przed konklawe faktyczna pozycja głównych papabili, jak Parolin i Zuppi, musiała zostać poważnie zachwiana, dlatego po kandydatów „rezerwowych" sięgnięto wcześnie. Dlaczego elektorów przekonał akurat Robert Prevost, a nie jacyś inni, podobni mu światopoglądowo kardynałowie, wiedzą tylko oni sami – i Pan Bóg. Można jednak przedstawić wiele racjonalnych argumentów, które pozwolą zrozumieć tę decyzję. Musimy mieć w pamięci, że większość Kolegium Kardynalskiego to byli ludzie wybrani przez papieża Franciszka, w ten czy inny sposób przekonani do konieczności wprowadzania trwałych zmian po pontyfikach Jana Pawła II i Benedykta XVI, uznawanych za nazbyt „konserwatywne".

CHARAKTERYSTYCZNE DECYZJE

Na przykład amerykańskość papieża. Wydaje się na pierwszy rzut oka poważnym obciążeniem, bo zdaje się nazbyt łączyć osobę następcy św. Piotra z największym światowym imperium. Stanami Zjednoczonymi rządzi dziś jednak republikanin Donald Trump, a Robert Prevost jest zdecydowanym krytykiem jego administracji, przynajmniej w obszarze problematyki migracyjnej. Tylko w ostatnich miesiącach na swoim koncie w serwisie X publikował materiały bardzo negatywnie oceniające wypowiedzi oraz posunięcia zarówno Donalda Trumpa, jak i jego wiceprezydenta, J.D. Vance'a. Ta postawa jest zrozumiała nie tylko w kontekście posługi w Peru, lecz także związków i relacji personalnych w ramach episkopatu Stanów Zjednoczonych.

W styczniu 2023 r. papież Franciszek zdecydował, że Robert Prevost, już wcześniej włączany przez niego do różnych urzędów Kurii Rzymskiej, obejmie jedno z najważniejszych stanowisk w Watykanie: Dykasterię do spraw Biskupów. Prefekt tej dykasterii jest tym człowiekiem, który w porozumieniu z papieżem podejmuje decyzje dotyczące nominacji biskupich na całym świecie. Z tego powodu ma gigantyczny wpływ na profil globalnego episkopatu, a co za tym idzie – na kształt i przyszłość Kościoła. Za prefektury Prevosta w Stanach Zjednoczonych zapadły tymczasem bardzo charakterystyczne decyzje. Po pierwsze, w listopadzie 2023 r. papież Franciszek podjął decyzję o usunięciu z diecezji Tyler w Teksasie konserwatywnego biskupa Josepha Stricklanda, który często krytykował różne decyzje Franciszka. Prevost teoretycznie nie musiał być w to osobiście zaangażowany, bo o wszystkim mógł przesądzić sam papież, ale trudno zakładać, by z racji na swój urząd aktywnie oponował przeciw planom papieża.

Po drugie, w styczniu 2025 r. Franciszek nominował nowym arcybiskupem Waszyngtonu skrajnie progresywnego kardynała – Roberta McElroya. To człowiek, którego agenda kościelna jest niemal całkowicie zbieżna z niemiecką „drogą synodalną": popiera rewolucję odnośnie do homoseksualizmu, zasad udzielania Komunii Świętej, roli kobiet w Kościele. Prevost tę decyzję po prostu firmował, tym bardziej że dotyczyła najważniejszej diecezji Ameryki, jego ojczystego kraju. W kolejnych tygodniach pojawiły się też w Ameryce nominacje dla kilku biskupów, którzy wyszli spod skrzydeł bardzo liberalnego metropolity Chicago, Blas'a Cupicha, znanego przeciwnika tradycyjnej Mszy św. i jednego z głównych architektów koncyliacyjnego podejścia Kościoła do prezydenta Joe Bidena.

Nie musi to jednak koniecznie oznaczać, że Leon XIV będzie jako papież gorliwym krytykiem prezydentury Trumpa. Sprawa imigracji – a dotąd tylko do niej ograniczał swoje komentarze polityczne – to z perspektywy Kościoła tylko jedna kwestia. Owszem, istotna, ale wcale nie najważniejsza. Obiektywnie większy priorytet mają takie zagadnienia jak ochrona życia ludzkiego od poczęcia aż do śmierci czy antropologia, tzn. sposób patrzenia na człowieka: czy to istota obdarzona godnością i otwarta na Boga czy też tylko zlepek materii, którą może kontrolować sztuczna inteligencja? To właśnie odpowiedzi na te pytania wyznaczą przyszłość naszej cywilizacji, a będzie ich udzielać również Donald Trump. Być może między nim a Leonem XIV zapanuje tu jakaś wspólnota działań; to pokaże dopiero przyszłość.

ROBERT PREVOST A LGBT

Jednym z najbardziej polaryzujących obszarów jest oczywiście podejście do tematyki LGBT. Czytelnicy tygodnika „Do Rzeczy" zdążyli już pewnie się zapoznać z różnymi wypowiedziami papieża Leona XIV, które wygłaszał jako kardynał i biskup w minionych latach. Można np. spotkać się z jego słowami krytycznymi wobec środowisk homoseksualnych oraz ideologii gender. Robi to dobre wrażenie na konserwatystach, ale chodzi o słowa sprzed wielu lat, w tym z czasów pontyfikatu Benedykta XVI. Wówczas sytuacja kościelna była zupełnie inna niż dziś. Tymczasem w bliższym nam okresie kard. Robert Prevost prezentował już inne podejście do tych zagadnień. Zapytany o to, jak postrzega deklarację „Fiducia supplicans" o błogosławieniu par jednopłciowych, powiedział, że każdy biskup powinien w tej kwestii dokonywać własnej interpretacji, zależnie od… kontekstu kulturowego. Pokazuje to dość wyraźną zmianę, a przede wszystkim sugeruje, że moralność może zależeć od regionu, w którym mieszkają katolicy.

To tymczasem samo sedno rewolucji papieża Franciszka: decentralizacja doktryny i moralności, czyli zgoda na to, by interpretować nauczanie Kościoła w różny sposób, zależnie od kraju lub nawet diecezji. W tej wizji nie ma już miejsca na obiektywną prawdę – zastępują ją dbałość o dobre relacje, szacunek dla różnych opinii oraz odmienności, a podstawą wspólnoty Kościoła staje się nie tyle jedna wiara, ile raczej administracyjna podległość biskupowi Rzymu. Jorge Mario Bergoglio głosił tę wizję konsekwentnie od 2013 r., z gorącym poparciem europejskich progresistów z takich państw jak Niemcy, Austria czy Belgia. Wypowiedź Leona XIV na temat „Fiducia supplicans" wskazuje, że jest zwolennikiem tej samej drogi, chyba że nie traktować jej poważnie, a czytać tylko jako słowa kardynała, który nie chciał

eprasa.pl 2d5f1223d6

urazić papieża… Można mieć nadzieję, że przyszłość zweryfikuje postawę Leona wobec różnorodności doktrynalnej i nowy papież będzie w większej mierze niż jego poprzednik dbać o faktyczną jedność wiary Kościoła w tym zakresie. Tymczasem nie ma jednak przekonujących argumentów na obronę takiej tezy.

PRIORYTETY LEONA XIV

Wrócę teraz do czterech priorytetów, które nowy papież nakreślił na balkonie bazyliki św. Piotra, zaczynając od pokoju. Wybór Leona XIV przypadł 8 maja, w 80. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej. Dziś pokój globalny jest jednym z największych wyzwań, również dla papiestwa. Leon XIV wspomniał jednak nie tylko o zwykłym pokoju, lecz także o rozbrojeniu. To wprawdzie od wielu dziesięcioleci stały akcent papieskich wystąpień, trzeba jednak przyznać, że podkreślenie tego postulatu już w pierwszych słowach po wyborze jest dość zaskakujące i może wskazywać nawet na temat pierwszej encykliki papieża Prevosta.

Bardziej niepokojące z perspektywy konserwatywnej były odwołania do dialogu oraz inkluzywności. Leon XIV nie użył tego drugiego słowa, ale mówił o tym, że Kościół katolicki musi być tak samo otwarty jak plac św. Piotra, podkreślając „bezwarunkową” miłość Boga do każdego człowieka oraz deklarując chęć „jednoczenia” absolutnie „wszystkich” ludzi. Wydaje się, że to jasna zapowiedź kontynuacji prymatu duszpasterstwa nad doktryną, który cechował pontyfikat papieża Franciszka. Zamiast stawiać wymagania, zwłaszcza w obszarze moralnym, poprzedni biskup Rzymu zaczynał od całkowitej otwartości, w tym także wobec tak odległych od Kościoła środowisk jak polityczny ruch LGBT. Podobną wymowę ma odwoływanie się przez Leona XIV do dialogu. W dobie szalejącego liberalizmu, umacniania cywilizacji śmierci oraz prób doszczętnej dyskredytacji Kościoła i samego Chrystusa wielu katolików oczekiwałoby mniej postawy dialogowej, a więcej obrony objawionych prawd i przypominania o imponderabiliach. Dialogizm, który ma prowadzić do budowy mostów, jest coraz bardziej skompromitowany jako postawa wywołująca jedynie rozmywanie katolickiego nauczania. Oby papież Prevost mimo wszystko potrafił zdobyć się niekiedy na bardziej konfrontacyjną postawę i wprost napiętnował błędy, zamiast silić się na nieustanną i bezproduktywną rozmowę z wrogami Kościoła.

Wreszcie – synodalność. To słowo klucz. Papież Franciszek w 2021 r. zobowiązał cały Kościół do „synodalnej transformacji”, tzn. do całkowitego przebudowania relacji między wiernymi a duchowieństwem. Na rok 2028 wyznaczył Zgromadzenie Kościelne – pierwsze w historii katolicyzmu wielkie spotkanie, na którym świeccy i biskupi mają razem współdecydować o losach Kościoła. „Chcemy być Kościołem synodalnym” – zadeklarował Leon XIV, odwołując się do idei synodalnych jeszcze co najmniej dwa razy. Wszystko wskazuje na to, że nowy papież nie zatrzyma procesów zmian, które na tym obszarze rozpoczął Franciszek. Tymczasem w dokumentach globalnego procesu synodalnego znajduje się cała masa wprost wybuchowych treści, które mogą wywoływać w Kościele ogromny chaos – od diakonatu kobiet, przez wspomnianą wcześniej różnorodność doktrynalną, aż do gwałtownych przemian liturgicznych. Ponownie mogę jedynie wyrazić nadzieję, że papież Prevost, nawet jeżeli nie zatrzyma synodalności jako takiej, nada jej racjonalną interpretację, która pozwoli unieszkodliwić największe związane z nią zagrożenia. Nie jest to jednak nadzieja zbyt silna, biorąc pod uwagę ewidentnie bardzo dialogową postawę Leona XIV.

Kościół katolicki potrzebuje przede wszystkim jasności w nauczaniu, wyjaśnienia wielu skrajnie kontrowersyjnych sporów doktrynalnych i moralnych, przywrócenia prymatu autentycznej Ewangelii, a nie politycznych kalkulacji i fałszywego spokoju

STABILNOŚĆ TO WCIĄŻ ZA MAŁO

Kluczowym symbolem jest oczywiście papieskie imię. Odwołanie do pontyfikatu Leona XIII (1878–1903) należy odczytać przede wszystkim przez wielką encyklikę społeczną „Rerum novarum” tamtego papieża. To wyraźna sugestia, że dla nowego papieża wielkie znaczenie będą mieć takie tematy jak ubóstwo, imigracja czy ekologia, o czym zresztą mówił w przeszłości wielokrotnie. Ponadto Leon XIII to także papież wielu istotnych encyklik traktujących o kwestiach wiary, teologii czy filozofii, np. głęboko tomistycznej „Aeterni patris”. Z bogatego dziedzictwa poprzednika nowy papież może wyciągać rozmaite elementy, powinniśmy jednak spodziewać się kontynuacji zwłaszcza tych społecznych.

Wielu komentatorów zwróciło uwagę, że nowy papież ubrał się inaczej niż Jorge Mario Bergoglio, wracając do tradycji i zakładając elegancki mucet. Odwołał się do zmartwychwstania Chrystusa, odmówił z wiernymi „Zdrowaś Maryjo”. To wyraźny sygnał: pontyfikat nie będzie ekscentryczny. Leon XIV zamierza najwyraźniej szanować watykańskie tradycje, pielęgnować tradycyjną katolicką pobożność, unikać nadmiernych kontrowersji. Kościołowi może to zapewnić długo oczekiwany okres spokoju i stabilizacji, który pozwoli na ułożenie wielu trudnych spraw, takich jak kondycja finansowa Stolicy Apostolskiej, sposób funkcjonowania Kurii Rzymskiej czy relacje pomiędzy Rzymem a biskupami na świecie. Możemy zakładać, że będziemy mieć do czynienia z papieżem racjonalnym i przewidywalnym, a po ostatnich 12 latach to naprawdę wartość, której znaczenia nie można zignorować. Niestety, stabilność to wciąż za mało. Kościół katolicki potrzebuje przede wszystkim jasności w nauczaniu, wyjaśnienia wielu skrajnie kontrowersyjnych sporów doktrynalnych i moralnych, przywrócenia prymatu autentycznej Ewangelii, a nie politycznych kalkulacji i fałszywego spokoju.

Zawołaniem biskupim Leona XIV są słowa „In Illo uno unum”, co można przetłumaczyć jako: „Jedność w Chrystusie”. Daj nam, Boże, właśnie taką jedność, a nowemu papieżowi odwagę do jej zaprowadzania – tym bardziej że ten pontyfikat może potrwać długie lata, odciskając na Kościele katolickim bardzo trwały ślad.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 2d5f1223d6

Co się dzieje z Trzaskowskim?

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Zmęczenie kampanią, nerwy czy inne, trudne do nazwania problemy? Co się dzieje z Rafałem Trzaskowskim?

FOT. MAREK LAPIS/FORUM

Widocznie odchudzony, opalony, z uśmiechem. Taką nową odsłonę zaprezentował kilka tygodni temu kandydat KO na prezydenta. Kampania miała być tylko formalnością i prostą autostradą do Pałacu Prezydenckiego. Być może już w pierwszej turze. Możliwe, że trzeba będzie pomęczyć się dwa tygodnie dłużej i dopiero głosowanie 1 czerwca da Trzaskowskiemu zwycięstwo. Tak czy inaczej, włodarz Warszawy miał iść po prezydenturę jak po swoje. Był i nadal pozostaje liderem sondaży. Z najnowszego, dostępnego w chwili pracy na tym tekstem wynika, że Rafał Trzaskowski może liczyć w pierwszej turze na 30,4 proc. głosów. Drugi jest popierany przez PiS Karol Nawrocki z 27,3 proc. wskazań, a podium w badaniu United Surveys zamyka Sławomir Mentzen z Konfederacji – 14,4 proc.

Z kolei opublikowana po majówce prognoza wyborcza Onetu (portal publikuje je regularnie) pokazała najniższy wynik wiceszefa PO od początku kampanii, czyli od 15 stycznia. „Kandydat KO nadal pozostaje faworytem w pierwszej turze, jednak jego poparcie skurczyło się od poprzedniego wydania o kolejne 1,2 punktu procentowego – do 33,9 proc. To najniższy odczyt modelu od początku tej kampanii. Na drugiej pozycji, z największym zyskiem w tym tygodniu i pewnym awansem do II tury, plasuje się Karol Nawrocki. Poparcie kandydata PiS rośnie o 2 p.p. i wraca do poziomów widzianych ostatnio w lutym – obecnie wynosi 27,3 proc. Jak na dłoni widać tu przepływy pomiędzy kandydatami prawicy. Po drugiej stronie jest Sławomir Mentzen, który nie może zatrzymać trwających już od ponad miesiąca negatywnych trendów. Lider Konfederacji może dziś liczyć na 14,8 proc. poparcia, co oznacza spadek o 1,7 p.p. w porównaniu z ostatnim wydaniem prognozy. Jego strata do Karola Nawrockiego powiększyła się do 12,5 p.p., podczas gdy na początku kwietnia wynosiła zaledwie 5,1 p.p." – czytamy.

ZACZĘŁO SIĘ W KOŃSKICH

Według wielu analityków negatywnym punktem zwrotnym dla Trzaskowskiego były Końskie. Najpierw debata Telewizji Republika na rynku, w której udział wzięła duża część kandydatów

eprasa.pl 2d5f1223d6

poza tym z KO, później debata organizowana przez sztab polityka. A tam, zamiast wymiany ciosów „jeden na jeden" z Karol Nawrockim – i jak życzyło sobie otoczenie wiceszefa PO, nokaut rywala – kolejna debata wielu kandydatów i ewidentnie zdenerwowany Trzaskowski. Plan nie wypalił, a koalicjanci – Szymon Hołownia i Magdalena Biejat – zamiast wspierać „Trzaska", zadawali mu niełatwe pytania.

Emocje zostały z kandydatem KO na dłużej. Po Końskich nastąpiła seria wystąpień publicznych, podczas których polityk zachowywał się niecodziennie. – Jest szansa na to, że druga strona też się do nas uśmiechnie. Nawet jak im się czasem silnik zatrze, jak czasem nie starczy im argumentów. Wielkie brawa! Chcę wam powiedzieć jedną rzecz, że dzisiaj pokazuje, to co jest w Głogowie, ta cała sytuacja, jedną bardzo ważną rzecz, że ludzi uśmiechniętych jest znacznie więcej. Uśmiechnijcie się, brygada. Hej, co tacy smutni jesteście? Na odwrót pan trzyma transparent, w drugą stronę, kochani. Pozdrawiam pana, jaki pan piękny uśmiech prezentuje. Cudo! To jest najważniejsza lekcja, która z tego płynie, że nas jest więcej. Wielkie brawa! – krzyczał Rafał Trzaskowski i zachęcał do uśmiechania się.

Uwagę zwracały jego nienaturalny ton i wyglądający na wymuszony uśmiech. Tak jakby Trzaskowski zmuszał się do grania bardzo zadowolonego, a naprawdę miał już dość. – Dziękuję! Polska cała na Rafała, brawo! Nawet nam śpiewają, to śpiewajmy z nimi. Polska cała na Rafała! Polska cała na Rafała! – wykrzykiwał do zgromadzonych w Głogowie. „Widzę, że tryb Bronek 2.0 odpalony" – skomentował europoseł PiS Michał Dworczyk.

Już wcześniej, na początku kwietnia, zachowanie Trzaskowskiego wywołało zdziwienie. – Prince Polo – trzeba przedstawiać? Nie trzeba. Olza Cieszyn. Jeżeli pojedziecie państwo do Islandii, wszyscy zajadają się Prince Polo. Dzisiaj w polskie miejsca pracy Amerykanie zainwestowali, w związku z tym można jasno mówić do prezydenta Trumpa: panie prezydencie, pan mówi o Grenlandii. No a jak relacje z Islandią? Tam się je Prince Polo, najlepszy możliwy symbol współpracy polsko-amerykańskiej – te słowa, wypowiedziane w niby to żartobliwym tonie podczas wizyty w Ostrowcu Świętokrzyskim, kilka dni przed Końskimi, zwiastowały wizerunkową katastrofę lidera sondaży.

Z kolei w Jeleniej Górze Trzaskowski kpił z fatalnej dla siebie debaty. – Czekajcie, mam dla Was niespodziankę! Chcecie?! Słyszeliście te głosy, że: „Musi być demokratycznie"; „Co ten Trzaskowski robi?!"; „Chce we dwójkę dyskutować". A wcześniej wszyscy mówili: „We dwie osoby będziemy dyskutować, ja zapraszam, ten zaprasza, nie, wszyscy razem musimy!". Trzy godziny, osiem osób. 12 maja będzie 17 osób, drodzy państwo [debata w TVP – przyp. red.] – ogłosił, w specyficzny sposób modulując głos.

Media donoszą o wrzeniu w sztabie Rafała Trzaskowskiego. Z jednej strony porażka w Końskich, z drugiej problemy finansowe. – W Platformie jest straszna frustracja – zdradził informator „Wprost". – Mówią, że mają nieciekawą sytuację finansową. Platforma na siebie wydaje kasę i nie wystarczy na wszystko w kampanii. Teraz starają się o kredyt – dodał. W KPRM organizowano specjalne narady, podczas których szukano remedium na sondażowe spadki. W spotkaniach mieli brać udział Donald Tusk, Paweł Graś, Rafał Trzaskowski, Sławomir Nitras i Wioletta Paprocka-Ślusarska. Niekiedy na naradach pokazywał się też Igor Ostachowicz, znany PR-owiec Donalda Tuska. Zdaniem rozmówcy „Wprost" debata w Końskich podłamała psychicznie Trzaskowskiego. – Rafał został trafiony. Widać to po nim – ocenia informator. Anonimowy polityk PO snuje czarną wizję. – Kilka miesięcy temu mówiłem, że żeby Rafał przegrał wybory, musiałby spaść samolot. Ten samolot spadł. Pytanie, czy potrafią się w sztabie po tym pozbierać – wskazał.

Sytuacji kandydata nie poprawiło szukanie winnych za katastrofalny pomysł organizacji debaty. W PO wskazywano na Sławomira Nitrasa, najbliższego współpracownika kandydata, który angażuje się w Campus Polska Przyszłości. Wygląda na to, że prezydent Warszawy nie ma wokół siebie wielu zaufanych ludzi, których ocenie sytuacji może w pełni uwierzyć.

DZIWNE ZACHOWANIE

Dość szybko nerwowość Rafał Trzaskowskiego zaczęła wywoływać pytania o jego stan psychofizyczny. Może to zmęczenie wywołane długą kampanią? Według ustaleń Joanny Miziołek z „Wprost" sztab Karola Nawrockiego miał początkowo plan na fizyczne „zajechanie" głównego rywala. Wiece, rozmowy, konferencje od bladego świtu do samej nocy, dzień w dzień. W takiej sytuacji niesłynący z nadmiernej pracowitości Trzaskowski (w lutym przyznał, że jako włodarz stolicy „bywa w Warszawie przynajmniej jeden dzień w tygodniu, a czasami dwa") przegrałby na liczbę uściśniętych dłoni i odbytych spotkań.

Jednak niektórzy sugerują, że to coś innego niż zwyczajne przemęczenie. – Dziwne zachowania polityków i ich nerwowe reakcje czy nadpobudliwość. To wszystko może wskazywać na jakieś wspomaganie. Może, choć oczywiście nie musi. Aby rozwiać wszelkie wątpliwości, telewizja wPolsce24 apeluje do wszystkich kandydatów na prezydenta, by poddali się testom na obecność narkotyków – tak Michał Adamczyk zapowiedział w serwisie telewizji wPolsce24 jeden z materiałów. – Osoby, które mają piastować urząd prezydenta, powinny być również pod tym kątem sprawdzone – komentował poseł PiS Michał Moskal. „Zażywanie substancji psychoaktywnych czy nadużywanie alkoholu dotyczy także polskich polityków. Ilu? Takich statystyk oczywiście nie ma […]. Uzależnieni dobrze się maskują" – brzmi głos autora materiału z offu. „Coś się dzieje z tym kandydatem, co jest poza normalnym zmęczeniem, on traci kontrolę nad sytuacją" – to z kolei ocena postawy Trzaskowskiego Aleksandry Fedorskiej, redaktor naczelnej agencji prasowej Radio Debata.

Bloger polityczny Paweł Rybicki tak skomentował jedno z „pokońskich" wystąpień kandydata KO: „Tutaj to Rafał pokazuje, że zaczynają się u niego problemy, i to nie tylko natury politycznej". Znacznie mniej subtelni byli kibice Legii. Podczas meczu o Puchar Polski wywiesili na Stadionie Narodowym transparent wymierzony w Trzaskowskiego i Nitrasa: „18.05.2025. Nie dopuśćmy, by zakłamany tęczowy Rafał rządził Polską ze Sławkiem narkomanem".

Wiadomo, że przed debatą w Końskich kandydat KO miał wsparcie psycholog Natalii de Barbaro, znanej w ostatnim czasie przede wszystkim z poradników dla kobiet. – To ja zapieprzam styrany

eprasa.pl 2d5f1223d6

przez pół Polski, a ten w tym czasie rozmawia z panią psycholog na temat debaty. Człowieku, ty po rozmowie z Trumpem to będziesz musiał brać Prozac przez miesiąc – komentował kpiąco szef Kanału Zero, również kandydat na prezydenta Krzysztof Stanowski. – Pani psycholog Natalia de Barbaro, która pisze książki głównie dla kobiet, które mają kłopot z poczuciem własnej wartości. Autorka takiej książki „Jak budować poczucie własnej wartości, gdy rzeczywistość przytłacza". I drugi tytuł: „Dojść do głosu. Radykalnie praktyczny przewodnik po kampanii wyborczej". To się nie dzieje. To się nie dzieje – dodawał z niedowierzaniem.

BO TUSK SIĘ WŚCIEKNIE

Na polityku ciąży olbrzymia presja. Jego zwycięstwo jest niezbędne Donaldowi Tuskowi do pełni władzy. Prezydent wspierany przez PiS oznaczałby kolejne weta, a wyborcy nie zniosą już długo wymówek, że trudno jest realizować obietnice wyborcze przy niesprzyjającym lokatorze dużego Pałacu. – Trzaskowski ma świadomość, że walczy o swoje polityczne życie, miejsce w historii, o los całego obozu rządzącego. Nigdy wcześniej w politycznej karierze nie czuł aż tak wielkiej odpowiedzialności. I prawda jest taka, że znosi ją z trudem. W KO panuje przekonanie, że Trzaskowski byłby lepszym prezydentem niż kandydatem na prezydenta. Rafał wygląda na wyluzowanego, ale jest w nim ogromne napięcie – opowiada „Newsweekowi" ktoś z wnętrza Platformy. – Albo piekło, albo niebo. Nie ma innej możliwości. Za nim jest tylko przepaść. On nie ma już żadnego wyboru. W końcu musi mu się chcieć – dopowiada sztabowiec. Polityk PO wspierający w prawyborach Radosława Sikorskiego dostrzega w kandydacie wyraźną zmianę. – Widzę, że on jest inny niż wcześniej. Był wyluzowany, uśmiechnięty, a dziś jest spięty. Ma świadomość tego, jaka odpowiedzialność na nim ciąży – mówi.

Rafał Trzaskowski może się obawiać gniewu swojego szefa. „Publicznie nikt tego nie powie, a zaprzeczać będą głośno wszyscy z Platformy, ale prawda jest taka, że w ocenie Donalda Tuska prezydent Warszawy jest politykiem zbyt miękkim" – donosił „Newsweek". – Jak Donald Tusk pojechał do Brukseli, to

Na Rafale Trzaskowskim ciąży olbrzymia presja. Jego zwycięstwo jest niezbędne Donaldowi Tuskowi do pełni władzy

Platforma zaczęła się sypać. Jak Komorowski przegrał w 2015 r., to otworzył PiS drzwi do władzy. Ale jak Trzaskowski by teraz przegrał, to byłoby sto razy gorzej. I nikt by mu nie wybaczył, że przerżnął z PiS – wskazują informatorzy.

Wewnętrzna krytyka kampanii kandydata wybrzmiewała w ostatnich tygodniach dość głośno. „Wiele osób w PO uważa, że kampania Trzaskowskiego jest nudna i zaczyna przypominać tę, która poprzedzała klęskę wyborczą Bronisława Komorowskiego z 2015 r., kiedy kandydat był przedstawiany jako gwarant »zgody i bezpieczeństwa«" – czytamy. – Patrzę na tę kampanię Rafała i nóż mi się w kieszeni otwiera. Spotyka się z ludźmi i to dobrze. Ale nie ma myśli, przekazu. Widać, że on nie ma energii. Ludzi trzeba porwać. Jemu brakuje drive'u, a większość ludzi traktuje politykę pobieżnie i emocjonalnie – grzmiał na łamach partyjny kolega „Trzaska".

REKINY I STEVIE WONDER

Komentatorzy zwracają uwagę na delikatne ego 53-letniego polityka. Lubi mówić dużo o sobie, chwalić się wykształceniem i znajomościami, co niejednokrotnie dawało asumpt do kpin. Być może nerwowość kandydata jest powiązana z raczej negatywnym przyjęciem wywiadu rzeki, pod jakże wiele mówiącym tytułem „Rafał" (premiera na początku kwietnia). „Opowiadam o ludziach, miejscach i wydarzeniach, które ukształtowały mnie, zanim wszedłem do polityki. O rodzicach, którzy dali mi moralny kompas na całe życie i nauczyli ciekawości świata, ciężkiej pracy i niezależności. O Warszawie, mojej »małej ojczyźnie«, która zmieniała się razem ze mną, zachwycała nowym, ale nigdy nie zdradziła swojej historii. I o mojej drodze do polityki, którą przeszedłem, by budować Polskę otwartą, ambitną i sprawiedliwą. To nie jest rozmowa o wielkich hasłach, tylko opowieść o tym, kim jestem i co daje mi motywacje do działania" – reklamował książkę Trzaskowski.

Jednak sieć dosłownie zalały traktowane ironicznie fragmenty wywiadu, dowodzące niezwykle wysokiego mniemania o sobie polityka. „Pamiętam też, jak przyszedł do nas na plac Konstytucji Marek Edelman. Mówię do niego: »To było moje marzenie, żeby z panem porozmawiać«, a on: »Masz strasznie banalne marzenia, chłopcze«. A kiedyś luksusową komunistyczną czajką podjechał do Niespodzianki Stevie Wonder, bo bywały tam również amerykańskie gwiazdy. To było niesamowite: wielki Stevie Wonder stoi przede mną ze znaczkiem Solidarności. W dodatku dla nas zaśpiewał" – czytamy.

Prawdziwą furorę zrobiła historia o rekinach. „Pani redaktor pyta: »A rekiny? To chyba też hardcore?«. No tak, bo jak się widzi 20 rekinów wokół siebie, niektóre pływają pół metra od nas, ocierają się, to robi wrażenie. Ale trzeba myśleć zdroworozsądkowo. Rekiny 2–3-metrowe nie atakują ludzi, chyba że się pomylą. Raz wpadłem w stres, bo zjadały przy mnie rybę, sporego groupera. Pojawiła się krew, zaczęły się szamotaniny, trzeba się było szybko oddalić, a nie było to takie łatwe, bo nurkowałem w miejscu wulkanicznym z silnymi prądami, a kiedyś jak zszedłem na 30 metrów przy wraku koło chorwackiej wyspy Vis, okręcił mi się wokół szyi konger, rodzaj węgorza morskiego, w końcu go odwinąłem, ale był gruby jak ramię, toteż najadłem się strachu" – wyznał kandydat.

W wywiadzie jest też o rozmowach „na serio o Polsce" 16-letniego Trzaskowskiego z założycielem Piwnicy pod Baranami, Piotrem Skrzyneckim, który na dodatek pożyczał czasami od chłopaka pieniądze i dawał się zaprosić „na winko". „Kiedyś zadzwonił do dyrektora Muzeum Książąt Czartoryskich i wziął mnie tam w środku nocy, żeby posiedzieć przed »Krajobrazem z miłosiernym Samarytaninem« Rembrandta i »Damą z łasiczką Leonarda da Vinci«" – opowiedział prezydent Warszawy. „To jest wyznanie miłości, bardzo mocne wyznanie miłości ze strony Rafała Trzaskowskiego dla Rafała Trzaskowskiego" – podsumował książkę „Rafał" Krzysztof Stanowski.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

REPUBLIKA

Najlepsi goście, gorące dyskusje, ostre i ciekawe spory.
Ruszamy z nowym formatem programu! Wszystko
przy udziale publiczności i w nowym studiu Republiki.
Zachęcam do wyrażania opinii, zamieszczania komentarzy
i zadawania pytań **#KlubRepubliki** – zaprasza **Adrian Klerenbach.**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 2d5f1223d6

Rafał A. Ziemkiewicz

Karol Nawrocki
FOT. SZYMON PULCYN/PAP

Zapaść narracyjna

Establishment w całej Unii Europejskiej nie może otrząsnąć się z szoku po tym, co się stało w USA – z fiaskiem „restauracji" rządów lewicowo-liberalnych Bidena, której skutkiem okazało się jeszcze mocniejsze odrzucenie przez społeczeństwo wszystkich pryncypiów postępu. W takim kontekście trzeba patrzeć na toczący się w Polsce bój o prezydenturę, także na najnowszy jego zwrot, którym było ujawnienie materiałów z postępowania sprawdzającego ABW dotyczących kawalerki Karola Nawrockiego

Może to z punktu widzenia wielkiej polityki drobiazgi, ale charakterystyczne. Kiedy doszło do morderstwa w krakowskim szpitalu, gdzie intruz wdarł się do gabinetu i zasztyletował ortopedę, a potem do równie wstrząsającej zbrodni na Uniwersytecie Warszawskim, rządzący wykorzystali je jako okazję do pozowania na bezwzględnych szeryfów. Adam Bodnar, po kilku dniach agregowania przez prorządowe media problemu coraz częstszych aktów agresji w służbie zdrowia, zapowiedział nowelizację Kodeksu karnego i wprowadzenie nadzwyczajnych, surowych kar za ataki na pracowników medycznych. Rafał Trzaskowski, analogicznie, już kilka godzin po tragedii na UW wplótł w zwyczajowe wyrazy współczucia dla rodzin ofiar i wyznania „jestem wstrząśnięty tą tragedią" zapowiedź, że dołoży wszelkich starań, aby zbrodniarz został przykładnie i surowo ukarany – choć jako włodarz miasta nie ma żadnych związanych z tym kompetencji.

Praktykuję jako komentator polityczny już od tylu lat, że pamiętam jeszcze, jak Adam Michnik wykładał z sejmowej trybuny, że jeśli ktoś popełnił zbrodnię, to trzeba w tym widzieć także jego tragedię – ale doprawdy nie trzeba sięgać pamięcią aż tak daleko. Zachowania podobne do tych ministra sprawiedliwości i kandydata PO na prezydenta zawsze piętnowane były przez lewicowo-liberalne salony jako szczególna moralna obrzydliwość, najgorszy populizm, hienizm i żerowanie na niskich instynktach tłuszczy domagającej się zemsty. To przecież właśnie zapowiedzi zaostrzania kodeksowych kar składane przez Zbigniewa Ziobrę dyskwalifikowały go, w oczach prawniczej profesury z UW i UJ, jako kandydata na ministra i pozbawiać miały cały PiS moralnej legitymacji do rządzenia.

FIKOŁKI „ELIT"

Można oczywiście powiedzieć – skoro już okazało się, że kapitał, wbrew trwającym od 30 lat zapewnieniom najwyższych autorytetów, jednak ma narodowość, a „repolonizacja gospodarki" czy nawet „gospodarczy nacjonalizm" to coś dobrego, że żołnierze i strażnicy graniczni to nie pisowscy zbrodniarze, a godni najwyższego szacunku bohaterowie, migranci nie „ubogacają", ale zagrażają itd. – to dlaczego i dogmat „resocjalizacja zamiast zemsty" nie miałby zostać odłożony do lamusa? Przynajmniej na czas kampanii wyborczej.

Szkoda czasu na wykazywanie po raz kolejny, jak bezmierną hipokryzją cechują się „elity", których polityczną emanacją jest rządząca koalicja. Skupmy się na praktycznych skutkach faktu, że narracja, na której od dziesięcioleci opierały one swoje poczucie wyższości, definitywnie się rozpada, zresztą na całym świecie. U naszych zachodnich sąsiadów nowy kanclerz wychodzi ze skóry, by przekonać Niemców, że byleby tylko już nie popierali „populistycznej" AfD i zachowali u władzy zasiedziały od dziesięcioleci establishment, a zrealizuje on wszystkie jej populistyczne, „faszystowskie", absolutnie moralnie i cywilizacyjnie nieakceptowalne postulaty.

Establishment ten, nie tylko w Niemczech czy w Polsce, w całej Unii Europejskiej, nie może bowiem otrząsnąć się z szoku po tym, co stało się w USA – z fiaskiem „restauracji" rządów lewicowo-liberalnych Bidena, której skutkiem okazało się nie, jak powszechnie sądzono, zażegnanie chwilowych z natury rządów „populisty", ale jeszcze mocniejsze, jeszcze wyraźniejsze niż dotąd odrzucenie przez społeczeństwo wszystkich

eprasa.pl 2d5f1223d6

pryncypiów postępu, mimo rzucenia do walki w ich obronie wszystkich autorytetów i zasobów instytucjonalnych.

CELNE UDERZENIE

W takim kontekście trzeba patrzeć na toczący się w Polsce bój o prezydenturę, także na najnowszy jego zwrot, którym było ujawnienie materiałów z postępowania sprawdzającego ABW dotyczących kawalerki Karola Nawrockiego (nieopatrzne pochwalenie się przez posła Brejzę kopią dokumentu ze zarchiwizowanych akt nie pozostawia już wątpliwości, że sprawa wyszła ze służb specjalnych). W perspektywie taktycznej uderzenie było bez wątpienia dobrze wymierzone, a medialna kampania przemyślana i zorkiestrowana skutecznie. Szczegóły sprawy przedstawiono już, zanim ten numer trafił do drukarni, w tylu miejscach i na tyle sposobów, że chyba nie ma sensu brnąć w ich roztrząsanie – bez wątpienia pracujący dotąd dużo sprawniej od konkurencji zarówno sztab Nawrockiego, jak i on sam pogubili się, co pogłębiło kryzys. Fatalną dla perspektyw drugiej tury okolicznością sprawy jest też wykorzystanie jej przez Sławomira Mentzena do zerwania milczącego paktu o nieagresji między Konfederacją a PiS i wpisanie tej pierwszej w uwiarygadnianie narracji lewicowo-liberalnych salonów, według której PiS to partia złodziei i oszustów, która z zasady powinna być wyeliminowana z życia publicznego.

Na ile ten taktyczny sukces władzy, w połączeniu z potknięciem opozycji, może wpłynąć na wynik wyborów? Tu kluczowa wydaje się kwestia „tajmingu" całej sprawy. Źródła zwykle dobrze poinformowane twierdzą, że oskarżenia o „oszukanie i wykorzystanie starszej osoby" odpalone miały być później, przed drugą turą wyborów. Brzmi to prawdopodobnie. Na wyniki w pierwszej turze, będącej bojem przede wszystkim elektoratów zdecydowanych, sprawa wielkiego wpływu mieć nie może, a użyta teraz do początku czerwca może wybrzmieć, zostać oswojona i „przykryta" kolejnymi wydarzeniami – czy to związanymi z kampanią, czy nieprzewidywalnymi, jak wspomniane na wstępie bulwersujące zbrodnie. Jeśli istotnie publikację Onetu przyśpieszono, to powody mogły być dwa. Pierwszym było nieopatrzne „podłożenie się" Nawrockiego, który sam z siebie pochwalił się w debacie, że jego rodzina, jak większość, ma tylko jedno mieszkanie. Drugim – dalece bardziej prawdopodobnym – poczucie marności dotychczasowej kampanii Trzaskowskiego, spotęgowane ciepłym przyjęciem Nawrockiego w Białym Domu, którego pozytywne skutki trzeba było przykryć czymkolwiek, co akurat było pod ręką.

Odpowiedź na pytanie o skutki „afery mieszkaniowej" zależy od tego, na ile w drugiej turze kampanii, starciu, które rozstrzyga logika „ten kandydat jest mniejszym złem od tamtego", uda się władzy i jej mediom nadać charakter starcia wizerunkowego. Którym, dodajmy, wybory prezydenckie oczywiście nie są – Trzaskowski i Nawrocki toczą ze sobą „proxy war", wojnę zastępczą, w imieniu swoich obozów politycznych. Dla uważnych obserwatorów sceny politycznej jest to oczywiste, ale nie musi tego widzieć przeciętny wyborca. Szczególnie z tych wyborców najsłabiej zorientowanych, którzy podejmują decyzje w ostatniej chwili, podług kryteriów dla nich samych nie do końca jasnych, i często mobilizują się do pójścia na wybory dopiero w drugiej turze (z zasady mającej większą frekwencję niż pierwsza). To o nich toczy się gra – jeśli obozowi władzy uda się skutecznie upowszechnić wizerunki Nawrockiego jako postaci podejrzanej, znajomego gangsterów, który wykorzystał bezbronnego staruszka, a Trzaskowskiego jako poczciwca, może i niezbyt lotnego, ale nieszkodliwego, to „rządy prawa, jak my je rozumiemy" zyskają rozpaczliwie jej potrzebną sankcję społeczną.

STRATEGICZNA MIAŁKOŚĆ

Zwróćmy uwagę na to, że w parze z atakiem na Nawrockiego poszła zmiana sposobu prezentowania Trzaskowskiego. Można ją streścić tak, że po wielu miesiącach udawania „pisowca" teraz zaczął kandydat PO udawać „bezpartyjnego samorządowca". Jego publiczne wystąpienia stały się zlepkiem porażających swą miałkością banałów, podobnie jak nowa wersja hasła wyborczego: „Cała Polska wygra". Trzaskowski mieli teraz frazesy, że Polacy powinni być zjednoczeni, a nie podzieleni, że powinni być silni i stać „pod biało-czerwoną", wyraźnie unikając jakichkolwiek konkretów w jakiejkolwiek sprawie. Trudno powiedzieć, na ile uda mu się to w ostatnich przedwyborczych debatach, w których jednak pytania o konkrety będą nie do uniknięcia. Ale, generalnie, według nowych wytycznych Trzaskowski ma być maksymalnie nijaki, wygłaskany, obły i tym samym niegroźny jak pluszowa maskotka. Wyrazisty ma być Nawrocki – wyrazistością szwarccharaktera. Ale tym mają się zająć uzależnione od PO media, a nie sam jej kandydat.

Czy to dobra strategia? Nie, ale na czasy wielkiego rozpadu narracji lewicowo-liberalnej chyba najlepsza. Obóz pomagdalenkowy, który od dziesięcioleci reprezentował w polskiej polityce postęp, europejskość, nowoczesność, zwłaszcza nowinki obyczajowe, przedstawiane jako przyszłość oczywista, nieuchronna i ponad wszelką wątpliwość ostatecznie zdeterminowana, nawet jeśli na tej jedynie słusznej drodze zdarzy się czasem jakieś chwilowe zamieszanie ze strony sił reakcji, starającej się opóźnić radosny marsz – dzisiaj narracje te stracił, jedyną nadzieję na utrzymanie władzy widzi w upodobnieniu się do „populistów" i przejęciu ich „moralnie ohydnej" agendy. Tym samym stracił swą dotychczasową odpowiedź na pytanie, które nieuchronnie determinuje każdą kampanię wyborczą: Ale dlaczego to właśnie wy powinniście rządzić? Dlaczego właśnie Rafał Trzaskowski ma być prezydentem?

Jedyna odpowiedź, która ostatecznie kandydatowi władzy na to pytanie pozostała, brzmi: bo jestem ładny. A tamten – brzydki.

Pytaniem zasadniczym nie jest to, czy wystarczająca część spośród tych mniej więcej 20 mln Polaków, którzy idą do wyborów, uwierzy w wizerunki ładnego i nieładnego – ale to, czy w istocie chcą oni, aby prezydentem był „ten ładniejszy". Może jednak kierować się będą innymi kryteriami: oceną półtorarocznych rządów Tuska, lękiem o własne bezpieczeństwo, poszukiwaniem kogoś, kto wydaje się silny i zdecydowany? Wydaje się to, w świetle badań nastrojów społecznych, bardziej prawdopodobne, a w takim razie zohydzanie Nawrockiego oraz budowanie wizerunku Trzaskowskiego zgadzającego się ze wszystkim we wszystkim nie przyniosą sukcesu. Ale to nie jest ze strony prowadzących kampanię wybór, innej możliwości po prostu w tej chwili nie mają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Kandydaci na prezydenta podczas debaty „Super Expressu" FOT. MAREK KUDELSKI/SE/EAST NEWS

Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Syndrom sztokholmski polskich wyborców

RYSZARD GROMADZKI: Za sprawą wysokich notowań sondażowych Sławomira Mentzena można było mieć nadzieję, że tegoroczne wybory prezydenckie być może przyniosą historyczne przełamanie duopolu PO-PiS. Jednak na finiszu kampanii wszystko wróciło do normy. W najbardziej prawdopodobnym scenariuszu o zwycięstwo w wyborach po raz kolejny walczyć będą kandydaci PiS i PO. Ta sytuacja jest dowodem skuteczności propagandy, która wdrukowała w świadomość wyborców, że w Polsce inaczej się nie da?

MARCIN PALADE: To dowód na syndrom sztokholmski polskich wyborców. Kilka dni temu ukazał się sondaż, z którego wynika, że trzech na czterech Polaków wysyła Jarosława Kaczyńskiego na polityczną emeryturę. W przypadku Donalda Tuska to dwóch Polaków na trzech. W obu grupach znajdują się zatem wyborcy KO i PiS, którzy też tego chcą. Chcą, a mimo tego nie poszukują alternatywy i głosują. Te wybory jeszcze raz potwierdzą dominację na scenie politycznej środowisk Kaczyńskiego i Tuska. Aczkolwiek kandydatów tych dwóch obozów popiera tylko ok. 60 proc. Polaków, co stanowi najniższy wynik dla wiodących formacji od lat. Jest on potwierdzeniem, że czeka nas przyspieszenie procesu depolaryzacji polskiej polityki. To poważne wyzwanie dla sztabów Trzaskowskiego i Nawrockiego, bo głosów innych niż PO-PiS będzie ok. 40 proc. Trzeba będzie większego wysiłku, by pozyskać ich w drugiej turze głosowania.

Co spowodowało regres notowań Sławomira Mentzena w ostatnich tygodniach? Na jego wiecach są niezmiennie tłumy ludzi.

Szczyt notowań Mentzena przypadł na połowę marca. Wtedy od Nawrockiego dzieliło go cztery–pięć punktów procentowych. Byli tacy, którzy spodziewali się remisu, a nawet możliwej mijanki. Tymczasem mieliśmy wizytę Mentzena w Kanale Zero. A wiemy od 2023 r., że z wywiadami nie idzie mu zwykle najlepiej, vide: ten z Petru, od którego wszystko, co niedobre dla Konfederacji w kampanii 2023 r., się zaczęło. Potem błąd z nieobecnością na debacie w Końskich, wynikający z braku elastyczności w kalendarzu i zafiksowania się na spotkaniach z wyborcami w miastach powiatowych. Do tego nieudany występ na debacie w TV Republika. A ostatnio atak za „kawalerkę" Nawrockiego, który może nie zatrzymać spadku poparcia Mentzena widocznego od kilku tygodni. Z 19–20 proc. zrobiło się 14–16 proc. Ale utrzymanie obecnego poparcia aż do wyborów i tak będzie dużym sukcesem Mentzena. Jeśli zestawimy to z wynikiem Bosaka w 2020 r. czy Konfederacji w 2023 r., to w obu przypadkach mielibyśmy podwojenie wyniku. A to byłoby potwierdzeniem strategii Konfederacji na wybory 2027 r. Czyli tego, czego nie udało się w 2023 r. Zdobyć tyle mandatów, by dwie wielkie formacje nie mogły złożyć bez Konfederacji większości.

Porozmawiajmy o faworytach wyścigu prezydenckiego. Po udanych debatach w Telewizji Republika i „Super Expressie", a przede wszystkim po przyjęciu w Białym Domu przez Donalda Trumpa, mogło się wydawać, że szanse Karola Nawrockiego na zwycięstwo w wyborach wzrosły. Niejasno-

eprasa.pl 2d5f1223d6

ści związane z nabyciem kawalerki w Gdańsku spowodowały, że Nawrocki i jego sztab znaleźli się w głębokiej defensywie. Ta sprawa może mieć wpływ na ostateczny wynik wyborów?

Wcale nie musi być tak, że reakcja na „kawalerkę" będzie widoczna od razu, jeśli będzie w ogóle. Czym innym jest projektowanie przez polityków określonych zachowań wyborców, a czym innym ten rzeczywisty głos suwerena. Owszem, możliwy jest spadek Nawrockiego o kilka punktów procentowych, oddalenie perspektywy remisu już w pierwszej turze, ale te głosy powędrują do innych kandydatów na prawo od centrum. A w drugiej turze i tak większość z nich zostanie oddana nie tyle za Nawrockim, ile przeciwko Trzaskowskiemu. Może być też tak, że ewentualny ubytek u Nawrockiego zostanie zrekompensowany przepływami od Mentzena. Dlaczego? Kandydat Konfederacji zbierał miękkich ekswyborców PiS. Dzięki nim między innymi rósł od grudnia 2023 r. Ale teraz uderzenie w Nawrockiego może spowodować częściowy powrót do Nawrockiego tych wyborców, pozostających wciąż z krytyczną oceną rządów PiS. Bo mogą uznać, że w obliczu przejęcia całkowitej władzy przez obóz Tuska konfliktowanie się w obrębie opozycji nie jest dobrym posunięciem. Co do wizyty w Waszyngtonie, to czytając i słuchając polityków PiS, można było odnieść wrażenie, że uścisk dłoni z Trumpem to zasadniczy zwrot w kampanii. Prawie wygrana w pierwszej, a już z pewnością pewna wygrana Nawrockiego w drugiej turze. Tymczasem to mógł być i pewnie był jakiś sygnał dla orbitujących wokół PiS wyborców, by przesunąć preferencje w kierunku Nawrockiego. Co może pomóc w osiągnięciu lepszego wyniku w pierwszej turze. Ale w drugiej już niekończenie. Trump jest popularny w elektoracie PiS i Konfederacji. Ale to zdecydowanie za mało, by myśleć o wygranej Nawrockiego. Bez części wyborców środka, zniechęconych ekipą Tuska, a także zdystansowanych do Trumpa, sukcesu kandydat PiS nie odniesie.

Kampania lidera sondaży Rafała Trzaskowskiego uderza nijakością i brakiem przekazu. Można odnieść wrażenie, że strategią Trzaskowskiego jest „wystarczy być". Rzeczywiście „wystarczy być" Rafałem Trzaskowskim, żeby zostać prezydentem Polski?

Myślę, że to jest problem Trzaskowskiego i jego formacji, a szerzej – całego zaplecza medialno-celebryckiego wspierającego kandydata tzw. salonu. To są wszystko wnuczki po nieboszczce Unii Demokratycznej. Z mentalnym, przeniesionym w genach po babci, charakterystycznym patrzeniem na wszystkich innych z góry. Z tym nieustannym podkreślaniem elitaryzmu, bo my, Europa, wykształceni, z wielkich miast, zaradni życiowo, uśmiechnięci i pachnący, nie musimy się aż tak starać w kampanii, bo ta prezydentura nam się po prostu należy. Coś, co określiłbym mianem inteligenckiej pyszałkowatości. Nie pytajcie – głosujcie, bo my wiemy, co dla was, dla Polski, jest najlepsze. Tak mówił Tusk w 2005 r. i przegrał. Tak mówił Komorowski w 2015 r. i przegrał, wreszcie Trzaskowski w 2020 r. Jest kilka czynników grających na niekorzyść Trzaskowskiego, mimo że przyglądając się możliwym przepływom między pierwszą a drugą turą, pozostaje on wciąż faworytem. Pierwszy to niebezpieczeństwo dla niego, że wybory będą quasi-referendum nad „drugim Tuskiem", a Trzaskowski może zapłacić za to, jak Komorowski w 2015 r. Drugi to czynnik psychologiczny. Trzaskowski już jedne wybory przegrał w 2020 r. Drugi raz nie może sobie pozwolić na przegraną, bo wypadnie z politycznej ekstraklasy na długo, jeśli nie na zawsze. Stąd choćby pomoc psychologa, by Trzaskowski się nie posypał. Nawrocki zaś wybory może wygrać, ale jeśli przegra, to świat się dla niego nie zawali. To spięcie versus umiarkowany luz mogą mieć znaczenie w debatach przed drugą turą. A przy wyniku zbliżonym do remisu każde 50 czy 100 tys. głosów będzie mieć znaczenie.

Jednak sądząc choćby po reakcjach w mediach społecznościowych, wielu wyborców ma serdecznie dość wybierania po raz kolejny „mniejszego zła", w związku z tym w drugiej turze wyborów nie zamierza głosować ani na Trzaskowskiego ani na Nawrockiego. Ci ludzie pozostaną 1 czerwca w domach. Kto w takim razie przechyli szalę?

To nie jest tak, jak często mówią politycy, że głosy z pierwszej tury niejako z automatu przechodzą na kandydata wskazanego przez tego, który odpadł. Większość wyborców, nawet zdecydowana, Biejat czy Senyszyn poprze Trzaskowskiego. W przypadku Zandberga może być z kolei tak, że więcej jego wyborców niż u dwóch wymienionych kandydatek lewicy zostanie w domach. Podobnie z wyborcami Szymona Hołowni. Ale nie inaczej jest po drugiej stronie politycznej barykady. Nawrocki nie dostanie wszystkich wyborców Mentzena czy Brauna. W pierwszym przypadku to będzie pewnie dwóch na trzech, ale już co dziewiąty zagłosuje na Trzaskowskiego lub wcale. Podobne proporcje mogą wystąpić w przypadku Brauna, choć z jednym wyjątkiem, bo nie spodziewam się jakiegokolwiek zainteresowania głosowaniem na Trzaskowskiego. Jak sobie to zsumujemy, to jesteśmy blisko remisu. Dużo więc w drugiej turze będzie zależeć od skali mobilizacji wyborców kandydatów, którzy odpadli. Uważam, że większą dyscyplinę może wykazać obóz centrolewicy, a PiS będzie mieć poważne problemy, by zmobilizować wyborców twardej prawicy, bez których Nawrocki o prezydenturze może tylko pomarzyć. Chodzi m.in. o politykę covidową, wobec Ukrainy czy o Polski Ład. Tu PiS nie odrobił lekcji po wyborach w 2023 r., co może odbić się czkawką na wyniku Nawrockiego. Co ważne, pojawi nam się 1 czerwca nowa grupa tych, którzy głosują tylko w drugiej turze. To oni mogą przechylić szalę na jednego z kandydatów. Dla wielu z nich to być może będzie prosty wybór: czy żyło im się lepiej przez osiem lat rządów Kaczyńskiego czy przez ostatnie 15 miesięcy rządów Tuska. Problemem dla sztabów wiodących kandydatów jest to, że to są na ten moment bardzo letni wyborcy, jeszcze niedotknięci wyborczą wścieklizną. Wejdą w kampanijny rytm na ostatniej prostej. Czy przeważą wśród nich niezadowoleni z 15 miesięcy rządów Tuska i obawiający się monopolu jednej strony czy ci pamiętający, niekoniecznie z najlepszej strony, osiem lat rządów PiS, a zarazem gotowi, dla usprawnienia działania państwa, dać monopol władzy rządzącej centrolewicy? Odpowiedź otrzymamy 1 czerwca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Marcin Palade** – socjolog polityki, ekspert do spraw geografii wyborczej w Polsce.*

eprasa.pl 2d5f1223d6

To są wybory o wszystko

Piotr Semka

Ostatnie półtora roku władzy Donalda Tuska pokazało, że jest to polityk zdolny do wszystkiego. Jeśli zostanie pozbawiony ograniczenia ze strony niekontrolowanego przez siebie prezydenta, to może się posunąć do rzeczy, o których dziś nawet trudno pomyśleć. Dlatego te wybory są tak ważne

Czy są to wybory bardzo ważne? Nie. Ośmielę się twierdzić, że są to najważniejsze wybory od 1989 r. Powie ktoś, że podobne opinie można znaleźć w obozie liberalno-lewicowym. I wbrew pozorom nie jest to żaden paradoks. Tyle że tamta strona rozumie odniesienia do 1989 r. zupełnie inaczej – jako ostateczne obalenie „kaczyzmu", tak jak niegdyś systemu PRL.

Tak czy inaczej – wyczerpała się formuła demokracji nazwanej umownie „III RP". Dla obozu liberalnej demokracji realna zasada wymiany u władzy nigdy nie była wartością istotną. Ważne było wcielanie kolejnych „projektów", najpierw wprowadzenie zasad Okrągłego Stołu, potem ocalenie obozu byłej PZPR przed dekomunizacją ze strony prawicy. Następnie walka z lustracją, jak najszybsze włączenie do NATO, a potem do Unii Europejskiej i wreszcie realizowanie agendy zmian obyczajowych. Dokładnie w tych samych celach zostało skonsumowane wejście Polski do Unii Europejskiej. Zasady demokracji formalnie działały, ale tylko dlatego, że przez całe lata 90. postkomuniści i obóz Unii Wolności wykorzystywali fakt, że prawica była w mniejszości lub była skłócona.

Ta tolerancja dla demokracji skończyła się najpierw w latach 2006–2010, kiedy prawicy udało się i zdobyć prezydenturę, i przez dwa lata rządzić, a ostatecznie została uznana za mało użyteczną w latach 2015–2023. Nieprzypadkowo wtedy uznano, że nie można już popełnić żadnych błędów i pozostawiać wyboru społeczeństwu. Aby ludzie znów nie wybrali „tak jak nie trzeba", według ekipy Tuska należało rozłożyć na następne cztery lata plan dopilnowania, aby już nigdy władza się nie wymknęła z rąk spektrum liberalno-lewicowego. W imię tego w sposób nielegalny przejęto media publiczne i prokuraturę. Z góry założono, że na pewne rzeczy trzeba będzie poczekać na koniec prezydentury Andrzeja Dudy, ale uznano, że wcześniej uda się rozbić PiS i ugruntować monopol medialny dla redakcji sprzyjających nowej władzy.

Ten plan udał się częściowo. Z jednej strony większość mediów znów wróciła do statusu mniej lub bardziej oddanych sojuszników władzy, z drugiej jednak nie spodziewano się fenomenu powstania i przetrwania dwóch silnych prawicowych telewizji: wPolsce24 i Republiki. Również nie spełniły się rachuby, że PiS nie będzie w stanie wyłonić dobrego kandydata prezydenckiego. Pełna ryzyka decyzja Jarosława Kaczyńskiego o postawieniu na niemającego zbyt dużych doświadczeń w polityce Karola Nawrockiego okazała się daniem szansy człowiekowi, który bardzo szybko nauczył się radzić sobie w polityce.

Nawrockiemu oczywiście pomógł fakt, że Platforma uparła się postawić na Rafała Trzaskowskiego, który nosi na sobie piętno przegranego z poprzednich wyborów prezydenckich. Człowieka, który przez ostatnie pięć lat – jak można odnieść wrażenie – niespecjalnie wiele się nauczył i zrozumiał. Im bliżej daty pierwszej tury wyborów, tym pojedynek ten staje się coraz bardziej brutalny. Nic dziwnego, walka idzie o zdobycie przez Platformę ostatnich niezależnych od niej organów państwa.

PiS głównie się broni. W mniejszym stopniu planuje jakieś szersze operacje polityczne po ewentualnym sukcesie Karola Nawrockiego. Co ciekawe, bardzo wielu publicystów obozu liberalnego ma wręcz obsesję na punkcie wygrania tych wyborów. Dla nich cokolwiek innego niż „totalne domknięcie układu" – by użyć słynnych słów Grzegorza Schetyny – naprawdę kojarzy się z zapadnięciem Polski liberalnej w jakiś niebyt. A przecież obóz liberalny ma więcej kart – silne oparcie w Unii Europejskiej, asystę Niemiec, przewagę w elitach intelektualnych i artystycznych. A jednak tam też pojawia się wspominanie wyborów 1989 r. jako punktu odniesienia w rozważaniach o najbliższych wyborach. Tak jakby to oni byli obecnie pod naciskiem kolejnych śledztw prokuratur czy postępowań sądów w sprawie odebrania koncesji ich ulubionym mediom. Trudno zapomnieć ponurą wizję publicystki „Newsweeka" Dominiki Długosz, która w jednym z programów telewizyjnych epatowała wizją masowych aresztowań w razie powrotu PiS do władzy.

O CO IDZIE GRA?

A jednak to ewentualna wygrana Rafała Trzaskowskiego przyniesie realne niszczenie wszystkich instytucji i organów państwowych, które chronił prezydent wykorzystujący swoją jedyną broń – weto. Jeśli obecny prezydent Warszawy zostanie gospodarzem Belwederu, to zatwierdzać będzie likwidację Trybunału Stanu, wszystkich, uznawanych za nielegalne, organów sądowych.

eprasa.pl 2d5f1223d6

Jak można się domyśleć, Platforma przyłoży się do likwidacji Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, a największym marzeniem PO jest cofnięcie koncesji dla dwóch największych prawicowych stacji telewizyjnych. Dopiero gdy zostanie wykonana ta pierwsza część niszczycielskiej pracy, przyjdą drobne zmiany, które Platforma i – szerzej – koalicja uważały za plamę na swoim honorze. Obecni tymczasowi szefowie placówek, którzy zastąpili usuwanych nominatów ambasadorskich z czasów PiS, wreszcie zasiądą w swoich fotelach, mogąc być oficjalnie tytułowani ambasadorami.

I wtedy z pewnością pojawi się już konkretny projekt delegalizacji partii Prawo i Sprawiedliwość. Konfederacja Sławomira Mentzena, słuchająca jak dotąd dość obojętnie o antypisowskich projektach platformerskich posłów, doczeka się momentu, w którym po likwidacji PiS przyjdzie i na nią kolej. Sukces Trzaskowskiego to koniec jakichkolwiek ograniczeń arogancji Platformy i ich poczucia bezkarności. Aparat platformerski czy – szerzej – koalicji wbije się w jeszcze większą pychę. Oczywiście może to być dla tego obozu gwoździem do trumny, ale nikomu, kto dobrze życzy Polsce, nie mieści się w głowie przyjmowanie zasady „im gorzej – tym lepiej".

Zwykłym Polakom zwycięstwo Trzaskowskiego wróżyć będzie masowe cięcie wszelkich możliwych finansowych świadczeń społecznych i ulg. A luka budżetowa jest tak duża, prawdziwy stan budżetu jest tak fatalny, że wszelkie cięcia będą wprowadzane niezwykle szybko. Platforma nie będzie musiała już udawać dobrego wujka zaklinającego się, że nigdy nikomu nie odbierze tego, co zostało dane. Miarą tej gorączki przy marzeniach o tym, jak będzie się rżnęło budżet, gdy już piękny Rafał zdobędzie Belweder, są doniesienia mediów o tym, jak w obozie rządzącym trwają rozważania, czy nie zorganizować dodatkowego posiedzenia Sejmu w sierpniu. Wysadziłoby to w powietrze plany urlopowe wielu posłów i naraziłoby na szwank wykupione już niekiedy wczasy na Seszelach czy choćby w Tunezji, ale – jak głoszą słuchy z Ministerstwa Finansów – jego przywódcy chcą jak najszybciej przeprocedować ustawy ratujące budżet przed katastrofą.

Wygrana Trzaskowskiego będzie też sygnałem dla Unii Europejskiej, że nie trzeba już czekać z wcielaniem w życie zapisów paktu migracyjnego. Ponadto na swój sposób może zareagować amerykańska administracja Donalda Trumpa. Jeśli wybory prezydenckie wygra Rafał Trzaskowski, to Trump uzna, że Polska stała się już ostatecznie satelitą Niemiec, w związku z tym może dojść do wniosku, że Stany Zjednoczone mają prawo porzucić sprawę polską bardzo szybko. O tym, jak prosto podchodzi Trump do tych spraw, świadczy nieporównywalna z potencjałem – czy to demograficznym, czy to gospodarczym – mocna pozycja Węgier wobec USA. Amerykanie cenią kraje z silnie ugruntowaną pozycją przywódcy, który może być dla nich użytecznym partnerem.

Wygrana Trzaskowskiego będzie też sygnałem dla Unii Europejskiej, że nie trzeba już czekać z wcielaniem w życie zapisów paktu migracyjnego

Oczywiście jeśli wygra Karol Nawrocki, to Polska będzie dalej podzielona między władzę prezydencką a siłę rządu, ale jednak będzie to sytuacja bardziej skłaniająca Amerykanów do niespisywania naszego kraju na straty. Ponieważ mamy ciągle pamięć o ośmioletniej prezydenturze Andrzeja Dudy, to wciąż nie dociera do nas, jak wielką zmianę wywoła przejęcie Pałacu Prezydenckiego przez Platformę. Medialne pogłoski o tym, że szefową kancelarii Trzaskowskiego byłaby obecna „ministra" oświaty Barbara Nowacka, pokazują, że piękny Rafał już teraz planuje zrzucenie z siebie konserwatywnego kostiumu jak bezużytecznego stroju. Jeśli połączyć to z końcem patronowania przez urząd prezydencki nad wieloma inicjatywami patriotycznymi i konserwatywnymi, to zmiana będzie dla prawej strony niezwykle bolesna i dolegliwa.

BRAK RÓWNOWAGI

Dlaczego wciąż mówię o konsekwencjach wygranej Rafała Trzaskowskiego? Bo owo absolutne domknięcie władzy przez Platformę będzie czymś, czego efektów bardzo wielu wyborców centrum nie jest w stanie sobie wyobrazić. To samo zresztą dotyczy wyborców Konfederacji, którzy ekscytują się wizją końca duopolu PO-PiS, ale nie rozumieją, że bez partii Jarosława Kaczyńskiego poczują na własnej skórze skutki dominacji PO w bardzo bolesny sposób.

Mówi się, że sztab Platformy uzyskał informację o drugim mieszkaniu Karola Nawrockiego z ankiety, którą kandydat na szefa IPN wypełnił na potrzeby ABW, aby uzyskać certyfikat bezpieczeństwa. W takiej ankiecie należy podać wszystkie informacje, które potencjalnie mogłyby zostać użyte do szantażu lub skompromitowania certyfikowanej osoby. Jeśli ankieta ABW faktycznie została wykorzystana przez sztab PO do znalezienia najlepszego „haka" na kandydata w kampanii, to okaże się, że w przyszłości nikomu już nie będzie się opłacało w ankietach być szczerym, bo kiedyś użyją tego przeciwnicy polityczni akurat kontrolujący tajne służby.

To dobry przykład, jak w razie domknięcia układu wzmocnić się może pozycja służb specjalnych, które początkowo będą lojalne wobec Platformy, ale wobec braku realnej kontroli ze strony opozycji wyrosnąć mogą na autonomiczną siłę.

Oczywiście wypadki w razie wygranej Nawrockiego mogą pójść też w drugą stronę. Jeśli Nawrocki wygra i wykaże się odpowiednią zręcznością, to może doczekać jakiegoś kryzysu w koalicji, który spowoduje rozpad układu PO-Trzecia Droga-Nowa Lewica. Ale na to szans jest o wiele mniej niż na przynajmniej trwanie koalicji w obecnym kształcie. Dlatego dziś kwestie wygranej kandydata opozycji, do której to roli najbliżej jest na razie Karolowi Nawrockiemu, należy w pierwszej mierze postrzegać jako blokowanie wszechwładzy Donalda Tuska.

Ostatnie półtora roku władzy tego mistrza manipulacji pokazało, że jest to polityk zdolny do wszystkiego. Jeśli zostanie pozbawiony ograniczenia ze strony niekontrolowanego przez siebie prezydenta, to może się posunąć do rzeczy, o których dziś nawet trudno pomyśleć. Dlatego kartka wyborcza 18 maja, a potem 1 czerwca teraz powinna być postrzegana przede wszystkim jako głos na zablokowanie monopolu.

To jest teraz najważniejsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Beztreściowy bełkot Radosława Sikorskiego

Łukasz Warzecha

Po niegdysiejszym sporze między koncepcjami piastowską i jagiellońską nie ma już śladu – pozostało przerzucanie się gotowymi frazesami, czyli – mówiąc po gombrowiczowsku – formami. Z jednej strony są wielbiciele głównego nurtu, którego najnowszym wydaniem ma być ogłoszone dumnie przez pana premiera „nowe otwarcie z Niemcami", z drugiej zaś „dumni Sarmaci", wygrażający Berlinowi pięścią, pokrzykujący o reparacjach, werbalnie walczący z Brukselą – a w tym wszystkim groteskowo wręcz nieskuteczni i jałowi

29 sierpnia 2009 r., trzy dni przed 70. rocznicą wybuchu drugiej wojny światowej, ówczesny minister spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska, Radosław Sikorski, opublikował w „Gazecie Wyborczej" tekst zatytułowany „1 września – lekcja historii". Podejmował w nim polemikę z reprezentowaną przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego tzw. jagiellońską wizją polskiej polityki zagranicznej. Sam opowiadał się za „wizją piastowską".

Szef MSZ napisał: „Przegrana wojna polsko-niemiecka 1939 r. oznaczała klęskę cywilizacyjną »państwowości jagiellońskiej«. II Rzeczpospolita była przednowoczesnym w istocie państwem wielonarodowym. Ze względu na zbyt krótki okres wspólnej »nowożytnej« państwowości poszczególne segmenty etniczne nie zespoliły się w jeden naród polityczny, tym bardziej że segmenty owe – z jednej strony np. mniejszość niemiecka, z drugiej – białoruska i ukraińska ludność Kresów – znajdowały się na różnych etapach procesu modernizacyjnego. Mozaikowość struktury socjoekonomicznej II RP czyniła z niej kłębek sprzeczności, gdzie współistnieją elementy przednowoczesne i zarazem enklawy modernizacji".

Dalej zaś Sikorski stwierdzał: „Dlatego z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć: właściwej odpowiedzi na dylematy geostrategiczne i tożsamościowe Polski nie oferują jagiellońskie ambicje mocarstwowe. Jest nią natomiast nowoczesne państwo narodowe, przy czym przymiotnika »narodowy« używam nie w znaczeniu etnicznym, tylko politycznym, obywatelskim. Oznacza to, że zaangażowanie Polski w proces integracji europejskiej jedynie wzmacnia nowocześnie pojmowany charakter polskiego państwa narodowego, sprzyjając zjawiskom modernizacyjnym. Modernizacja i integracja to dwa kluczowe pojęcia na współczesnym etapie rozwoju Polski".

PORAŻKA LECHA KACZYŃSKIEGO

Było to przeciwstawienie się koncepcji ówczesnego prezydenta, który widział Polskę jako przywódcę regionalnego bloku państw, nawiązując właśnie do idei jagiellońskiej. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że koncepcja Lecha Kaczyńskiego była mocno idealistyczna, a mało realistyczna. Gorzką ironią jest, że dwa dni przed swoją śmiercią pod Smoleńskiem prezydent Kaczyński powrócił z podróży na Litwę, gdzie otrzymał mocny cios w postaci odrzucenia ustawy umożliwiającej polską pisownię nazwisk w przypadku polskiej mniejszości. A przecież to Wilno miało być jedną z kotwic owej „polityki jagiellońskiej". Kropkę nad „i" stawiają relacje polsko-ukraińskie po wybuchu wojny na Ukrainie – wbrew obowiązkowej oficjalnej serdeczności, forsowanej agresywnie przez poprzednią władzę, odwołującą się obszernie właśnie do dziedzictwa Lecha Kaczyńskiego w tej kwestii, te stosunki są kiepskie, a Polacy w znacznej części odwracają się od Ukrainy i Ukraińców. Co więcej, jasne staje się, że nie może tu być mowy o żadnej „polityce jagiellońskiej" w obliczu olbrzymich różnic konkretnych interesów oraz postrzegania spraw historycznych. To właśnie czas po 24 lutego 2022 r. objawił, do jakiego stopnia koncepcja zmarłego tragicznie prezydenta była mrzonką.

Nawet jeśli artykuł Radosława Sikorskiego był nieco wtórną racjonalizacją konfliktu z prezydentem, wynikającego z trwającej już wówczas wojny politycznych plemion, to jednak warto o nim przypomnieć jako o jednej z ostatnich prób podjęcia poważnej debaty o kierunkach polskiej polityki zagranicznej. Nawet jeśli nie zgadzaliśmy się z panem ministrem, jego tekst zawierał konkretne i jasno wyrażone argumenty, a spór pomiędzy wizją jagiellońską a piastowską (to oczywiście określenia symboliczne) był jak najbardziej realny. Najważniejsze zaś, że był to spór o coś, a nie jedynie przekrzykiwanie się, okładanie memami i obelgami.

Do tamtej debaty nawiązał dyskretnie Radosław Sikorski, wygłaszając niedawno w Sejmie swoje exposé (jak się pochwalił – już po raz dziewiąty w życiu). Na początku powiedział: „Osiemnastego kwietnia, jak już wspomnieliśmy przed chwilą, obchodziliśmy tysięczną rocznicę koronacji Bolesława Chrobrego – wydarzenia, które symbolizuje narodziny Polski jako pełnoprawnego podmiotu na arenie międzynarodowej. Spójrzmy na nią jako na szkołę dyplomacji i zawierania strategicznych sojuszy. Koronacja Chrobrego była przecież rezultatem przemyślanej polityki zagranicznej – począwszy od chrztu przyjętego przez Mieszka, a następnie Zjazdu Gnieźnieńskiego i budowania relacji z ówczesnym cesarzem Niemiec. Tak jak nasi piastowscy przodkowie,

eprasa.pl 2d5f1223d6

musimy mieć mądrość dobierania właściwych partnerów i tworzenia skutecznych przymierzy".

Problem w tym, że gościem przyszłego polskiego króla na zjeździe gnieźnieńskim był cesarz Otton III, przejęty szczerze idealistyczną wizją budowania wspólnoty chrześcijańskich bytów politycznych, włączając w to Sclavinię, czyli Słowiańszczyznę, traktujący Bolesława jako partnera i być może oferujący mu godność patrycjusza Cesarstwa Rzymskiego. Natomiast w momencie koronacji pierwszego polskiego króla skończyły się rządy następcy przedwcześnie zmarłego Ottona III, Henryka II, z którym relacje Chrobry miał już znacznie gorsze. O tym pan minister jednak nie wspomniał, bo nie za bardzo pasowałoby to do tonu jego wystąpienia.

BEZSILNOŚĆ POLSKI

Exposé szefa MSZ nie odbiło się szerszym echem – wszak zostało wygłoszone w środku prezydenckiej kampanii wyborczej, gdy media i obserwatorzy skupieni są na czym innym. Szkoda, bo świadczy ono niestety o daleko posuniętej bezsilności Polski wobec rewolucyjnych wręcz geopolitycznych procesów. Nie żeby było to coś szczególnie nowego, jednak o ile można sobie pozwolić na pewną bierność (choć lepiej, aby jej nie było) w momentach względnej stabilności, o tyle w czasach zamieszania może ona być dla państwa zabójcza.

Minister Sikorski stwierdził, że pojawiły się cztery trendy dla Polski niepożądane: podział świata na strefy wpływów zamiast na strefy sojuszy; odejście od globalnych norm, takich jak poszanowanie suwerenności, na rzecz powrotu do prawa siły; osłabienie organizacji międzynarodowych na rzecz relacji dwustronnych opartych na myśleniu transakcyjnym; dezinformacja zrównująca w debacie publicznej prawdę i fałsz.

Ostatni z wymienionych trendów to jazda obowiązkowa obozu „demokracji liberalnej", która w ten sposób próbuje uzasadniać cenzorskie rozwiązania – szkoda, że pan minister Sikorski zdecydował się włączyć tę sprawę do katalogu wymienianych przez siebie problemów.

Resztę listy można uznać nawet za trafne, choć przerysowane opisanie faktycznych problemów. Faktycznie, następuje przesunięcie punktu ciężkości w kierunku stref wpływów. Ale czy kiedykolwiek strefy wpływów zniknęły? Czy kiedykolwiek zastąpiły je sojusze? W największym stopniu dotyczyło to szeroko rozumianego Zachodu, ale już nie reszty świata – tam strefy wpływów zawsze miały się świetnie i były cały czas rozbudowywane (vide: choćby trwająca w ciągu ostatnich co najmniej kilkunastu lat rywalizacja Rosji, Chin czy Francji o Afrykę z surowcami naturalnymi w tle). Poza tym nawet Unia Europejska, idealizowana przez obóz pana Sikorskiego, jest w istocie zinstytucjonalizowanym mechanizmem tworzenia stref wpływów, sprzyjającym największym państwom UE.

W drugiej sprawie także można mówić o przesunięciu akcentów, ale nie o radykalnej zmianie. Przecież to Polska w 2008 r. decyzją właśnie pana Sikorskiego usankcjonowała oderwanie części terytorium od Serbii poprzez uznanie Kosowa – bandyckiego pseudopaństewka, do dziś stwarzające dla Europy ogromne problemy i będącego ośrodkiem przemytu oraz przestępczości. Było to następstwem nielegalnej z punktu widzenia prawa międzynarodowego interwencji NATO w Serbii w 1999 r. Podobnie nielegalna była operacja amerykańska przeciwko Irakowi w 2003 r. – reżim Saddama Husajna został obalony siłą w następstwie klasycznej wojny napastniczej, której uzasadnienie – rzekome zasoby broni chemicznej w Iraku – okazało się nieprawdziwe. Osoby pochwalające tę wojnę teoretycznie powinny za to w Polsce odpowiadać karnie na podstawie art. 117 Kodeksu karnego. Tylko ktoś całkowicie nieposiadający wiedzy o najnowszej historii stosunków międzynarodowych mógłby twierdzić, że teraz nagle siła staje się czynnikiem decydującym i ważnym. Była takim cały czas.

Co do poszanowania i siły organizacji międzynarodowych – trzeba by może przypomnieć panu ministrowi, że to jego własny rząd uznał, iż izraelskiemu premierowi Beniaminowi Netanjahu należy zapewnić specjalny immunitet od listu gończego, wystawionego za nim przez Międzynarodowy Trybunał Karny, na wypadek gdyby zechciał przyjechać do naszego kraju przy okazji rocznicy wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Narzekanie zaś na politykę transakcyjną jest już całkowicie niepoważne. Niezależnie od tego, że działania ONZ nie mają od dawna żadnego faktycznego znaczenia, to właśnie rezolucje czy to Rady Bezpieczeństwa, czy Zgromadzenia Ogólnego są wręcz modelowym przykładem tego, jak działa polityka transakcyjna. W tych gremiach twarde interesy decydują o tym, jak się głosuje.

Nawet jednak gdyby ostatecznie uznać, że przesunięcie akcentów we

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA MUZYKA

eprasa.pl 2d5f1223d6

wszystkich tych sferach następuje w kierunku dla Polski niekorzystnym, to podstawowe pytanie powinno brzmieć: Co możemy zrobić? I tutaj padła odpowiedź, najdelikatniej mówiąc, nieszczególnie przekonująca i bardzo sztampowa. Pan minister wskazuje, że należy wzmocnić zdolności obronne państw europejskich, a także samej UE; utrzymać współpracę transatlantycką; bronić globalnego porządku w poszanowaniu Karty Narodów Zjednoczonych; angażować Polskę w dialog z krajami globalnego Południa (tak określa się umownie blok państw w tej chwili mających lepsze relacje z Chinami i Rosją niż z Zachodem).

Na plus panu Sikorskiemu trzeba policzyć, że w swoim wystąpieniu przynajmniej nie poszedł w kierunku bezmyślnego hejtowania USA, co skwapliwie uprawia wielu jego partyjnych kolegów, o Chinach zaś wyrażał się w bardzo umiarkowanym stopniu krytycznie, podkreślając jednocześnie wagę wzajemnych dobrych relacji. Na tym jednak plusy się kończą, bo żaden z wymienionych punktów nie jest remedium na przedstawione wcześniej niekorzystne trendy. Co więcej, niewiele za tymi punktami stoi. Na przykład, gdy idzie o skądinąd rozsądne zalecenie, aby pielęgnować więzy z krajami globalnego południa (zatem np. z Indiami, państwami Afryki czy Azji Wschodniej) – szef MSZ nie prezentuje żadnego konkretnego pomysłu. Mówi: „Rosja i Chiny próbują wiązać ze sobą wiele państw wschodzących poprzez inwestycje o charakterze uzależniającym. My natomiast, poza współpracą handlową, możemy zaproponować takie formy współpracy rozwojowej, które pomogą im zachować niezależność. Rozwój przedsiębiorczości oraz edukacja – tak na miejscu, jak poprzez stypendia w Polsce – przynoszą obopólne, długofalowe dywidendy". Serio? To ma być koncept na przebicie lub choćby uzupełnienie oferty Moskwy i Pekinu?

Takich rytualnych zaklęć jest w wystąpieniu więcej. W sekcji poświęconej Unii Europejskiej pan Sikorski wysławia np. „unię wartości" jako „związek państw, w którym prawa człowieka, zasady demokracji i rządów prawa stanowią spoiwo kształtujące naszą wspólną europejską tożsamość". To beztreściowy bełkot, będący zasłoną dla brutalnej walki o interesy głównego nurtu. Po działaniach niszczących demokrację w Rumunii, Francji i Niemczech, a wcześniej poczynaniach wobec Polski w sprawie KPO, widać to, jak na dłoni i pan Sikorski to również świetnie wie. Gdy moment dalej mówi o „unii wzrostu i konkurencyjności" jako szansie dla Polski, zapomina chyba, że UE sama zgina się pod ciężarem swojej absurdalnej polityki klimatycznej.

UZNANIE SWOICH OGRANICZEŃ

Przede wszystkim jednak wystąpienie pana ministra jest nawet nie reaktywne – jest zawieszone w próżni. Brakuje w nim jasnego stwierdzenia, że Polska jest zdecydowanie zbyt słaba, aby odwrócić wymienione tendencje w stosunkach międzynarodowych. A jeśli jest się zbyt słabym, aby zmienić bieg zdarzeń na korzystny dla siebie, to pozostaje się zaadaptować. Tymczasem właśnie o adaptacji do nowej sytuacji nie ma w wystąpieniu literalnie ani słowa. W gruncie rzeczy zatem całe tegoroczne wystąpienie Radosława Sikorskiego było przyznaniem się do kompletnej słabości, bierności i braku realnego pomysłu, przykrytym nic niewnoszącymi frazesami.

Naszym zadaniem powinno być właściwe ocenienie naszych sił i poszukanie własnej metody na skuteczne funkcjonowanie w nowym ładzie

Czy jednak można powiedzieć, że to radykalna zmiana na gorsze w relacji do poprzednich lat, gdy o polityce zagranicznej mówili panowie Jacek Czaputowicz i Zbigniew Rau? Bynajmniej. W polityce europejskiej za rządów PiS nie udało się Polsce załatwić niczego z ważnych dla nas spraw. Przede wszystkim rząd Mateusza Morawieckiego wmanewrował nas w skrajnie dla nas niekorzystne politykę klimatyczną i mechanizm „pieniądze za praworządność". To dzięki głosom europosłów PiS po raz pierwszy objęła fotel przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Dla Stanów Zjednoczonych byliśmy podwykonawcą ich polityki, w żadnym momencie nie próbując zmienić naszej relacji na choćby lekko bardziej partnerską. W polityce wschodniej – całkowita porażka, od kompletnego frajerstwa wobec Ukrainy (trudno to inaczej określić) do przyczynienia się do całkowitego uzależnienia Białorusi od Rosji w imię niekonsekwentnego wspierania rzekomych demokratycznych tendencji tamże zamiast działania z gruntu pragmatycznego. Lekkim plusem może być jedynie to, że – w dużej mierze dzięki prezydentowi Andrzejowi Dudzie – staraliśmy się zachować dobre relacje z Chinami, niezależnie od amerykańskich nacisków w tej sprawie. W pewnym momencie pozwoliło to nawet na zmniejszenie nacisku na naszą wschodnią granicę. To jednak nie zmienia ogólnego tragicznego bilansu.

Może się to wydawać bardzo odległym porównaniem, ale polska polityka zagraniczna powinna brać lekcję z Witolda Gombrowicza (i nie chodzi o nawiązanie bliskich relacji z Argentyną, choć akurat dobrze byłoby przenieść sposób myślenia Javiera Mileia o gospodarce na polski grunt). Gombrowicz w swoim „Dzienniku", „Trans-Atlantyku" i wielu innych dziełach wskazywał, że Polska wyzwoli się ze swoich kompleksów jedynie wówczas, jeśli zacznie świadomie korzystać z własnej niedojrzałości. Czyli – jeśli zobaczy się taką, jaka jest naprawdę, i przestanie udawać kogoś, kim nie jest. Po niegdysiejszym sporze między koncepcjami piastowską i jagiellońską nie ma już śladu – pozostało przerzucanie się gotowymi frazesami. Mówiąc po gombrowiczowsku – formami. Z jednej strony wielbiciele głównego nurtu, którego najnowszym wydaniem ma być ogłoszone dumnie przez pana premiera „nowe otwarcie z Niemcami"; z drugiej zaś – „dumni Sarmaci", wygrażający Berlinowi pięścią, pokrzykujący o reparacjach, werbalnie walczący z Brukselą – a w tym wszystkim groteskowo wręcz nieskuteczni i jałowi.

Naszym zadaniem powinno być właściwe ocenienie naszych sił, przyznanie się do ograniczeń przed samymi sobą i poszukanie własnej metody na skuteczne funkcjonowanie w nowym ładzie. Tak jak już dawno temu zrobiły to Węgry pod przywództwem Viktora Orbána.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Polskie dylematy energetyczne

Piotr Ciompa

Nie ma dostawcy technologii jądrowej, z którym współpraca nie wiązałaby się z poważnym ryzykiem. Polsce pozostaje jedynie jego minimalizowanie. Wymaga to długofalowej strategii, przekraczającej horyzont wyborczy. Nie powiedzie się to, jeżeli nie będzie wokół tych decyzji konsensusu głównych sił politycznych

Pod koniec kwietnia bieżącego roku media zaabsorbowało podpisanie przez spółkę Polskie Elektrownie Jądrowe oraz konsorcjum firm amerykańskich Westinghouse i Bechtel umowy przybliżającej rozpoczęcie budowy pierwszej polskiej elektrowni atomowej w gminie Choczewo na Pomorzu. Działo się to w obecności premiera Donalda Tuska i sekretarza do spraw energii USA Chrisa Wrighta. Tymczasem wydarzeniu nadano rangę wyższą, niż na to zasługiwało.

To ledwie jeden z wielu etapów. Podobnych umów przed rozpoczęciem dostaw prądu zostanie podpisanych jeszcze wiele. Spin doctorzy za każdym razem będą nas przekonywać o doniosłości aktualnie podpisywanej, by politycy i top menedżerowie ogrzali się w świetle jupiterów. Ale nadal nic nie jest przesądzone. Tak więc faktycznym celem demonstracyjnego podpisania umowy, obok drugorzędnego wytknięcia poprzedniemu rządowi, że jego następca poprawia po nim niekorzystne warunki umowy z amerykańskimi firmami, było chyba zamanifestowanie jakoby dobrych relacji obecnego gabinetu z USA. „Będziemy budować więcej takich reaktorów jądrowych zarówno w Polsce, jak i w innych państwach w całej Europie" – powiedział po podpisaniu umowy Donald Tusk. Jak to się ma do obietnic złożonych Francji, której trzeba będzie zapłacić jakąś walutą za rozpięcie nad Polską parasola atomowego – nie wiadomo. Nie wiadomo, ponieważ obiecywana od listopada, a od lutego „solennie", przez Ministerstwo Przemysłu aktualizacja Programu Polskiej Energetyki Jądrowej się nie wydarzyła. Aby wypełnić nadzieje robione USA i Francji, Polska musiałaby oprócz Choczewa zadeklarować wybudowanie nie jeszcze jednej dużej elektrowni atomowej, ale dwóch. A może czterech? Lub czterdziestu?

KOMU POLSKA OBIECAŁA?

„Dwa razy obiecać to jak raz dotrzymać" – powiedział w restauracji Sowa i Przyjaciele Radosław Sikorski. Czy tę zasadę rząd Platformy Obywatelskiej stosuje także w relacjach międzynarodowych? Bo nie tylko Francji i USA Donald Tusk czyni nadzieje na budowę elektrowni. W styczniu 2025 r. szef rządu podpisał z premierem Kanady Justinem Trudeau umowę o współpracy atomowej, w tym w zakresie małych reaktorów jądrowych (SMR). Ale na internetowej stronie rządu po wspomnianym na wstępie spotkaniu premiera z Chrisem Wrightem jest informacja, że w zakresie SMR-ów Polska podejmie współpracę z USA. To właściwie komu Polska obiecała, że weźmie od niego technologię? Jest to ciekawy przyczynek do debaty toczącej się w Kanadzie – postawić na rozwój własnej technologii czy brać ją od Amerykanów. Po ostatnich kanadyjskich doświadczeniach z Donaldem Trumpem wybrzmiały argumenty, że reeksport tej technologii będzie na warunkach Trumpa, czyli ze znikomą korzyścią dla Kanady, mimo podjęcia się przez Kanadę roli królika doświadczalnego dla General Electric i budowy na jej terytorium prototypu małego reaktora BWRX-300, który też ma być potem budowany w Polsce. Czy w zakresie małych reaktorów Tusk zamierza porzucić Kanadę na rzecz USA?

Przypadek Kanady dobrze pokazuje, jak państwa posiadające cywilną technologię nuklearną grają tą kartą w stosunkach międzynarodowych. Kanada zaliczała się kiedyś do mocarstw na polu cywilnej energetyki jądrowej, dopracowując się w latach 50. XX w. własnej technologii (CANDU). Wyeksportowała ją do takich państw jak Argentyna, Chiny, Korea Południowa, Indie, Pakistan czy Rumunia. Zwłaszcza te trzy ostatnie partnerstwa pozwoliły Kanadzie zaznaczyć się w globalnej polityce niewspółmiernie do posiadanego potencjału. Jednakże dziś ta technologia jest już przestarzała, a jej modernizacja zapowiadana jest dopiero na 2035 r. Inwestycja w sześć różnych projektów małych reaktorów jądrowych nie przyniosła rezultatów. Zdecydowano się więc na import technologii amerykańskiej korporacji General Electric, której proces certyfikacyjny napotkał w USA przeszkody, nie mówiąc o morderczej konkurencji cenowej ze strony producentów energii z gazu łupkowego. Plan Kanady był taki, by po zainwestowaniu we wcześniej nigdzie niezbudowany reaktor BWRX-300 i poniesieniu ryzyka ekonomicznego oraz w zakresie bezpieczeństwa promieniotwórczego zostać światowym reeksporterem tej technologii, dyskontując korzyści ekonomiczne i polityczne. Elementy tego reaktora miały być dla całego świata produkowane w fabrykach kanadyjskich. Inwestycja w reaktor BWRX-300 miała się zwrócić. Kanadyjski dozór jądrowy miał pomagać krajom o niewielkim doświadczeniu w branży. Państwowa Agencja Atomistyki w Polsce została pierwszym „klientem". W 2023 r. podpisano stosowną umowę i powołano polsko-kanadyjski zespół zadaniowy. Ale niestety nadeszła era Trumpa.

Polska nie posiada własnej technologii atomowej, więc swojej szansy musi

eprasa.pl 2d5f1223d6

szukać w zręcznym lawirowaniu między dostawcami technologii z uwzględnieniem atutów i zagrożeń, które niosą poszczególne opcje. Upraszczając, dwa podstawowe kryteria wyboru dostawcy to koszt produkcji energii, by była ona konkurencyjna wobec innych rynków (czynnik ten powinien uwzględniać harmonogram dekarbonizacji narzucany przez Brukselę, którego przekroczenie może spowodować dodatkowe koszty, chyba że reżim ten zelżeje), oraz bezpieczeństwo energetyczne, bo lepiej mieć prąd drogi, niż nie mieć go wcale. Między tymi kryteriami istnieje napięcie. Najtańszą technologią byłaby technologia rosyjska, nie spełnia ona jednak drugiego kryterium wyboru. Ale czy droższe oferty z USA i Francji zapewniają Polsce całkowite bezpieczeństwo dla naszej suwerenności? Oba kraje mają w naszym regionie mniejsze lub większe interesy polityczne, a pozyskanie wsparcia Polski – czy to perswazją, czy szantażem energetycznym (np. przez odcięcie dostaw paliwa jądrowego dla ich technologii) – może być dla naszego kraju poważnym zagrożeniem. Świat, w którym stosunki między państwami w istotnym stopniu gwarantowały wartości, już się skończył, i to bynajmniej nie wraz z nadejściem Trumpa, jak utrzymują liberałowie, ale w momencie niemieckiej decyzji o budowaniu Nord Stream. Nadto ryzyko zerwania konsensusu w polityce zagranicznej kolejnych rządów (to nie tylko Trump po Joe Bidenie, ale Marine Le Pen lub ktoś od niej po Emmanuelu Macronie, a potem być może znowu odwrócenie układu rządzącego) czyni długofalowe wybory w energetyce jądrowej bardzo niepewnymi. Inwestycja w elektrownię jądrową zwiąże Polskę z dostawcą technologii na co najmniej kilkadziesiąt lat. Jak tu planować strategię w takiej perspektywie?

Odpowiedzią na te dylematy może być import technologii dla kolejnej dużej elektrowni jądrowej z państwa, które w naszym regionie Europy ma znikome interesy polityczne i dla którego liczy się prawie wyłącznie biznes. Czy takim państwem może być Kanada z jej oryginalną technologią ciężkowodną CANDU? Niezawinioną wadą tej technologii jest to, że po wyborze dla Choczewa reaktora w technologii wodno-ciśnieniowej Polska powinna starać się, by kolejne reaktory, nawet jeżeli będą od różnych dostawców, były budowane w tej samej technologii.

Spotkanie sekretarza do spraw energii USA Chrisa Wrighta (drugi od lewej) z premierem Donaldem Tuskiem w Warszawie, 28 kwietnia 2025 r. FOT. HORNET/REPORTER

Dla Państwowej Agencji Atomistyki czy Urzędu Dozoru Technicznego przygotowanie się do wykonania swoich zadań dla jednej technologii będzie poważnym wyzwaniem, a co dopiero dwóch różnych (dlatego projekt Michała Sołowowa budowy sieci małych reaktorów BWRX-300 General Electric w technologii wodno-wrzącej jest niespójny z podjętymi już decyzjami państwa). Technologia kanadyjska ma dla Polski ciekawą zaletę – nie wymaga wzbogaconego uranu jako paliwa, tylko wystarcza jej uran naturalny. Według szacunku Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Polska posiada ok. 7 tys. ton uranu naturalnego i dodatkowo powinna posiadać ok. 100 tys. ton złóż jeszcze nieodkrytych. Ich eksploatacja byłaby nieopłacalna, ale w wypadku światowej zawieruchy przerywającej łańcuchy dostaw na wiele lat zasoby te zapewniłyby Polsce samowystarczalność, o ile zdecydowalibyśmy się ponieść niemałe koszty przystosowania się do realizacji takiego scenariusza. Z taką technologią Polski nikt by nie szantażował odcięciem dostaw paliwa jądrowego. Problem w tym, że aktualna wersja CANDU należy do technologii starszej generacji reaktorów. Jej modernizacja przewidziana jest na rok 2035. Czy dla Polski to nie za późno? Rumunia oceniła, że może czekać, i podpisała stosowne listy intencyjne.

Może więc takim bezpiecznym dla Polski dostawcą technologii jądrowej byłaby Korea Południowa? Na to pytanie były pełnomocnik rządu do spraw infrastruktury energetycznej Piotr Naimski udzielił krótkiej odpowiedzi, która najlepiej uczy myślenia o państwie w oderwaniu od kalendarzy wyborczych i ideologicznych preferencji. „Korea Południowa? Pięćdziesiąt lat temu istniało państwo Wietnam Południowy. Gdzie ono dzisiaj jest?!". Korea znajduje się w oku wzbierającego się cyklonu w regionie Pacyfiku, czyli starcia Chin z USA i jego sprzymierzeńcami. Chociaż koreański kierunek importu technologii jądrowej nie musi zostać zamknięty, to warto mieć na uwadze takie argumenty.

TEORIE SPISKOWE

Na marginesie należy zauważyć, że z grona dostawców technologii nuklearnych wypadła Wielka Brytania. Zadecydowała o tym Margaret Thatcher, wycofując wsparcie państwa dla branży, która jak inne miała utrzymywać się

eprasa.pl 2d5f1223d6

„z rynku". Inwestycja w elektrownię jądrową to horyzont kilkudziesięcioletni. Kapitał prywatny nie potrafi wycenić tak długiej ekspozycji na ryzyko i nie chce inwestować bez gwarancji państwa. Upór Thatcher zaowocował tym, że kolejne elektrownie jądrowe buduje w Wielkiej Brytanii francuska firma państwowa EDF. A państwo brytyjskie i tak musi partycypować w kosztach poprzez udzielenie odpowiednich gwarancji.

Kluczowym czynnikiem mogącym „wywrócić stolik", na którym podpisano tak promowaną przez media rządowe umowę z Amerykanami, jest decyzja niechętnej atomowi Brukseli o warunkach udzielenia pomocy publicznej. Zgoda na dopuszczenie do obrotu prądu z elektrowni jądrowych tylko wtedy, gdy OZE nie są w stanie z powodu warunków pogodowych jej produkować, przekreśla ekonomiczny sens ich budowy. Takie warunki podyktowano Czechom dla elektrowni w Dukowanach. Donald Tusk będzie miał okazję udowodnić, że chełpliwość jego ostatniego orędzia, iż głos Polski jeszcze nigdy nie był tak doniosły w Europie, ma pokrycie w uzyskaniu lepszych warunków, niż uzyskali Czesi. Będzie to trudne. Jeżeli do wybudowania kolejnej elektrowni zostaną zaproszeni Francuzi, być może to wzmocni pozycję negocjacyjną Polski wobec Brukseli, ułatwiając też negocjacje warunków dla jednej elektrowni „amerykańskiej" lub dwóch. Na marginesie: krążą teorie spiskowe, wedle których Donald Tusk wcale nie chce twardo negocjować z Brukselą, a odwrotnie – jej rękami chce załatwić wycofanie się z budowy w Choczewie, by uwolnić się od zobowiązań, także społecznych, zaciągniętych w imieniu państwa przez poprzedników, na co sam nie ma odwagi.

Świat, w którym stosunki między państwami w istotnym stopniu gwarantowały wartości, już się skończył, i to bynajmniej nie wraz z nadejściem Trumpa, jak utrzymują liberałowie, ale w momencie niemieckiej decyzji o budowaniu Nord Stream

Aby jednak krytycy obecnego rządu mogli wiarygodnie recenzować jego poczynania w energetyce jądrowej, sami powinni przedstawić „recenzję" poczynań poprzedniego rządu. Niestety, na to się nie zanosi. A przecież nie powinno być tematów tabu, takich jak pytanie, dlaczego w 2022 r. Piotr Naimski został odwołany przez premiera Mateusza Morawieckiego ze stanowiska pełnomocnika rządu do spraw infrastruktury energetycznej? Czy dlatego, że ze względu na bezpieczeństwo wybrał amerykańskiego dostawcę technologii w trybie niekonkurencyjnym, co osłabiło pozycję negocjacyjną i przełożyło się na niezadowalające warunki ekonomiczne umowy? Czy dlatego, że stanął na drodze projektowi małych reaktorów najbogatszego Polaka, Michała Sołowowa, i amerykańskiego koncernu General Electric Hitachi, uznając, że Polski z powodu dramatycznego deficytu kadr jądrowych i wynikającej z tego słabości Państwowej Agencji Atomistyki oraz Urzędu Dozoru Technicznego, a także konieczności zbudowania dwóch łańcuchów dostaw dla projektów realizowanych w odmiennych technologiach po prostu na nie nie stać, czego skutkiem może być porażka obu projektów – i dużego, i małego atomu?

NIEPOWAŻNA ODPOWIEDŹ

Krytycznej oceny wymaga narzucenie przez prawicę niskiego poziomu debaty publicznej, której twarzą był prezes Orlenu, Daniel Obajtek. A właściwie brak debaty, którą zastąpiła nachalna promocja małych reaktorów, niedojrzałych jeszcze w porównaniu ze sprawdzonym, dużym atomem. Jej próbkę otrzymaliśmy jeszcze niedawno, gdy na uwagę dziennikarza, że małe reaktory jeszcze nigdzie w krajach G7 nie zostały „przetestowane", Obajtek odpowiedział pytaniem: „A małe reaktory na okrętach podwodnych i lotniskowcach?". Osoby z branży wiedzą, że to niepoważna odpowiedź, której celem jest skołowanie opinii publicznej. Taki reaktor dla kapitana okrętu ma wiele zalet, ale jego sprawność wynosi ok. 20 proc., podczas gdy od cywilnych reaktorów oczekuje się sprawności powyżej 36 proc. Nadto paliwem dla reaktorów wojskowych jest wysoko wzbogacony uran lub pluton. Cena prądu z takiego źródła ścigałaby się o miano najwyższej spośród znanych sposobów produkcji energii. Miniaturyzacja reaktora wojskowego drastycznie podnosi koszty budowy w porównaniu z miniaturyzacją SMR-ów. Pomińmy milczeniem to, że budowa sieci takich reaktorów w państwach, które chciałyby w ten sposób nadgonić swoje zapóźnienie w energetyce jądrowej, oznaczałaby w krajach Trzeciego Świata powierzenie ich reżimom materiału, który mógłby służyć wyprodukowaniu broni jądrowej.

Jedna konkluzja, co do której się powinni zgodzić wszyscy adwersarze różnych projektów, jest oczywista – nie ma dostawcy technologii jądrowej, z którym współpraca nie wiązałaby się z poważnym ryzykiem. Polsce pozostaje jedynie jego minimalizowanie. Wymaga to długofalowej strategii, przekraczającej horyzont wyborczy. Nie powiedzie się to, jeżeli nie będzie wokół tych decyzji konsensusu głównych sił politycznych. Rząd powinien był wcześniej i obecnie podejmować decyzje w porozumieniu z opozycją. Dziś wydaje to się niemożliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Najważniejszy wątek kampanii

Kaja Godek

Gdy w niewielkim powiatowym szpitalu wbija się dziecku w serce igłę z trucizną albo gdy w świetle kamer szmugluje się z zagranicy środki do zabijania małych Polaków, kandydaci na prezydenta Polski nie mogą udawać, że da się w jakikolwiek sposób dogadać ze zwolennikami dzieciobójstwa

FOT. ADOBE STOCK

Nie wiem, czy państwo zauważyli, ale właśnie dobiega końca kolejna z rzędu kampania wyborcza, w której aborcja była tematem wiodącym. Tak właśnie: nie zastępczym, nie pobocznym, nie sprawą, która nikogo nie interesuje, ale osią sporu ideowego. Bo zawsze jest osią tego sporu, choćby nie wiem jak próbować tego nie dostrzegać. Mimo to u progu niemal każdej kampanii słyszymy zaklęcia, żeby zająć się tym, co rzekomo naprawdę ludzi obchodzi, a nie jakąś aborcją. „Ludzie chcą prostych i niskich podatków/więcej Europy/mieszkań za darmo" – niepotrzebne skreślić w zależności od kandydata, który chce się zareklamować. Tymczasem znowu okazało się, że opinię publiczną rozgrzewa to, co zawsze: sprawa aborcji – w aktualnej odsłonie, bo każda kampania przynosi tu nowe wątki.

PROJEKTY ABORCJONISTÓW: OLEŚNICA I ABOTAK

Nie inaczej było i tym razem. W ostatnich tygodniach wpływowe lewicowe ośrodki zwodowały dwa duże projekty, aby podnieść sprawę aborcji w korzystnym dla nich kontekście – Oleśnicę i Abotak. Jednak oba te projekty okazały się zupełnie nieudane, bo zamiast zwiększyć sympatię do aborcjonistów, wywołały oburzenie ich bezkarnością.

17 marca, dokładnie dwa miesiące przed pierwszą turą wyborów prezydenckich, „Gazeta Wyborcza" zdecydowała się opublikować na swoich łamach historię pani Anity i jej synka Felka, który został zamordowany tuż przed porodem zastrzykiem dosercowym z chlorku potasu. Osoba, która podjęła decyzję, aby taką historią próbować walczyć o normalizację aborcji, a Gizelę Jagielską, wykonawcę morderczego zastrzyku, obwoływać najlepszą przyjaciółką Polek, chyba nie skontaktowała się z rzeczywistością. Lewicowi dziennikarze wraz z proaborcyjnymi stowarzyszeniami rozpoczęli akcję hejtu przeciw szpitalom, które ośmielają się odmawiać niektórych aborcji. Piszę niektórych, bo cel nagonki – Centralny Szpital Kliniczny w Łodzi, prof. Piotr Sieroszewski oraz Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników – to nie są środowiska obrońców życia. PTGIP jeszcze pod koniec ubiegłego roku dyskutowało z minister zdrowia o tym, że należy honorować zaświadczenia do aborcji wystawione przez psychiatrów. Chcieli tylko doprecyzowywać, jak te zaświadczenia należy pozyskiwać. Nie chodziło o ochronę życia dzieci, ale o to, jaki papier ma się znaleźć w dokumentacji pacjentki, a więc de facto o zabezpieczenie wykonawców aborcji przed ewentualnymi procesami sądowymi.

PRAWDA O ABORCJI SZOKUJE

Tymczasem zwykli ludzie w Polsce przeżyli szok. Felek, prawie noworodek, dostał zastrzyk z trucizną w serce i bez żadnego znieczulenia. Chlorek potasu sprawia tak ogromny ból, że nie stosuje się go nawet do eutanazji zwierząt, o ile nie zostaną wcześniej znieczulone. W USA już dekadę temu Pfizer – jeden z producentów preparatu z chlorkiem – oficjalnie ogłosił, że nie będzie go sprzedawał tym dystrybutorom, którzy mogą go przekazać do więzień do wykonywania kary śmierci. Skrajnie niehumanitarna metoda zabijania, ograniczana w weterynarii, usuwana z listy metod egzekucji na prawomocnie skazanych złoczyńcach, w Oleśnicy okazała się powszechną metodą zabijania dzieci, aby… poprawić nastrój cierpiących psychicznie matek.

ABORCJONIŚCI STRZELILI SOBIE SAMOBÓJCZEGO GOLA

I to nie jednego. Bo kolejnym ich błędem była i jest pseudoklinika Abotak

eprasa.pl 2d5f1223d6

przy Wiejskiej w Warszawie. Placówka reklamowana jako pierwsza polska przychodnia aborcyjna, otwarta tuż pod Sejmem i Kancelarią Prezydenta, miała być środkiem szantażu na politykach. Możecie sobie opowiadać swoje bzdury, debatować i się spierać, ale my i tak jesteśmy, nie zważamy na wasze dyskusje, robimy aborcje, bo one są częścią naszego stylu życia, a w tym miejscu prawo nie obowiązuje. Taki był pomysł Aborcyjnego Dream Teamu na ośrodek w centrum stolicy.

Po dwóch miesiącach masowy opór przeciw Abotakowi powoduje, że trudno w nim o jakąkolwiek działalność. Dochodzi nawet do kuriozalnych sytuacji, gdy właścicielki placówki podają w mediach społecznościowych fałszywe godziny otwarcia, bo tak bardzo boją się protestów pro-life (całkowicie legalnych i pokojowych!). Dosłownie: żeby nie spotkać się z obrońcami życia, nie widzieć zdjęć z aborcji, nie słyszeć protestu, wolą napisać, że będą w określony dzień po południu, a faktycznie przychodzą w pierwszej połowie dnia.

Czy w takich warunkach Abotak może w ogóle odgrywać swoją rolę jako miejsce, w którym można w podanych godzinach wpaść na aborcję? Oczywiście, że nie. Jest raczej platformą dla lewackich happeningów, jak ten ostatni, gdy lokal odwiedziły dwie francuskie feministki. Posłanka do Zgromadzenia Narodowego Mathilde Panot oraz posłanka do Parlamentu Europejskiego Manon Aubry przemyciły przez granicę znaczną ilość środków do aborcji. Blistry z tabletkami zostawiły w Abotaku, żeby można było nimi zabijać polskie dzieci. Wizycie towarzyszyła sesja zdjęciowa z preparatami do mordowania ludzi, do tego uśmiechy Polek oraz Francuzek.

FEMINISTKI NIE MAJĄ POPARCIA

Projekt Aborcyjnego Dream Teamu się nie udał. Nie osiągnięto założonego celu, nie ma entuzjazmu ani widocznego poparcia dla aborcyjnej bezczelności. Feministki z Abotaku nie ukrywają, że mają dość pracy w tym miejscu. Z istnienia punktu w kamienicy nie są zadowoleni także sąsiedzi i okoliczni przedsiębiorcy. A politycy kręcący się wokół Sejmu zamiast oglądać, jak funkcjonuje i rozkwita aborcyjna placówka, mogą obserwować intensywne protesty, modlitwy i pikiety przeciw jej działalności. Dla aborcjonistek to prawdziwa katastrofa. Jak się z niej wytłumaczyć przed zagranicznymi mocodawcami?

I ostatni element układanki. Zupełnie bez echa przemknęła informacja o zakończeniu zbiórki podpisów pod Europejską Inicjatywą Obywatelską „My Voice, My Choice", po polsku: „Same to ogarniemy". We wniosku do Komisji Europejskiej chodzi o zapewnienie refundacji aborcji w tych państwach Unii Europejskiej, gdzie jest ona legalna, dla obywatelek tych państw UE, gdzie jest ona nielegalna. Na przykład o finansowanie aborcji w Niemczech czy Czechach dla Polek. Inicjatywa formalnie zakończyła się sukcesem, bo zebrano nieco ponad 1,1 mln głosów w całej UE, a określona liczba państw przekroczyła minimalne wymagane progi poparcia. W Polsce pod inicjatywą podpisało się zaledwie 48 tys. osób. Zbiórka trwała rok i odbywała się m.in. on-line, co znacznie ułatwia dotarcie do ludzi. Gdy porównamy to z podpisami pod ustawami pro-life, gdzie w ciągu mniej niż trzech miesięcy podpisywało się od pół miliona do niemal miliona obywateli, a zbiórki były trudniejsze logistycznie, bo wyłącznie na formularzach papierowych, mamy obraz mizerii polskiego ruchu aborcyjnego. Elektorat na aborcję jest sztucznie pompowany, natomiast gdy trzeba się realnie opowiedzieć, okazuje się, że jest to margines marginesu.

OCHRONA ŻYCIA DLA KAŻDEGO DZIECKA

Co to wszystko oznacza dla kandydatów na prezydenta, którzy chcą pozyskać głosy katolików i pro-liferów? Mniej więcej tyle, że brak dziś usprawiedliwienia dla uciekania od aborcji w kampanii. Gdy w niewielkim powiatowym szpitalu wbija się dziecku w serce igłę z trucizną, żeby przypadkiem nie przeżyło przerwania ciąży, albo gdy w świetle kamer szmugluje się z zagranicy środki do zabijania małych Polaków, nie można udawać, że da się w jakikolwiek sposób dogadać ze zwolennikami dzieciobójstwa. Ponadto, gdy feministki próbują jeszcze straszyć, ale coraz częściej płaczą na TikToku, że im w Polsce nie wychodzi, osiągają beznadziejne wyniki w zbiórkach podpisów i żebrzą o poparcie za granicą, bo w kraju prawie nikt nie chce się do nich przyznać, jest już jasne, że uleganie im nie jest uzasadnione. Nawet wyborczą arytmetyką.

Niestety, wybór między Rafałem Trzaskowskim a Karolem Nawrockim to nie jest wybór między aborcją na życzenie a ochroną życia. Kandydat popierany przez PiS zadeklarował w kampanii chęć poszukiwania kompromisu pomiędzy życiem a aborcją. Dodawał także, że ów kompromis musiałby być skonstruowany tak, aby był zgodny z konstytucją. Tymczasem konstytucja nie przewiduje w tym zakresie wyjątków i mówi o ochronie życia każdego człowieka, a rolą prezydenta jest stać na straży porządku konstytucyjnego. W innej wypowiedzi Nawrocki nie poparł zakazu aborcji na dzieciach z czynu zabronionego, a przecież te dzieci nie są gorsze od innych i nie można ich karać śmiercią za zło wyrządzone przez ich ojców. Kandydat PiS ma na koncie szlachetny gest przysposobienia nieswojego dziecka z poprzedniego związku żony. Ta osobista historia miałaby dowodzić, że jest obrońcą życia. Faktycznie jednak adopcja – choć jest godna najwyższego szacunku – nie ma wiele wspólnego z walką z aborcją, gdy zacznie się pełnić konkretny urząd. Wrzucając głos do urny, trzeba bardziej kierować się tym, co kandydat chce zrobić jako prezydent.

Dlaczego w Oleśnicy zamordowano małego Felka na podstawie kartki od podstawionego psychiatry? Dlatego, że po wyroku Trybunału Konstytucyjnego o eugenice wpływowe grupy w PiS zakrzyczały frakcję pro-liferską, a zwolennikom aborcji postanowiły jakoś za ten wyrok zadośćuczynić. Jeszcze za kadencji Adama Niedzielskiego, a następnie Katarzyny Sójki w Ministerstwie Zdrowia trwały prace nad skodyfikowaniem przesłanki psychiatrycznej do aborcji. Wytyczne Izabeli Leszczyny ukazały się ponad rok później i były efektem procesu pilotowanego przez poprzednich ministrów. Felek nie jest ofiarą aborcji na życzenie. Felek jest ofiarą kompromisu.

To dobrze, że w najbliższą niedzielę nie trzeba wybierać pomiędzy skrajnym aborcjonizmem a tzw. mniejszym złem, które jest mniejsze tylko do czasu, bo z czasem otwiera drogę prosto w przepaść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem Zarządu Fundacji Życie i Rodzina.

eprasa.pl 2d5f1223d6

FOT. ADOBE STOCK

Ktokolwiek widział...

Radosław Wojtas

Każdego roku w Polsce zgłasza się zaginięcie kilkunastu tysięcy ludzi. Kilka tysięcy z nich to dzieci i starsi nieletni. W ubiegłym roku policja wszczęła 15 008 spraw poszukiwawczych za osobami zaginionymi, z czego 2752 dotyczyło osób do 17 r.ż.

W wakacyjny wieczór 5 sierpnia 2023 r. Wiktoria wymknęła się z domu w Sosnowcu, by spotkać się z poznanym kilka dni wcześniej w Internecie mężczyzną. Ten czekał na nią niedaleko jej miejsca zamieszkania. Ona miała wówczas 11 lat, on – 39. Mężczyźnie udało się zdobyć zaufanie dziewczynki. Wsiadła z nim do samochodu.

Zaginięcie dziecka zgłoszono 6 sierpnia. Mimo że – jak informowała prokuratura – sprawca podejmował działania mające utrudnić akcję poszukiwawczą, już 7 sierpnia rano 11-latka została odnaleziona. Starszy od niej o niemal 30 lat Przemysław K. wywiózł ją na drugi koniec Polski. „Działając pod jego wpływem, zdecydowała się przyjąć propozycję wspólnego wyjazdu do Koszalina. Realizując przestępczy zamiar, oskarżony przyjechał po małoletnią Wiktorię do Sosnowca, a następnie przewiózł ją na północ Polski i ukrył w swoim miejscu zamieszkania. Po drodze podjął starania nakierowane na utrudnienie akcji poszukiwawczej" – informowała prokuratura.

W styczniu 2025 r. Sąd Okręgowy w Koszalinie uznał Przemysława K. winnym wszystkich czterech zarzucanych mu przez Prokuraturę Okręgową w Sosnowcu czynów, w tym uprowadzenia Wiktorii i przestępstw o charakterze seksualnym. Groziło mu do 20 lat pozbawienia wolności. W trakcie procesu oskarżony wnioskował o orzeczenie zaproponowanej przez niego, łagodniejszej od ostatecznie wymierzonej kary, jednak wobec sprzeciwu prokuratora wniosek ten nie został uwzględniony. Sąd orzekł karę łączną 13 lat pozbawienia wolności. „Na mocy wydanego wyroku po odbyciu kary Przemysław K. zostanie poddany leczeniu w ramach zamkniętego zakładu psychiatrycznego. Na oskarżonego nałożono również szereg innych ograniczeń, w tym: dożywotni zakaz zajmowania wszelkich stanowisk, wykonywania zawodów i prowadzenia jakiejkolwiek działalności, związanych z wychowaniem, edukacją, leczeniem małoletnich lub z opieką nad nimi" – podaje Prokuratura Okręgowa w Sosnowcu.

NIEUDANE PRÓBY

Jak informuje „Do Rzeczy" kom. Wioletta Szubska z Komendy Głównej Policji, uprowadzenie Wiktorii z Sosnowca było ostatnim jak do tej pory takim przypadkiem w Polsce. „Zaginięcia osób poniżej 17 r.ż. będące skutkiem uprowadzenia, to w Polsce zdecydowanie marginalne zjawisko. Ostatni taki przypadek odnotowano w sierpniu 2023 r. W opisanej sytuacji uruchomiony został system Child Alert przeznaczony do wsparcia poszukiwań uprowadzonych i zaginionych dzieci" – podaje policjantka z Biura Komunikacji Społecznej Komendy Głównej Policji.

Co nie oznacza, że od tego czasu nie było prób uprowadzenia. We wrześniu 2024 r. w Ciechanowie jadący rowerem 11-letni chłopiec został przewrócony przez mężczyznę, który następnie próbował wciągnąć go do samochodu. Rzecz działa się w biały dzień w centrum miasta. Na szczęście bardzo przytomnie zachowali się świadkowie tego zdarzenia, zwłaszcza 16-letni mieszkaniec Ciechanowa, który zareagował jako pierwszy. Kiedy zobaczył, co się dzieje po drugiej stronie jezdni, podbiegł do napastnika i zaczął głośno krzyczeć, żeby ten puścił swoją ofiarę. Zdecydowana reakcja chłopca spłoszyła niedoszłego porywacza, którym okazał się 38-letni mieszkaniec Warszawy. Szesnastolatek został nagrodzony przez władze samorządowe.

Pod koniec ubiegłego roku uczeń jednej ze szkół podstawowych w Kutnie wyszedł po lekcjach ze szkoły. Zaczepił go nieznajomy. „[Syn] Wpadł do domu i był po prostu roztrzęsiony. Dawno go takiego nie widziałam. Zapytałam, co się stało. Powiedział: »Mamusiu, jakiś pan mnie zaczepił. Jechał samochodem«" – mówiła mama chłopca w rozmowie z Kutnowskim Centrum Informacyjnym. I dalej: „Syn zazwyczaj wraca do domu z kolegą, ale wczoraj wracał sam. Ten kierowca powiedział: »Mały, mam coś dla ciebie w bagażniku«. Syn wystraszony po prostu uciekł. Nie rozmawiał z tym mężczyzną, nie zatrzymywał się. Po prostu uciekł i wpadł wystraszony do domu".

Dwóch pedofilów, którzy na przełomie września i października 2022 r. plano-

eprasa.pl 2d5f1223d6

wali uprowadzić małoletniego chłopca, zatrzymano jeszcze przed podjęciem tej próby. Śledztwo prowadzone było przez Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości – Zarząd w Krakowie na podstawie materiałów uzyskanych za pośrednictwem Europolu od The National Center for Missing & Exploited Children (NCMEC). Dwóm aresztowanych wówczas mężczyznom zarzucono popełnienie dziewięciu przestępstw przeciwko wolności seksualnej, w tym posiadanie oraz rozpowszechnianie materiałów pedofilskich oraz przestępstwo child groomingu. W to pojęcie wpisują się m.in. działania podejmowane w celu nawiązania więzi emocjonalnej z dzieckiem, by później wykorzystać je seksualnie.

Liczba zaginięć osób w latach 2022–2024

Podstawa wszczęcia poszukiwania	Data wszczęcia poszukiwania	Liczba poszukiwań	w tym: liczba zaginięć osób w wieku do 17 lat (w chwili zaginięcia)					
			Kobieta			Mężczyzna		
			0–6 lat	7–13 lat	14–17 lat	0–6 lat	7–13 lat	14–17 lat
Zgłoszenie zaginięcia	2022	13 889	30	416	1013	28	389	650
	2023	13 826	24	417	926	24	429	654
	2024	15 008	30	526	964	15	526	691

RYS. MART

Powód zakończenia poszukiwań osób w wieku do 17 lat

Podstawa poszukiwania	Data wszczęcia poszukiwania	Liczba poszukiwań osób w wieku do 17 lat (w chwili zaginięcia)	Powód zakończenia poszukiwania					
			Anulowano podstawę poszukiwań	Ustalono miejsce pobytu	Zatrzymano poszukiwanych	Odwołano z powodu stwierdzenia zgonu osoby poszukiwanej	Przekazano innej jednostce Policji	Poszukiwanie czynne/ niezakończone
Zgłoszenie zaginięcia	2022	2526	92	1954	461	13	2	4
	2023	2474	93	1937	433	9		2
	2024	2752	104	2160	473	10		5

RYS. MART

** Dane uzyskano z Systemu Analitycznego na podstawie danych z Krajowego Systemu Informacyjnego Policji aktualnych na dzień 20 marca 2025 r.*

TYSIĄCE ZAGINIĘĆ

Każdego roku w Polsce zgłaszanych jest kilkanaście tysięcy zaginięć, z czego kilka tysięcy dotyczy dzieci i młodzieży. „[…] w ostatnim roku jednostki organizacyjne Policji w kraju zarejestrowały 15 008 spraw poszukiwawczych za osobami zaginionymi, z czego 2752 sprawy dotyczyły zaginionych osób poniżej 17 r.ż. Należy zwrócić uwagę na fakt, że w ogólnej liczbie zaginięć mogą figurować osoby, których zaginięcie w ciągu całego roku zgłoszono nawet parokrotnie" – informuje „Do Rzeczy" Komenda Główna Policji.

Spośród 2752 zarejestrowanych w 2024 r. spraw dotyczących nieletnich najmniejszą grupę stanowiły dzieci do 6 r.ż. Było to 30 dziewczynek i 15 chłopców. Ich zaginięcie – jak informuje kom. Wioletta Szubska – „wiąże się najczęściej z brakiem dostatecznej opieki ze strony rodziców czy opiekunów prawnych. Brak uwagi rodzica lub opiekuna może generować niebezpieczne i tragiczne w skutkach dla dziecka wydarzenia, zagubienia, nieszczęśliwe wypadki czy sytuacje, w których dziecko narażone jest na krzywdę ze strony obcej dla niego osoby". W grupie wiekowej 7–13 lat zgłoszono zaginięcie 526 dziewczynek i 526 chłopców. Najwięcej zaginięć nieletnich dotyczyło najstarszej grupy 14–17 lat. Byli to 964 dziewczynki i 691 chłopców. „Wśród najczęstszych powodów zaginięć starszych dzieci i nastolatków są trudne relacje lub problemy w domu czy w szkole, ale też zawody miłosne, choroby (np. depresja), czasem bunt związany z okresem dojrzewania i potrzeba samodzielnego decydowania o własnym losie" – informuje kom. Szubska.

Z danych przekazanych nam przez KGP wynika, że większość spraw z ubiegłego roku znalazło szczęśliwi finał. Jednak 10 akcji poszukiwawczych nieletnich zakończyło się stwierdzeniem zgonu osoby zaginionej. Pięć przypadków wciąż nie jest zakończonych (stan na 20 marca 2025 r.).

DMUCHAĆ NA ZIMNE

Jeśli chodzi o uprowadzenia osób małoletnich, to w Polsce w zasadzie nie odnotowuje się już przypadków porwań dla okupu. Jak podaje Centralne Biuro Śledcze Policji, od 2017 r. policjanci nie prowadzili spraw dotyczących uprowadzenia osoby poniżej 17 r.ż. dla okupu. Oprócz motywu seksualnego powodem uprowadzeń bywają problemy psychiczne sprawców. Tak było chociażby w przypadku porwania z 2015 r., kiedy to po raz pierwszy w Polsce uruchomiono Child Alert (w Polsce system uruchamiano sześć razy: w kwietniu i listopadzie 2015 r., w marcu 2019 r., w lutym 2020 r., w listopadzie 2022 r. oraz w sierpniu 2023 r.; we wszystkich tych przypadkach poszukiwane osoby zostały odnalezione). Adrian M., 31-letni Polak mieszkający w Wielkiej Brytanii (i skazany tam za uprowadzenie dziewczynki, której nie zrobił jednak krzywdy), uprowadził 10-latkę mieszkającą pod Szczecinem. Jeśli nie liczyć traumatycznych przeżyć i złamania nogi, które powstało podczas wciągania dziecka do samochodu, to mężczyzna nie wyrządził mu żadnej krzywdy. Oceniono, że sprawca był niepoczytalny.

Są i fałszywe alarmy. Za taki uznano m.in. przypadek z 2023 r. z Jaworzna. Mama 12-latki poinformowała dyrekcję szkoły (a ta policję), że dziewczynka po wyjściu ze szkoły została zaczepiona przez obcego mężczyznę. Dziecko go zignorowało, lecz ten podążał za 12-latką aż do przystanku autobusowego. Zniknął, gdy z zatrzymującego się na przystanku autobusu wysiedli pasażerowie. Mimo że nie wszczęto żadnego postępowania, to szkoła nie zignorowała sprawy – zorganizowała spotkania i rozmowy profilaktyczne z policją, by uczniowie wiedzieli, jak się zachować w podobnej sytuacji.

„[…] warto podkreślić, że bardzo często doniesienia medialne, dotyczące uprowadzeń dzieci to tzw. fake newsy, które w szybki i niekontrolowany sposób rozprzestrzeniają się w różnego rodzaju środkach masowego przekazu, wprowadzając w błąd opinię publiczną. Jest to o tyle groźne zjawisko, że kreuje fałszywy obraz rzeczywistości, funkcjonujący i utrwalony w świadomości społecznej i – co gorsza – trudno ulegający zmianom" – stwierdza kom. Wioletta Szubska.

Co nie zmienia faktu, że dzieci i rodziców należy uświadamiać. Rodzice uprowadzonej i skrzywdzonej Wiktorii z Sosnowca powiedzieli w rozmowie z „Faktem", że ich córka nie miała komputera, „więc nie podejrzewali, że może paść ofiarą cyberdrapieżcy". W tym przypadku drapieżca znalazł ofiarę za pomocą smartfonowej aplikacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Czy Homer był Turkiem?

Wiesław Chełminiak

Państwa, mieniące się dziedzicami starożytnych cywilizacji, prężą muskuły, coraz głośniej mówią o rewindykacji wywiezionych artefaktów, które dziś znajdują się w muzeach w Berlinie, Paryżu czy Londynie. Względy etyczne przemawiają za restytucją. Względy praktyczne – za utrzymaniem obecnej sytuacji

W zgiełku różnych historycznych jubileuszy niepostrzeżenie minęła 150. rocznica wyroku, który śmiało można nazwać precedensowym. Sąd w Atenach, rozpatrujący skargę rządu Turcji, uznał za bezprawny wywóz antycznych zabytków za granicę.

Szokująco długi i kosztowny remont Pergamon Museum rozpoczął się w idealnym dla Niemców momencie. Teraz łatwiej będzie wyciszyć debatę o artefaktach, które nad Sprewę trafiły prawem kaduka. Nie chodzi o eksponaty cenne z punktu widzenia nauki, ale przez zwiedzających zwykle omijane szerokim łukiem. Przedmiotem sporu stały się obiekty emblematyczne. Popiersie Neferetiti z Amarny, turkusowa brama Isztar z Babilonu, fasada pustynnego pałacu Mszatta, wzniesionego przez kalifów z dynastii Umajjadów, tudzież jeden z cudów świata starożytnego – ołtarz świątyni Zeusa, któremu muzeum zawdzięcza swą nazwę.

Państwa sprawujące dziś kontrolę nad miejscami, gdzie je znaleziono, coraz głośniej mówią o rewindykacji. Berlin gra na czas, stosuje uniki.

W 2037 r., gdy remont dobiegnie końca, może się jednak okazać, że 2 mld euro wyrzucono w błoto, bo sale wystawowe zaczną świecić pustkami.

BOGOWIE, GROBY I RABUSIE

Z greckimi postulatami zwrotu „marmurów Elgina", eksponowanych w British Museum, jesteśmy oswojeni.

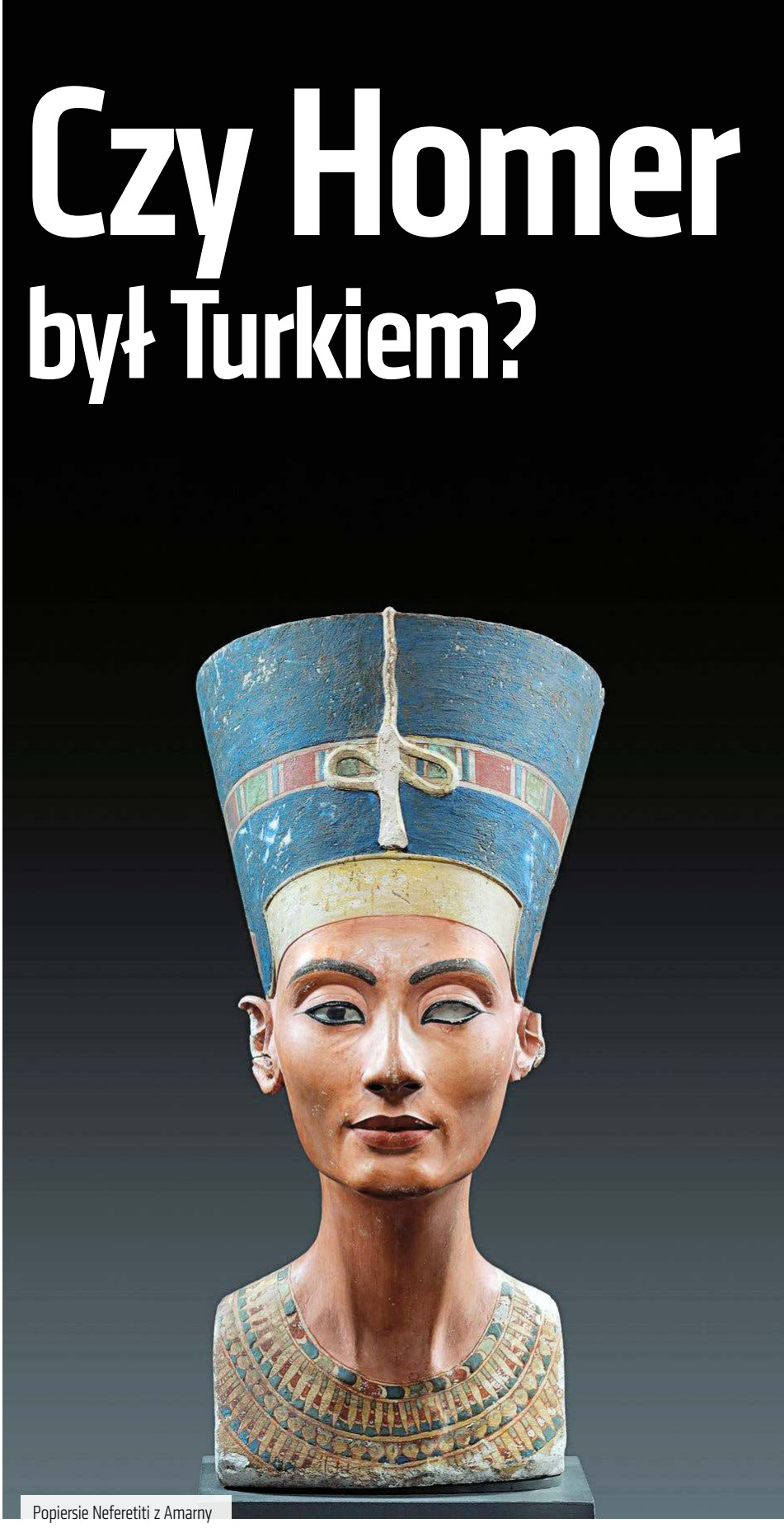

Popiersie Neferetiti z Amarny

FOT. STAATLICHE MUSEEN ZU BERLIN, ÄGYPTISCHES MUSEUM UND PAPYRUSSAMMLUNG/SANDRA STEISS

eprasa.pl 2d5f1223d6

W Atenach postanowiono więc przejść od słów do czynów. Nowiutkie Muzeum Akropolu celowo zaprojektowano na wyrost, tak by rzeźby, onegdaj zdobiące fryz Partenonu, można było wystawić od razu po ich odzyskaniu. Londyn pozostaje głuchy na roszczenia Greków, ale znajduje się w coraz bardziej wstydliwym położeniu. Kolekcja brązów z Beninu z British Museum też jest zagrożona. Niemcy i Francja już odesłały swoją część kolonialnego łupu z powrotem do Afryki. Kto będzie następny?

Czasy, w których Europa sprawowała władzę nad historią, dobiegły końca. Kolumb z bohatera stał się złoczyńcą, pionierzy kolonizacji – złodziejami cudzej ziemi. Niemiecko-turecka para dziennikarzy – Jürgen Gottschlich i Dilek Zaptcioglu-Gottschlich – w wydanej także u nas monografii „Łowcy skarbów" rozprawia się z mitem o dobrodusznych naukowcach. Polski podtytuł brzmi: „Jak ojcowie archeologii rozkradli bogactwa Orientu". W oryginale jest mowa o „najeździe".

Pokolenie wychowane na lekturach typu „Bogowie, groby i uczeni" musi się czuć nieswojo. C.W. Ceram i inni opisywali poszukiwania śladów dawnych cywilizacji w konwencji pasjonującej, romantycznej przygody. Nawet im do głowy nie przyszło, że stąpają po grząskim gruncie. Cóż, wizja Heinricha Schliemanna, który własnoręcznie wygrzebuje spod kamieni domniemany skarb Priama, chowa go w czerwonym szalu żony i wywozi do Aten, działała na wyobraźnię. Ceram broni rodaka przed zarzutem złodziejstwa argumentem, że ówczesne prawodawstwo było „wieloznaczne". Poza tym co może być złego w spełnianiu dziecięcych marzeń i ratowaniu bezcennych precjozów „dla europejskiej nauki"?

W 1874 r. sąd drugiej instancji okazał się nieczuły na takie interpretacje i uznał, że prawo zostało złamane. Niemiec wykręcił się sianem, płacąc grzywnę w wysokości 10 tys. franków. W trosce o własny wizerunek dołożył jeszcze 50 tys. dla muzeum w Konstantynopolu. Dzięki temu po kilku latach mógł wrócić do Troi i kontynuować wykopaliska. Zgromadzone artefakty zaoferował Grecji, jednak duchowej ojczyzny archeologa amatora nie stać było na spełnienie stawianych przez niego warunków. Rosjanie i Francuzi też odmówili. Gdy wydawało się, że skarby Schliemanna trafią do Londynu, do akcji wkroczyli Niemcy, przeżywający mocarstwowe wzmożenie.

W XIX w. posiadanie cennych zbiorów sztuki stało się jednym z atrybutów potęgi państwa, a patriotycznym obowiązkiem archeologów (wspieranych przez dyplomatów) – sprowadzenie do ojczyzny najcenniejszych znalezisk. Cel uświęcał środki. Przemyt i łapówki były na porządku dziennym. Czy Europejczycy przywłaszczyli sobie cudze dziedzictwo kulturowe? Według ówczesnych kryteriów, nie. Brytyjskie, francuskie oraz niemieckie elity uważały się za dziedziców antycznej kultury i cywilizacji. Mieszkańcom krain, podbitych najpierw przez Aleksandra Macedońskiego i Rzym, a w końcu przez Osmanów, tego miana odmawiano.

JAK ZADOWOLIĆ KAJZERA

Berlińska Wyspa Muzeów była spóźnioną odpowiedzią na Luwr. Świadomość, że dali się wyprzedzić konkurencji, działała na Niemców jak płachta na byka. Wysyłali okręty wojenne, by mieć pewność, że artefaktów nikt im nie odbierze. Wykupywali od tubylców grunty, na których prowadzili badania. Carl Humann, odkrywca ołtarza pergamońskiego, za zgodę na jego wywiezienie zapłacił w sumie 40 tys. marek, co nie odpowiadało nawet wartości marmuru. Oficjalnie była to darowizna dla muzułmańskich uchodźców z Bałkanów.

Następca Humanna, Theo Wiegand, wynegocjował z Turkami tajną umowę. Dzięki niej mógł zabrać połowę tego, co wykopał. Berlin wzbogacił się o kolumny ze świątyni Ateny z Priene i monumentalną bramę targową z Miletu, jednego z najważniejszych miast jońskich. Nie poszłoby tak gładko, gdyby II Rzeszy i słabnącego imperium osmańskiego nie łączył ścisły polityczny sojusz. Sułtan wiedział, że uszczęśliwi kajzera prezentem w postaci ruin pałacu, pamiętającego czasy pierwszych kalifów.

Mocarstwa, które wcześniej broniły Turków przed rosyjskim niedźwiedziem, też pobierały zapłatę w artefaktach. Anglicy wywieźli resztki tego, co zostało z Artemizjonu. Do Wiednia trafiło 2,5 tys. rzeźb z Efezu. Paul Émile Botta, konsul francuski w Mosulu, nie omieszkał wyekspediować do Luwru posągów uskrzydlonych byków. Dzięki temu świat dowiedział się o istnieniu asyryjskiego imperium.

Transport zabytków odkrytych w Mezopotamii był skomplikowanym przedsięwzięciem. Najpierw spławiano je na tratwach w dół Tygrysu, potem umieszczano na okrętach, które – zanim nie zbudowano Kanału Sueskiego – musiały opływać całą Afrykę. Część ładunku zatonęła lub doznała nieodwracalnych uszkodzeń. Dziewiętnastowieczni archeologowie, odcinający się od dyletanta Schliemanna, często sami działali w sposób, który dziś skutkowałby utratą tytułów naukowych. Jednakże trudno zaprzeczyć, że przyświecały im szlachetne intencje. Pracując w warunkach gorzej niż spartańskich, ryzykowali zdrowie, a czasem nawet życie.

PUNKT WIDZENIA LWA

Zdarzało się, że archeolog, zafascynowany krajem, w którym prowadził badania, zapuszczał w nim korzenie. Wykształceni ekspaci, nie zrywając kontaktów ze starą ojczyzną, poczuwali się do lojalności wobec nowej. Chcieli postawić tamę procederowi masowego wywozu dzieł sztuki na Zachód. Auguste Mariette, były pracownik Luwru, zostawszy generalnym nadzorcą wykopalisk w Egipcie, zbudował w Kairze muzeum, które mogło pomieścić starożytne artefakty. Zyskał nad Nilem taką popularność, że kiedy zmarł, pochowano go niczym faraona.

W procesie z 1874 r. sułtana reprezentował niemiecki naukowiec, który podjął się misji stworzenia w Konstantynopolu muzeum archeologicznego z prawdziwego zdarzenia. Tacy jak Schliemann byli jego naturalnymi wrogami. Jeśli nie odniósł sukcesu na miarę Mariette'a, to z winy tureckiego rządu, który skąpił pieniędzy na kulturę oraz ulegał naciskom sojuszników. Wyznawcy islamu mieli do „pogańskich" zabytków podobny stosunek jak średniowieczni chrześcijanie. Nacjonaliści też nie czuli mięty do ruin budowli wzniesionych przez ludzi mówiących po grecku. Przepisy zabraniające wywozu antyków stawały się zaś martwą literą, gdy dyplomaci zainteresowanego państwa interweniowali u samego sułtana.

Dziś sytuacja jest inna: tureckie miasta fundują sobie muzea godne XXI w.

eprasa.pl 2d5f1223d6

Zrekonstruowana brama Isztar z Babilonu

FOT. PERGAMONMUSEUM/STAATLICHE MUSEEN ZU BERLIN

Przybywających do Troi wita monolit, w którym można zapoznać się z osiągnięciami następców Schliemanna. Jak dotąd znaleziono 12 warstw osadniczych. W Bergamo, czyli Pergamonie, u stóp wzgórza również zbudowano nowe muzeum. Oczywiście jego zbiory nie wytrzymują porównania z berlińskim. Na miejscu można jednak podziwiać teatr i częściowo odrestaurowaną świątynię Trajana. Lokalne władze jeszcze przed upadkiem NRD zażądały od Niemców restytucji ołtarza Zeusa. Trudno zaprzeczyć, że w naturalnej scenerii arcydzieło antycznej architektury prezentowałoby się lepiej niż w muzealnej aranżacji.

Turcja stała się asertywna. W miejscach odwiedzanych przez turystów sprzedawana jest anglojęzyczna wersja książki „Łzy Anatolii". Autor, Yaşar Yılmaz, z wykształcenia architekt, w atrakcyjnej formie zinwentaryzował krzywdy, których jego ojczyzna doznała z rąk europejskich i amerykańskich archeologów. Odwiedził ponad 50 muzeów, które bezwstydnie prezentują wywiezione z Turcji zabytki. Zaczyna wyliczankę od Niemców, ale dostaje się też Austriakom, Duńczykom, Holendrom i oczywiście Francuzom, którzy jako pierwsi wkradli się w łaski sułtana. W efekcie bogato zdobiona, marmurowa urna z Pergamonu zasiliła zbiory Luwru.

British Museum trafiło pod pręgierz, bo wystawia 10 tańczących nereid, zabranych z Ksantos, tudzież lwa z Knidos. Marmurowy zwierz ongiś patrzył na Morze Egejskie, dziś obserwuje dziedziniec, na którym kłębi się tłum zwiedzających. Książka uwzględnia nawet Greków, którzy ewakuując się z Azji Mniejszej, zabrali nieco antycznych i bizantyjskich artefaktów. O tym, że skarb Priama znajduje się w Moskwie, Yılmaz wspomina półgębkiem.

W 1923 r., gdy republika ustanowiona przez Kemala Paszę okrzepła, zawiadomiła Amerykanów, że uzyskają pozwolenia na nowe wykopaliska tylko pod warunkiem zwrotu tego, co wywieźli z Sardes, starożytnej stolicy Lidii. Jankesi spełnili ten warunek. „Musimy odzyskać pewność siebie z tamtych lat" – apeluje Yılmaz do rodaków. Fakt, że niemieccy archeolodzy wciąż pracują w Pergamonie, a ich austriaccy koledzy w Efezie, jego zdaniem zakrawa na skandal. Ma też pretensje do tureckiego rządu za zgodę na przeniesienie szczątków Humanna z Izmiru na wzgórze, które ten ogołocił z ołtarza Zeusa. No bo jak można honorować złodzieja?

KAPCIE ZA 24 MILIONY

Anatolia była kolebką niejednej cywilizacji. „Jesteśmy ostatnim ogniwem łańcucha ludzi żyjących w tym regionie od czasów neolitu, więc jesteśmy spadkobiercami zabytków historycznych" – twierdzi Yılmaz. Jego rodacy dali sobie wmówić, że ich historia zaczęła się u schyłku XIII w., gdy pierwszy szczep Turków wdarł się na ziemie Cesarstwa Bizantyjskiego. Trzeba naprawić ten błąd, uzupełnić szkolne podręczniki, „abyśmy nie byli całkowicie obcy naszym krajanom: Homerowi i Herodotowi, którzy mieszkali w Anatolii" – wywodzi autor „Łez Anatolii".

Turcy liczą, że we współpracy z innymi poszkodowanymi krajami: Chinami, Włochami, Iranem, Irakiem, Syrią, Egiptem i Grecją, uda się opracować nowe międzynarodowe przepisy ułatwiające zwrot artefaktów. Zabytki nadal wyciekają z Turcji. Kobieta z Akhisar (czyli starożytnej Tiatyry) wymieniła na parę kapci wygrzebaną w polu marmurową rzeźbę wielkości dłoni. Na aukcji w USA sprzedano ją za 24 mln dol.

Są jednak i sukcesy. Jeśli wierzyć oficjalnym statystykom, to tylko w zeszłym roku Turcji udało się odzyskać ponad 3 tys. artefaktów. Wśród nich fragment sarkofagu, który 140 lat temu przywłaszczył sobie brytyjski konsul. Trzydziestodwutonowy zabytek nie nadawał się do transportu, więc odkrywca kazał go ponownie zakopać, a na pamiątkę odłupał odstającą głowę Erosa. Po latach córka wandala podarowała ją londyńskiemu Victoria & Albert Museum. Jeden ze zwiedzających skojarzył rzeźbę z sarkofagiem Sidamara z Muzeum Archeologicznego w Stambule. W konsekwencji głowa bóstwa znów połączyła się z korpusem.

Względy etyczne przemawiają za restytucją. Względy praktyczne – za utrzymaniem obecnej sytuacji. Państwa mieniące się dziedzicami starożytnych cywilizacji prężą muskuły, lecz są politycznie niestabilne. Dość wspomnieć, co się działo z zabytkami Syrii podczas „arabskiej wiosny". Zachodnie muzea są bezpieczniejsze, nie grożą im też sejsmiczne katastrofy nękające Anatolię. Last but not least, kolekcje zgromadzone w Berlinie, Londynie czy Paryżu mogą być podziwiane przez setki tysięcy turystów.

Niemcy wzdrygają się przed uznaniem ojców archeologii, których imieniem nazwano sale uniwersyteckie, za złoczyńców. Opór przed uznaniem tureckich żądań jednak słabnie. Między innymi dlatego, że Europa zapomina o grecko-łacińskim fundamencie, na którym powstała jej kultura i cywilizacja. Pytanie „Czy dzisiaj jeszcze tego potrzebujemy?", sformułowane przez autorów „Łowców skarbów", dotyczy nie tylko 150 tys. spornych artefaktów.

W zeszłym roku byłem świadkiem rekonstruowania świątyni Zeusa w Euromos. Turecki fachowiec wycinał z bloków śnieżnobiałego marmuru brakujące kolumny i kapitele. Być może surowiec pochodził z tych samych kamieniołomów, z których korzystali antyczni budowniczowie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Krzysztof Masłoń

Dwa bieguny

FOT. TADEUSZ KONARZ/REPORTER

Wyróżniał się. Był jedyny w swoim rodzaju z tą twarzą, uśmiechem i szczerym spojrzeniem" – wspominał go przyjaciel, malarz i pisarz Henryk Waniek. Dodałbym jeszcze, może na pierwszym miejscu, głos – charakterystyczny bas, idealnie przystający do jego ociekających czarnym, makabrycznym humorem tekstów, a pamiętny także z telewizyjnego serialu „Siedem życzeń", w którym artysta użyczył go kotu Rademenesowi.

Zapamiętaliśmy Macieja Zembatego jako faceta z gitarą, choć po prawdzie powinien przygrywać sobie na fortepianie, no, niech będzie, że na pianinie, w szkole muzycznej, do której uczęszczał, chodził bowiem do stosownej klasy. Gdzie on się zresztą nie uczył i czego nie studiował! W liceum plastycznym uczył go nawet historii Jacek Kuroń, co miało się po latach przełożyć na jego wybory polityczne, a co za tym idzie – na kształt niektórych jego songów. Tych bardziej czy nawet za bardzo zaangażowanych. Dość zacytować w tym miejscu popularny na przełomie lat 1981 i 1982 „Hymn internowanych ekstremistów":

Gdy się junta wystrzela, trafi szlag Jaruzela
Orła wrona nie zdoła pokonać
Wtedy wolni związkowcy, ekstremiści, korowcy
Na premiera wybiorą Kuronia.
Będą tańczyć wśród zgliszczy
Gwiazda Jurczyk i Michnik
Wokół trumny Siwaka Albina
Na wieść o tym sam Breżniew
tak potężnie się zerżnie,
Że rozpadnie się mumia Lenina.

Zaiste, zadziwiający to zestaw nazwisk, ale czasy były inne. A Zembaty w Boże Narodzenie 1981 r. trafił na Białołękę, gdzie nie przebywał długo, za to bardzo intensywnie. Jego przymusowy pobyt w „pensjonacie" przy ulicy Ciupagi 1 „stał się – czytamy w »Szalonym życiu Macieja Z.« Henryka Wańka – jednym wielkim koncertem. Podobno wysłuchiwali ich nawet sami strażnicy".

Z pewnością gwoździami tych więziennych koncertów były szlagiery karnawału Solidarności: „Sejm kalek", wspólne dzieło Macieja Zembatego i Jacka Kleyffa („Stuk, puk, laską w podłogę / sejm, sejm wyraża zgodę, / Stuk, puk, laską o blat / sejm mówi: »Tak«") i śpiewany na melodię „Felka Zdankiewicza" – „Brygadzista Albin". Numery te nagrodzono owacją na Przeglądzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki" w gdańskiej Olivii, którego był organizatorem.

Próba reanimowania legendarnej imprezy w wolnej już Polsce, dokładnie w roku 2001, zakończyła się skandalem, i to za sprawą tegoż Zembatego, a konkretnie dwóch jego utworów zakwestionowanych przez Prezydium Komisji Krajowej Solidarności. W pierwszym pt. „Nebraska" śpiewał: „Nie wierzę już Lechowi, bo choć był taki zdolny, / zmieniła go ta władza na sposób zbyt dowolny. / Nie wierzę papieżowi, bo zbyt surowy jest, / Na starość zapomina, że człowiek kocha grzech". Drugi, „Maleńki rynek", odnosił się do zbrodni w Jedwabnem w słowach, których nie mam zamiaru przypominać, nadto są obrzydliwe. Z wulgarnością ten bard o dobrotliwym spojrzeniu i ciepłym, niskim głosie miał bowiem wraz z upływem lat coraz większe problemy. A z polityką? Cóż, w „Marynareczce" rzecz ujął w typowy dla siebie sposób: „Polityka, polityka, / To jest jeden damski ch.j / Pierd…ny ustrój".

Na szczęście polityka nie wypełniła do końca życia i twórczości Macieja Zembatego. Zdecydowanie na pierwszy plan wybija się w jego dorobku wszystko, co związane jest z Leonardem Cohenem, którego był popularyzatorem, tłumaczem i – bywało – świetnym interpretatorem. Doliczyłem się 14 płyt nagranych przez Zembatego z „jego Cohenem", w swoich przekładach, czasem firmowanych wspólnie z Maciejem Karpińskim. Wspomnieć tu też trzeba o jego książce, zatytułowanej – nomen omen – „Mój Cohen". Tak że, gdy myślę o twórcy „Ostatniej posługi" – piosenki, za sprawą której po festiwalu opolskim w 1971 r. zdobył ogólnopolską sławę (choć wielu oburzało się za sprofanowanie w niej marszu żałobnego Chopina, do którego artysta napisał utrzymane w konwencji czarnego humoru słowa) – od razu przypominają się takie evergreeny jak: „Słynny niebieski prochowiec" czy „Alleluja". Oczywiście wszystko to Cohen, a także Zembaty, który – co prawda – nie zawsze wiernie oddawał oryginalny tekst, ale na ogół nie gorszy od tego, który wyszedł spod pióra autora „I'm Your Man".

A przecież prowadził także swoją osobistą działalność artystyczną. Przede wszystkim radiową (m.in. magazyn „Zgryz" czy przezabawne słuchowisko „Rodzina Poszepszyńskich"), a także pisał scenariusze filmowe, no i swoje autorskie piosenki. Taka „Ballada o Imogenie" czy „Piosenka o Maruśce" wciąż w swoim gatunku pozostają bezkonkurencyjne. A nagrodzony został już po swoim debiucie w 1965 r.! Miał wtedy 21 lat. Alina Janowska brawurowo wykonała jego „Romans otwocki", a on, z Alibabkami „Uszy" („A uszy miał ogromne, muskularne, / uszami mógłby, gdyby chciał. / Niepokojące, wręcz fatalne, / przedziwne uszy miał").

Życie osobiste miał niepoukładane, a na jego postępowanie coraz większy wpływ wywierała rozwijająca się choroba dwubiegunowa, choć nie jestem pewny, czy tak ją już wówczas nazywano. W każdym razie nie zrealizował żadnego ze swoich późniejszych pomysłów, a miał ich bez liku. Cóż, był człowiekiem zbyt wielu talentów. Gdzieś tak w końcu lat 70. napisał „Bajkę dla Rafałka" (adresatem jej był synek znanego rysownika, Andrzeja Czeczota). Być może przy współudziale Jacka Kleyffa, bo taki trop podsuwają użyte w niej tzw. rymy żółte:

Napisał to Puszkin
A po nim Lermontow
Że najlepsze puszki
Robi firma Wąchock

Spać chodzimy wcześnie
Ja od ściany leżę
A Bożena z brzegu
Bo ma chory pęcherz
[…]
Koło mojej stajni
Chodzą narkomani
Co się który sztachnie
To kobyłka kaszle.

Maciej Zembaty zmarł 27 czerwca 2011 r. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

Tropiący przeciek George zaczyna patrzeć na żonę podejrzliwie. Kathryn też nie jest w ciemię bita i szybko dostrzega dziwne zachowanie męża FOT. UIP

Miłość wśród szpiegów

Piotr Gociek

Steven Soderbergh zaprasza na thriller szpiegowski równie udany i nietypowy, jak jego niegdysiejszy kryminał „Co z oczu, to z serca"

Kiedy żona prosi, byś nie narkotyzował gości podczas kolacji, wypadałoby posłuchać. Ale cóż robić, kiedy jest robota do wykonania? George Woodhouse (Michael Fassbender) to wytrawny łowca szpiegów, któremu szef powierzył delikatne zadanie. Jest przeciek z agencji cyberbezpieczeństwa, trzeba dojść do tego, kto zdradził. Stąd zaproszenie dla czworga pracowników wywiadu na kolację. Nakarmieni, podlani winem, no i znarkotyzowani serum prawdy podanym w hinduskim przysmaku, powinni być łatwiejsi do odczytania. Uwaga, jest haczyk: w gronie podejrzanych jest także żona George'a, Kathryn (Cate Blanchett), podobnie jak mąż pracująca w MI6. Jak tę informację przyjął George? Bez mrugnięcia okiem, jest końcu człowiekiem, który zdemaskował kiedyś własnego ojca. Obowiązek ponad wszystko. „Nienawidzę kłamców" – powtarza kilkakrotnie w filmie Michael Fassbender.

TRZY TRADYCJE

Film trafił właśnie do polskich kin. Nosi tytuł „Szpiedzy" (w oryginale „Black Bag"), a jego reżyserem jest Steven Soderbergh, twórca wielce utalentowany i poruszający się swobodnie między różnymi gatunkami. Debiutancki dramat obyczajowy „Seks, kłamstwa i kasety wideo" (1989) przyniósł mu Złotą Palmę w Cannes, „Traffic" (2000) zaś – Oscara za reżyserię. Świetnie wychodzą mu filmy małe, niezależne, artystyczne, ale potrafi też współpracować z gwiazdami, tworząc kasowe przeboje. Tak było z serią „Ocean's 11", „Magic Mike" czy dramatem „Erin Brockovich".

W „Szpiegach" Soderbergh łączy trzy tradycje. Ta pierwsza to opowieść szpiegowska w duchu książek Johna Le Carré, historia wprost ze strefy cienia, gdzie moralność nie istnieje, liczy się jedynie skuteczność. Tradycja druga to gadana psychodrama, którą ostatnimi czasy zwy-

eprasa.pl 2d5f1223d6

kle wykorzystywano w obyczajowych satyrach (jak w „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie"): sadzamy bohaterów przy stole, każemy im rozmawiać i w trakcie tej rozmowy na jaw wychodzą kłamstwa i kłamstewka.

O tradycję trzecią zadbał autor scenariusza David Koepp. Pisząc „Szpiegów", zadbał o to, by niemal każda linijka dialogu była dwuznaczna, jak w najlepszych produkcjach dawnego Hollywood. Utalentowani aktorzy znajdują w takich produkcjach wspaniale miejsce do popisu. Spójrzcie na pierwszą scenę rozmowy George'a i Kathryn – Michael Fassbender i Cate Blanchett sprzedają proste i niewinne kwestie tak, że natychmiast tworzą one siatkę podejrzeń i dwuznaczności.

Jako że mówimy o pracy naprawdę nowoczesnej agencji wywiadowczej, to oprócz sterylnych futurystycznych wnętrz i cudeniek techniki dostajemy niespodziewany dodatek w postaci biura firmowej terapeutki. Szpiedzy też cierpią na bezsenność, ataki paniki oraz egzorcyzmują traumy z przeszłości; oni też wspomagają się lekami lub przynajmniej ajurwedyjskimi herbatkami. Tajniak na kozetce to koncept trochę komediowy, ale Soderberghowi bardzo przydaje się jako element budowania układanki faktów i motywów, z których w finale wyłoni się prawdziwy obraz przekrętu.

OPOWIEŚĆ O KŁAMSTWIE

Co jest stawką w tym dramacie, czegóż tak pożądają zdrajca lub zdrajcy i kto jest przeciwnikiem gry szpiegów? Zdradzę tylko, że tajny kod nazywa się Severus i że nie ma to nic wspólnego z Pegasusem. Tak naprawdę bowiem w filmie Soderbergha najciekawsze jest nie to, jaki sekret ukradziono, lecz cała wprawiona w ruch kombinacja emocji. W grupce podejrzanych niemal każdy ma coś do ukrycia: jedni niewierność, inni zawodową zawiść; ktoś inny ma kłopoty z sumieniem – może nie powinien być szpiegiem? Słowo „szpieg" traktujmy zresztą symbolicznie, tylko niektórzy z podejrzanych pracują w terenie, inni głównie siedzą za biurkiem, przeglądając zdjęcia satelitarne albo grzebią w dokumentach finansowych. Życie codzienne MI6 uwiarygodnione zostaje przez bardzo prosty zabieg: niemal wszystkie postacie są tu mniej lub bardziej antypatyczne, jakby twórcy zasugerować chcieli, że codzienna praca w kłamstwie okalecza, choćbyś poza tym nie wiem jak był uczynny, miły i profesjonalny.

W istocie bowiem „Szpiedzy" są opowieścią o kłamstwie. „Jeśli ktoś może kłamać każdego dnia, to jak można mu uwierzyć, kiedy mówi prawdę?" – pyta jedna z bohaterek. Nawet małżonkowie nie mogą rozmawiać ze sobą o tajnych zadaniach, gdy jedno wychodzi z domu, drugie nie wie, dokąd oraz po co. Gdy ktoś chce uciąć rozmowę na jakiś temat, rzuca po prostu tytułem wyjaśnienia termin „black bag" – czarna torba. Tak nazywa się w tym świecie rzeczy, o których mówić nie wolno. Trzeba mieć stalowe nerwy i bezgraniczne zaufanie do innych, żeby w tak skonstruowanym świecie funkcjonować. Ale przecież częścią roboty jest głęboka podejrzliwość: jak to pogodzić?

Tym bardziej bezcennym skarbem może być to, co łączy George'a i Kathryn. Jak wyznają sobie nawzajem podczas miłosnych igraszek, zrobiliby dla siebie wszystko. Ale czy tak jest naprawdę? Czy ich krótkie, lekko ironiczne wymiany zdań są dowodem na to, że znają się jak łyse konie, czy wręcz przeciwnie: że coś się w tej relacji wypala albo już wypaliło? Tropiący przeciek George zaczyna patrzeć na żonę podejrzliwie. Ale z obowiązku, czy może miał już wcześniej jakieś powody do nieufności? Kathryn też nie jest w ciemię bita i bardzo szybko dostrzega dziwne zachowanie męża, więc zaczyna własne dochodzenie. On więc widzi, że ona zachowuje się inaczej – wpadamy w spiralę paranoi, która zniszczyć może nawet małżeństwo idealne.

Ta emocjonalna warstwa „Szpiegów" opowiedziana jest perfekcyjnie i sprawia, że film Soderbergha jest antytezą królującej obecnie na dużych i małych ekranach fikcji szpiegowskiej. Zazwyczaj bowiem (nie mówię, że zawsze) dostajemy w nich masę pościgów, eksplozji i mordobić w stylu pojedynków superherosów z filmów Marvela. U Soderbergha za całe kino akcji robią jeden dron, jeden pistolet oraz szklanka whisky. Mimo to opowieść trzyma nas w napięciu, niczym u Hitchcocka, a atmosferę niepokoju

REŻ. STEVEN SODERBERGH „SZPIEDZY" WIELKA BRYTANIA 2025

potęguje oszczędna elektrojazzowa muzyka Davida Holmesa. Braciom Russo w „Cytadeli" (serial Amazona) potrzebnych było kilkaset milionów dolarów, Soderbergh zrobił dużo bardziej emocjonujący film za jedną dziesiątą tych pieniędzy.

Z zadowoleniem odnotować trzeba, że w tej opowieści oczywistym przeciwnikiem Zachodu jest putinowska Rosja, a nie jacyś komiksowi terroryści. Niepokoić natomiast powinno, że zarówno MI6, jak i CIA traktują Polskę tak jak Syrię czy Jemen, to znaczy wypuszczają na nasze niebo drony z licencją na zabijanie, kiedy im się tylko spodoba (pod koniec filmu pojawi się taki wątek). Im bliżej realnej polityki, tym scenariusz Davida Koeppa robi się słabszy. Nie on jeden miał taki problem, przypomina mi się, jak w powieści Roberta Harrisa, „Enigma", pojawiła się figura absurdalna dla każdego polskiego czytelnika: polski oficer, który wykrada sekrety Brytyjczyków dla… Niemców, bo mści się w ten sposób na Rosjanach za Katyń. Niedawno w polskim serialu „Przesmyk" mieliśmy równie absurdalnego antagonistę: Polaka z Białorusi, który aby przybliżyć Mińsk do Wielkiej Polski, chce odpalić w nim bombę atomową. Rozterki bohaterów na temat mniejszego zła mają w „Szpiegach" mniej więcej ten sam poziom.

Na szczęście cała reszta jest znakomita. „Szpiedzy" przywodzą na myśl film Soderbergha „Co z oczu, to z serca" (1998), o którym Roger Ebert pisał, że jest to kryminał bardziej zainteresowany tym, „jak ludzie mówią, flirtują kłamią i pakują się w kłopoty" niż sprawami kryminalnymi. Tu jest podobnie: to jest thriller szpiegowski, ale bardziej interesujące są w nim rozmowy George'a i Kathryn niż sprawa wykradzionego Severusa.

Wyciągam z tego filmu przesłanie, którego się po współczesnym kryminale i po Soderberghu nie spodziewałem: w świecie kłamstw zwykłych, zawodowych i wielopiętrowych, jedyną drogą ocalenia jest bezgraniczne zaufanie możliwe jedynie między tymi, którzy naprawdę głęboko się kochają. Na początku opowieści mamy wszelkie powody, by być wobec George'a i Kathryn podejrzliwi. U jej kresu możemy im tyko zazdrościć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Kobieta z prowincji

★★★★★☆

REŻ. ETHAN HAWKE
„DZIKOT" („WILDCAT")
USA 2023

wyst. Maya Hawke, Laura Linney, Philip Ettinger

Oto opowieść o znakomitej pisarce amerykańskiej Flannery O'Connor: w tej roli lśni Maya Hawke, która namówiła do projektu swego tatę, Ethana Hawke'a. Popularny aktor ma spore doświadczenie jako reżyser (m.in. świetny serial dokumentalny „Ostatnie gwiazdy kina" dla HBO). I córka, i tata mogą być z „Dzikota" dumni: powstał intrygujący film o nietuzinkowej postaci, a Maya (swoją drogą – córka Umy Thurman) wypada wręcz znakomicie.

W scenariusz wplecione są sceny z opowiadań Flannery O'Connor – kto czuje się nieco zagubiony, sięgnąć powinien po obszerny tom opowiadań zebranych „Ocalisz życie, może swoje własne". Na ekranie widzimy pisarkę jeszcze przed nadejściem sławy, spotykającą się m.in. z poetą Robertem Lowellem (gra go Philip Ettinger), by pokazać mu swą powieść „Mądrość krwi".

Uparta, introwertyczna, obdarzona niezwykłą wyobraźnią i wielkim talentem jest Flannery O'Connor kolejnym wielkim samotnikiem. Katoliczka wśród protestantów, intelektualistka wśród rednecków, nadwrażliwiec wśród ludzi cokolwiek przyziemnych. Zarazem realistka trzeźwo widząca świat, autorka obdarzona ironicznym humorem. Długie lata walczyła z toczniem, który ostatecznie poważnie skrócił jej życie (nie dobiła nawet czterdziestki). Leczono ją kortyzonem, po którego końskich dawkach wypadały jej włosy i puchła twarz. Przewlekłe problemy zdrowotne były przyczyną kolejnego rodzaju wyobcowania. Ale Flannery O'Connor nie użalała się nad sobą.

Film „Dzikot" nie jest biografią epicką, od kołyski po grób, lecz próbą uchwycenia charakteru pisarki oraz oddania rozterek związanych z pisaniem w konkretnym momencie jej życia. Niespodziewanie z radą pojawia się ksiądz Floyd, którego zagrał Liam Neeson (bardzo dobry epizod). Świetna jest też Laura Linney w roli matki pisarki.

Gdy jedna z czytelniczek poprosiła Flannery O'Connor o dokładną egzegezę jej opowiadań, autorka odpisała, że zamiast prób rozszyfrowywania znaczeń zaleca czytanie z przyjemnością (anegdotę tę znalazłem w tomie jej esejów „Misterium i maniery"). Tę samą radę mam dla widzów „Dzikota", świadom, że zapewne większość z nich niewiele wie o życiu i twórczości najlepszej chyba w XX w. katolickiej pisarki amerykańskiej. ©℗

GRA TYGODNIA: „TEMPEST RISING"

Gratka dla fanów klasycznych RTS-ów. Z pełnoprawną oldskulową kampanią (a w zasadzie dwiema: po 11 misji dla dwóch z trzech dostępnych w grze frakcji) dla jednego gracza. Fabuła nie wciska w fotel, ot kolejna historia walki różnych frakcji o wpływy w świecie pokiereszowanym w konflikcie nuklearnym. Na potrzeby RTS-a w duchu „Command & Conquer" w zupełności wystarczy, bo tu uznać należy przede wszystkim klasyczny gameplay. Takich gier się dziś już praktycznie nie robi, tym bardziej należy docenić „Tempest Rising". Stara szkoła w atrakcyjnej, współczesnej oprawie. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *strategiczne, RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Slipgate Ironworks; 3D Realms*

eprasa.pl 2d5f1223d6

Pies albo kot

KINO

Danie firmowe amerykańskiego kina: przemoc okraszona sentymentalizmem. Tytułowy Księgowy, powinowaty Johna Wicka, po ośmiu latach wrócił na ekrany, by czynić sprawiedliwość. Fakt, że sam jest wyjęty spod prawa, nie stanowi żadnej przeszkody. Przeciwnie: zwiększa skuteczność krucjaty. Policjantom i agentom, skrępowanym paragrafami, pozostaje tylko popijać kawę i produkować wykrętne raporty. Nie ma to jak piękny umysł uzbrojony w karabin maszynowy! Śledztwo w sprawie zniknięcia meksykańskiej rodziny przypomina układanie puzzli, a w tym nasz autystyczny (super)bohater jest najlepszy w USA. Zwyczajów nie zmienił ani o jotę: mieszka w przyczepie, kolekcjonuje dziwactwa i żyje jak mnich, aczkolwiek w wolnych chwilach „optymalizuje swój profil randkowy". W sumie ciężki z niego typ i chwała scenarzyście, że zadbał o kontrapunkt w osobie zawodowego kilera Braxa, który braciszka geniusza zarazem kocha i szczerze nie znosi. Gdy dwuosobowa armia eksterminuje kartel żerujący na ludzkiej krzywdzie, ręce same składają się do oklasków.

★★★★☆☆

REŻ. GAVIN O'CONNOR
„KSIĘGOWY 2" („THE ACCOUNTANT 2")
USA 2025
wyst. Ben Affleck, Jon Bernthal, Cynthia Addai-Robinson

Zgodnie z zasadą od pewnego czasu obowiązującą w Hollywood męskim protagonistom pomagają/przeszkadzają kobiety co najmniej dorównujące im sprawnością fizyczną oraz inteligencją. W obsadzie tym razem zabrakło Anny Kendrick, więc sequel „Księgowego" jest mniej eklektyczny. Miłośnikom kina akcji to z pewnością pasuje, przeciwnicy nowoczesnych technologii też będą usatysfakcjonowani. Fabuła bazuje bowiem na założeniu, że służą one totalnej inwigilacji. Biada uzależnionym od elektroniki: komputery i telefony komórkowe zdradzą was, a może nawet zabiją. Bliźnim też ufać za bardzo nie można, więc weźcie przykład z filmowych herosów. Sprawcie sobie psa lub kota.

Twórcy filmu nie wątpią w sukces kasowy, skoro publicznie roztrząsają, jak miałoby wyglądać domknięcie trylogii. Na ich miejscu nie czekałbym z finalizacją tych planów na rok 2033. Ben Affleck już dziś przypomina Arnolda Schwarzeneggera z okresu, gdy jego kariera przekroczyła smugę cienia. Nawet końska dawka autoironii może nie wystarczyć, by publika zechciała afirmować popisy dziadersa tępiącego zło myślą, mową i siłą brutalną. ©℗

Wiesław Chełminiak

LITERAT NA ZAKRĘCIE

vod.pl

Nadzieja, że w Roku Słonimskiego ktoś nakręci film wzbogacający naszą wiedzę najbardziej złośliwym ze skamandrytów, może okazać się płonna. Nie pozostaje więc nic innego jak sięgnąć po dokument sprzed lat 26. Wyłania się zeń postać wrażliwego poety, agresywnego recenzenta tudzież zaprzysięgłego liberała i pacyfisty. Pechowym zrządzeniem losu panu Antoniemu przyszło żyć w epoce szczęku oręża oraz radykalnych idei. Nie zawsze umiał zachować się jak trzeba. Za sanacji deklarował antykomunizm i przywiązanie do idei „Stanów Zjednoczonych Europy". Po wojnie najpierw chwalił politykę kulturalną władzy ludowej, potem psy na niej wieszał. Endeków nienawidził zawsze. Wędrówka szlakiem miejsc i adresów związanych ze Słonimskim potwierdza, że Warszawa to miasto kameleon. Dziś wygląda zgoła inaczej niż pod koniec XX w. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. ANDRZEJ TITKOW
„TO JA, ANTONI..."
POLSKA 1998

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Antoni Michalak. Wiele opowieści

Malarz, rysownik, portrecista, pedagog. Jeden z najoryginalniejszych twórców polskiej sztuki religijnej ubiegłego wieku. Na krótko przed 50. rocznicą śmierci Antoniego Michalaka Muzeum Archidiecezji Warszawskiej przypomina tę postać wystawą, która „prezentuje wielowymiarowy portret artysty, którego twórczość znacznie wykracza poza powszechnie przypisywane mu ramy malarstwa sakralnego".

FOT. MUZEUM KUL, KOLEKCJA PRYWATNA

Różne wątki życia i twórczości Michalaka poznajemy przez pryzmat ponad 90 prac – obrazów religijnych, portretów, scen alegorycznych, pejzaży, szkiców przygotowawczych, projektów witraży, fresków oraz rzeźb. Podążamy śladem artysty od lat nauki w pracowniach Miłosza Kotarbińskiego, Konrada Krzyżanowskiego i Tadeusza Pruszkowskiego, przez pobyt stypendialny w Paryżu, czas spędzony w Kazimierzu Dolnym, czas zleceń publicznych i „firmy portretowej", aż do lat powojennych. ©℗

GDZIE?
Muzeum Archidiecezji Warszawskiej
KIEDY?
do 29 czerwca

eprasa.pl 2d5f1223d6

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Rzeczpospolita Jeniecka

Trudno recenzować książkę 55 lat po jej pierwszym wydaniu, a tyle właśnie minęło czasu od ukazania się na rynku „Za drutami Murnau" Stefana Majchrowskiego. Teraz tytuł ten powraca z dołączonym do niego swoistym epilogiem napisanym przez syna zmarłego w 1988 r. autora, Jana Majchrowskiego – wybitnego prawnika, jak również idącego w ślady ojca pisarza, o którego książkach – „Przeciw uzbrojonym analfabetom" i „Polidruki" – miałem zaszczyt i niewątpliwą przyjemność pisać już na łamach „Do Rzeczy".

Ale tę „Opowieść ojca i syna", jak głosi podtytuł książki, czytałem ze szczególną uwagą, bo i z osobistych powodów. Stefan Majchrowski opisał w „Za drutami Murnau" życie jeńców wojennych, polskich oficerów, którzy po kapitulacji we wrześniu 1939 r. zostali przez Niemców przewiezieni do Bawarii, gdzie w izolacji od zewnętrznego świata przeżyli całą wojnę. W Oflagu VII A w Murnau. W tym samym czasie mój ojciec przebywał w innym, ale jakże podobnym miejscu – Oflagu II C w Woldenbergu.

Dzielił ich nie tylko rok daty urodzenia, lecz także ranga. Ojciec Jana Majchrowskiego był rotmistrzem Wojska Polskiego, we wrześniu 1939 r. sprawował funkcję oficera informacyjnego w sztabie Podlaskiej Brygady Kawalerii. Wziął udział w bitwie pod Kockiem. Mój ojciec był rezerwistą, po podchorążówce w Krakowie, z niedokończonymi studiami prawniczymi został w stopniu podporucznika zmobilizowany do 1. Pułku Piechoty Legionów w Wilnie w charakterze dowódcy plutonu. Nie za wiele się nawojował. 14 września, po rozbiciu pułku

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

i okrążeniu pod Siedlcami, nie udało mu się przebić na wschód i trafił do niewoli, by po „zwiedzeniu" kilku prowizorycznych obozów zakotwiczyć się w swojsko dziś brzmiącym Dobiegniewie, a wtedy raczej złowieszczo Woldenbergu.

Ojciec niezbyt chętnie opowiadał o życiu za drutami, za to przynosił do domu nie tak znów liczne książki tematycznie odnoszące się do wojny wrześniowej, uporczywie nazywanej „kampanią", i to do dziś! Jakim cudem przeoczył książkę Stefana Majchrowskiego, nie wiem. W każdym razie wśród moich pierwszych samodzielnych lektur, powiedzmy, że historycznych, były przeróżne pamiętniki i wspomnienia z „Oflagiem" Marka Sadzewicza na czele, ale o „Za drutami Murnau" jako uczeń nie słyszałem, by potem kojarzyć już nazwisko autora, tyle że jako twórcę książek biograficznych (m.in. „Pan Sienkiewicz", „Opowieść o Józefie Wybickim"), powieści – historycznych, współczesnych, a także dla młodzieży.

Obecne wznowienie „Za drutami Murnau", w 80-lecie oswobodzenia tego obozu przez Amerykanów, zaskoczyło takiego spóźnionego jak ja czytelnika swą ascezą. Nie ma w niej nic z żałosnego niekiedy kombatanctwa, zresztą to w ogóle nie są wspomnienia! Stefan Majchrowski świadomie usunął siebie w cień najgłębszy z możliwych, a postanowił opisać obóz, w którym pod koniec wojny przebywało ponad 5 tys. jeńców! To było miasto, gdzie za drutami i pod wieżami wartowniczymi ta ludzka zbiorowość stworzyła namiastkę normalnego życia. Zadziwiający był ten zbiorowy pęd do kształcenia się, uczestnictwa w kulturze (sławne komunikaty obozowych teatrów: „Dziś próba generalna. Aktorzy grający role kobiece proszeni są o przyniesienie piersi"), na ile to było możliwe – w sporcie. Ci jeńcy, głodzeni i poddawani najrozmaitszym rygorom i represjom, stworzyli prawdziwą Rzeczpospolitą Jeniecką, zachowując w znakomitej większości nienaganną postawę moralną i patriotyczną. A jak to było możliwe, opowiedział w swojej książce Stefan Majchrowski.

A czytelnika czeka jeszcze niespodzianka. Oto dopełnieniem „Za drutami Murnau", a właściwie dopowiedzeniem jest „Przed drutami Murnau", opowieść syna autora o wyprawie po latach, w 2005 r., do Murnau. Doszło tam do spotkania, które na zdrowy rozum nie miało prawa nastąpić, a przecież stało się faktem. Nie będę tu streszczał tej historii, mającej skądinąd nieco mistyczny wymiar, nie chcąc odbierać państwu przyjemności płynącej z lektury nieobciążonej recenzencką interpretacją. Powiem tylko jedno: Jeśli komuś czytającemu książkę Stefana Majchrowskiego wyda się ona za mało literacka, to opowieść Jana Majchrowskiego, choć przecież bazuje na faktach i, jeśli już, to najwięcej ma z reportażu, w istocie jest literaturą, i to pierwszej wody. ©℗

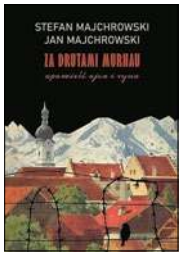

★★★★★☆

STEFAN MAJCHROWSKI, JAN MAJCHROWSKI „ZA DRUTAMI MURNAU. OPOWIEŚĆ OJCA I SYNA"
ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2025

eprasa.pl 2d5f1223d6

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Jesień fenomenologa

Terapeutka mówi, że jest otępiony żałobą, a on sam uważa, iż dotyka go zwykły los człowieka zamkniętego „tu, gdzie zawsze – każdy z nas zamknięty w jego lub jej »tu i teraz« od chwili naszych narodzin do dnia, kiedy umrzemy". W chwili gdy poznajemy akademika Sy Baumgartnera, wciąż pogrążony jest w żałobie po śmierci tragicznie zmarłej przed laty żony. I jakoś mu się nie poprawia – odczuwa jej brak coraz boleśniej.

Po świetnym początku, który może przypominać prozę Philipa Rotha, choć chyba bardziej Saula Bellowa, opowieść zaczyna się rozsypywać. Pierwsza połowa to elegijna, chwilami nieco ironiczna analiza stanu niepowetowanej straty, potem dzieje się za dużo i jakby nazbyt modnie. Tu opowieść o Holokauście i żydowskich korzeniach dziadka wraz z podróżą do Iwano-Frankiwska, tam kawałek o ciężkim losie imigrantów z Dominikany, jeszcze gdzie indziej przebieranie chłopczyka w suknię ślubną, raz napomnienie, że bić dzieci jest nieładnie. Całkiem jakby trzeba było odznaczyć na przygotowanej wcześniej liście elementy niezbędne, by zostać uznanym za pisarza poruszającego tematy istotne.

Może jestem staromodny, ale śmierć, żałoba i niepewność w kwestii tego, co czeka nas po drugiej stronie, wydają mi się same w sobie wystarczająco poważne.

Jest w książce Austera kapitalna scena, kiedy Baumgartner rozmawia we śnie z Anną, która opowiada, że wszelkie wyobrażenia o zaświatach są mylne, bo tak naprawdę znalazła się w wielkiej nicości. No ale skoro z tej nicości się odzywa, to przecież nie może być to tylko nicość, nieprawdaż? Główny bohater powieści jest fenomenologiem i szczyci się tym, że nie wierzy w nic, tymczasem nagle odkrywa religię. Ależ kryje się tu temat!

Nic z tego, Baumgartner szybko zarzuca ten tok myślenia i dyskusję ze zmarłą traktuje jako przyzwolenie na to, by życie toczyło się dalej. Od tej chwili mniej myśli o żonie, więcej o tym, czy i z którą panią coś się jeszcze na poważnie przydarzy. Finał jest i dwuznaczny, i otwarty: można czytać go realistycznie, można jako metaforę; sam pisarz wielką wagę przykłada do znaczenia nazwisk, więc odnotujmy, że ogrodnik drzew (Baumgartner) właśnie na drzewo się natknie.

Świat pełen jest fanów prozy Paula Austera, którzy będą pożerać z niecierpliwością jego ostatnią powieść. Według mnie udana jest tylko częściowo. Sam autor objaśnień już nie udzieli, zmarł na raka płuc 30 kwietnia 2024 r. ©℗

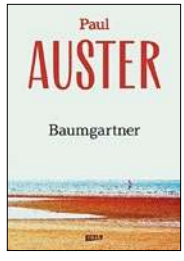

★★★☆☆☆
PAUL AUSTER „BAUMGARTNER" ZNAK 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Do historii amerykańskiej literatury wszedł dzięki wybitnej powieści „Stoner", docenionej dopiero po śmierci autora. Za życia doczekał się dobrych recenzji dzięki powieści o Oktawianie Auguście. Pierwsze wydanie w Polsce.

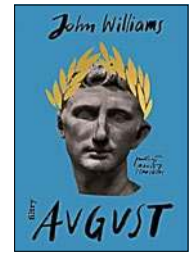

JOHN WILLIAMS „AUGUST" WYDAWNICTWO FILTRY

Autor bestsellerów „Moneyball" czy „Wielki szort" przygląda się karierze Sama Bankmana-Frieda. Najmłodszy miliarder świata, założyciel giełdy kryptowalut FTX, został w ubiegłym roku skazany na 25 lat więzienia.

MICHAEL LEWIS „DĄŻĄC DO NIESKOŃCZONOŚCI" ZYSK I S-KA

Autorka „W komnatach Wolf Hall" o pamięci, pisarskich początkach, walce z chorobą (endometrioza), rodzicach. Mantel zdobyła sławę dzięki powieściom historycznym, ale to autobiografia może być jej najmądrzejszą książką.

HILARY MANTEL „DUCHY ZOSTAJĄ" WYDAWNICTWO CZARNE

Klasyka fantastycznej satyry – przedwcześnie zmarły Kuttner (1915–1958) był mistrzem krótkiej formy, najlepiej sprawdzał się w opowiadaniach łączących szalone pomysły z mizantropiczną ironią i ciepłym humorem. Oto ich wybór. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

HENRY KUTTNER „CZYTELNIKU, NIENAWIDZĘ CIĘ!" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: NIESPODZIEWANY CIĄG DALSZY

Powieść Roberta Silverberga „W dół, do ziemi" uznawana jest za jedno z jego bardziej oryginalnych dokonań, doczekała się też udanej adaptacji komiksowej. Komiks „Dzieci Belzagora" to powrót do niezwykłego uniwersum wykreowanego w książce oraz do bohatera powieści Eddiego Gundersena, a zarazem początek zupełniej nowej fabuły, kontynuowanej w następnych albumach. ***Piotr Gociek***

ROBERT SILVERBERG, BRUNO LECIGNE, SAM TIMEL, ADRIEN VILLESANGE „DZIECI BELZAGORA" EGMONT POLSKA

eprasa.pl 2d5f1223d6

Kto kogo teraz

Wojciech Golonka

Klęska Ukrainy na skutek porzucenia przez USA byłaby porażką wizerunkową bardzo silnie odczuwaną zarówno na gruncie amerykańskiej polityki wewnętrznej, jak i zewnętrznej. Podważałaby za granicą wiarygodność sojuszniczą Stanów Zjednoczonych, podczas gdy jednym z filarów amerykańskiej geopolityki jest oparcie się na sojuszniczych wasalach

Toczącym się od kilku miesięcy rozmowom pokojowym w trójkącie USA – Rosja – Ukraina notorycznie towarzyszą niedające się ze sobą pogodzić deklaracje przedstawicieli Rosji i Ukrainy, co wskazywałoby na fiasko rozmów pod auspicjami USA, mimo regularnych zapewnień ze strony amerykańskiej, z Donaldem Trumpem na czele, że porozumienie jest możliwe do osiągnięcia i zapewne zostanie osiągnięte. Do tej wciąż mglistej układanki dołączył obecnie nie mniej dwuznaczny element w postaci porozumienia między Ukrainą a USA na rzecz ich gospodarczego partnerstwa w postaci Funduszu Inwestycyjnego Odbudowy USA-Ukraina.

W zależności od interpretacji maksymalistycznych lub minimalistycznych jest to bowiem umowa, którą jedni określają jako dokument oznaczający de facto rozbiór Ukrainy przez Rosję i USA, gdy z kolei inni wyśmiewają porozumienie, które równie dobrze może w przyszłości nigdy nie zostać wyegzekwowane. Mimo tych sprzecznych opinii sama umowa ramowa teoretycznie daje Amerykanom możliwość dalszego wspierania militarnego Ukrainy na zasadzie długofalowej inwestycji zwrotnej, co równie dobrze mogłoby przedłużyć tę wojnę pozycyjną o kolejne lata, bez perspektywy jednoznacznego rozstrzygnięcia, z falującą linią frontu, a zwłaszcza ze wszystkimi ofiarami ludzkimi, które pochłania podobna wojna na wyniszczenie. W tej niejasnej sytuacji jednym z kluczowych elementów, choć nie jedynym, są nadal własne kalkulacje Rosji, która, wedle swych kryteriów opłacalności (niekoniecznie zrozumiałych dla zachodnich polityków), gotowa jest albo zamrozić konflikt, albo wydłużyć go w czasie z nadzieją na kolejne stopniowe postępy terytorialne i niewykluczone, że zamierza ona skorzystać z nadchodzącego okresu letniego do przeprowadzenia ofensywy ostatniej szansy (szansy, która równie dobrze może okazać się przedostatnią szansą itd., w zależności od dynamiki sytuacji). Ten otoczony zasłoną dyplomacji informującej i dezinformującej jednocześnie obraz uzupełniają również istotne elementy rywalizacji międzynarodowej: wojna rosyjsko-ukraińska była bowiem dotychczas – to przecież już oficjalne – amerykańsko-rosyjską wojną zastępczą, której ewidentnie towarzyszy kilka wątków natury konfliktu światowego, na czele z konfrontacją ekonomiczną i geopolityczną USA – Chiny, a także z wątkiem krwawej konfrontacji regionalnej na linii Izrael (USA) – Iran. Innymi słowy – na co za mało zwraca się uwagę – pokój na Ukrainie uzależniony jest od ustalenia szerszego status quo, ponieważ wojna za naszą wschodnią granicą jest tylko częścią, choć najgłośniejszą, zbijania pionków i budowania swej pozycji na globalnej szachownicy mocarstw.

ISTNY KOMEDIODRAMAT

Toczące się w zasadzie, począwszy od listopadowej wiktorii Donalda Trumpa, rozmowy, mające, jak zapowiadano, ekspresowo zakończyć wojnę na Ukrainie, nabrały nieco ponadczasowej symboliki, gdzie dla Boga jeden dzień jest jak 1 tys. lat, jednakże obecna misja pokojowa Amerykanów wydaje się bezsilna bardziej z pozoru niż w rzeczywistości. To prawda, że administracja Trumpa patronuje rozmowom mającym ustalić praktyczne warunki trwałego zamrożenia konfliktu, czyli osiągnięcia pokoju, i w tym celu dokonała, co sama podkreśla z frustracją wobec dotychczasowego impasu, daleko idącą pracę dyplomatyczną sondowania możliwości narzucenia status quo do przełknięcia przez wszystkich, z uwzględnieniem faktów dokonanych tej już trzyletniej wojny; i prawdą jest, że przeczące sobie wzajemnie deklaracje dyplomatów Moskwy i Kijowa poniekąd regularnie ośmieszają te wysiłki. Wszak za każdym razem, gdy Biały Dom zwiastował możliwość rychłego zawarcia porozumienia pokojowego, po obu stronach pojawiały się wkrótce oficjalne głosy stwierdzające, że warunki drugiej strony są nie do zaakceptowania. Abstrahując od tragedii wojny, ostatnie miesiące przypominały pod tym względem istny komediodramat, gdzie delegacje spotykają się w błysku

eprasa.pl 2d5f1223d6

szachuje?

FOT. ADOBE STOCK

fleszy w ekskluzywnych resortach, mają miejsce pełne kurtuazji wyrazy wzajemnej empatii, następuje odczuwalne odprężenie napięcia na linii USA – Rosja i nawet dotychczas oporny linii Donalda Trumpa Wołodymyr Zełenski okazuje w końcu, pod jego nieubłagalną presją, uległość, wdzięczność i wolę współpracy. Ale wszystkie te idylliczne stosunki obu stron z Amerykanami pozostają najwyraźniej, na razie, bez jakiegokolwiek przełożenia na rzeczywistość wojny, która toczy się dalej i zbiera swe żniwo. Zarówno dyplomacja amerykańska, jak i sam Trump obok optymistycznych zapewnień raz po raz przejawiają zatem irytację kierowaną, jeśli dobrze rozumieć komentarze i insynuacje, a to w jedną stronę konfliktu, a to w drugą, grożąc nawet odejściem od stołu negocjacyjnego, jeśli obaj adwersarze nie przystaną na wypracowane przezeń założenia, a jednocześnie zostawiają sobie, wraz z podpisaną właśnie umową partnerską z Ukrainą, pole do dalszego jej militarnego wspierania na zasadzie długoterminowej inwestycji zwrotnej.

KISSINGER PRZESTRZEGAŁ

Tak, to wszystko prawda i świadczyłoby nawet o pewnej nieporadności, jednakże obecna rola rozjemcza Amerykanów przesłania istotny fakt, że same USA, czy tego chcą, czy nie, są nadal stroną tej wojny zastępczej, co potwierdził sam sekretarz stanu Marco Rubio, obecnie także prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego (zdaje się, że ostatnim razem obie te funkcje łączył na początku lat 70. XX w. ówczesny Metternich amerykańskiej polityki zagranicznej, Henry Kissinger, którego szkoła jest skądinąd odczuwalna w działaniach samego Rubia). Innymi słowy, teoretycznie Amerykanie rzeczywiście mogliby zakończyć tę wojnę „w jeden dzień", ale ucinając, jak już to zrobiły na potrzebę chwili, wszelkie dalsze wsparcie dla Ukrainy, a zwłaszcza wsparcie wywiadowczo-eksperckie, zaprzestając tym samym pomocy, która zarówno jako całość, jak i w szczegółach jest nie do zastąpienia przez innych partnerów Ukrainy, nawet w formie szerszej koalicji. Jakkolwiek eksperci i medialni generałowie zaklinaliby rzeczywistość, wycofanie się Amerykanów z ich wojny zastępczej oznaczałoby bowiem, siłą rzeczy, dość szybką kapitulację Kijowa na warunkach Moskwy, widmo dezintegracji państwa ukraińskiego lub wzmożone ryzyko rozlania się konfliktu na państwa sojusznicze Ukrainy, pozbawione tym razem ochrony wujka Sama. Otóż, choć Donald Trump podkreśla, jak tylko może, że odziedziczył ten niechciany przezeń konflikt zbrojny po Joe Bidenie, który za jego prezydentury nigdy nie miałby miejsca, nie zmienia to faktu, że jest to wojna, z której tak po prostu Stanów Zjednoczonych wycofać on nie może, i to z kilku uzupełniających się powodów.

Po pierwsze, klęska Ukrainy na skutek porzucenia przez USA byłaby porażką wizerunkową bardzo silnie odczuwaną zarówno na gruncie amerykańskiej polityki wewnętrznej, jak i zewnętrznej, podważając za granicą wiarygodność sojuszniczą Stanów Zjednoczonych, podczas gdy jednym z filarów amerykańskiej geopolityki jest oparcie się na sojuszniczych wasalach, a zwłaszcza sprzedawanie tymże wasalom owoców amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego, bynajmniej nie po zaniżonych cenach. Trzeba zatem zaznaczyć, że choćby tego chciały – a prawdopodobnie brano to pod uwagę – to USA nie są w stanie tak po prostu, bez wywołania obciążającej ich klęski, „odsprzedać" tej ich wojny europejskim zwolennikom jej kontynuowania aż do hipotetycznego zwycięstwa Ukrainy, a to dlatego, że europejska partia wojny, jak już wspomnieliśmy, sama nie uniosłaby jej ciężaru.

Po drugie, i chyba jeszcze ważniejsze, wycofanie się z Ukrainy bez pewnych ustępstw ze strony Rosji byłoby kolejną, jeszcze bardziej niepowetowaną porażką. Jak wiadomo, wojna na Ukrainie spowodowała zacieśnienie relacji Rosji z Chinami, Iranem oraz Koreą Północną, a przed wepchnięciem Rosji w ramiona Chin przestrzegał akurat administrację Joe Bidena właśnie wielce sędziwy Kissinger, przypominając kierujące amerykańską dyplomacją roztropnościowe paradygmaty z okresu zimnej wojny. Przestrzegał jednak na próżno, a poluzowanie tych

eprasa.pl 2d5f1223d6

sojuszy, jeśli w ogóle wykonalne, może być dla USA niezwykle kosztowne, choć tuz rosyjskiej dyplomacji, Siergiej Ławrow, zdążył już oświadczyć, że normalizacja stosunków Moskwy z Waszyngtonem nie odbędzie się kosztem zawartych przez nią sojuszy. W zaciszu rozmów pokojowych zapewne padły, a przynajmniej, logicznie rzecz ujmując, powinny były paść pytania o cenę wpłynięcia Rosji na Iran w kwestii rezygnacji przezeń z dążenia do pozyskania broni jądrowej, o cenę neutralności na wypadek hipotetycznej konfrontacji zbrojnej z Chinami, a jeśli te transakcje są możliwe, to oprócz znoszenia sankcji wszelakich częścią ich ceny jest zapewne kwestia ukraińska. W każdym razie to wypracowywanie tego szerszego status quo, niekoniecznie po myśli amerykańskiej, ale minimalizującego przynajmniej do pewnego stopnia geopolityczne bolączki oddziedziczone po poprzedniej administracji, jest najtrudniejszym elementem, warunkującym samo zamrożenie wojny na Ukrainie obok właściwych jej składników.

W ramach czystej hipotezy badawczej, podpartej co najwyżej poszlakami, ale którą w dobie obecnego jakby infantylnego przeciągania liny z hasłem: „będzie pokój – nie będzie pokoju" wysunąć trzeba, powstaje pytanie: A co, jeśli np. ceną za podobne przysługi byłby nieco większy niż dotychczas terytorialny apetyt Federacji Rosyjskiej, domagającej się od USA po prostu więcej czasu na krwawą realizację własnych celów? Wszak wiceprezydent J.D. Vance jeszcze nie tak dawno temu zapowiadał, że oba wojujące kraje będą musiały dokonać koncesji terytorialnych, co miało sens tylko wtedy, kiedy Ukraina kontrolowała choćby część obwodu kurskiego, z którego jednak została w tym czasie wyparta. Innymi słowy, Vance mówił coś, co miało sens w perspektywie bezzwłocznego zawieszenia broni, gdy tymczasem Rosja, z aprobatą USA lub bez, ale grając dyskusjami na zwłokę, odzyskała zupełną kontrolę nad swymi granicami.

ZŁAPAŁ KOZAK TATARZYNA...

Ta niejasna i nierozstrzygnięta sytuacja rzuca jednak pewne światło na porozumienie z 30 kwietnia 2025 r. między Waszyngtonem a Kijowem w sprawie ustanowienia Funduszu Inwestycyjnego Odbudowy USA-Ukraina. Umowa ta wprawdzie musi zostać jeszcze ratyfikowana przez ukraiński parlament, z możliwą wcześniejszą koniecznością dostosowania do niej tamtejszego ustawodawstwa, niemniej zapowiadana od miesięcy przez amerykańską administrację pozwala ona tejże osiągnąć kilka celów.

Po pierwsze: w przekazie skierowanym do amerykańskiej opinii publicznej mocno podkreślano, że umowa ta racjonalizuje zaangażowanie USA po stronie Ukrainy, ale bez ryzyka gwarancji bezpieczeństwa, na zasadzie jawnej i twardej transakcyjności, która pod hasłem powojennej odbudowy i modernizacji Ukrainy sprowadza się w praktyce do zasady: nic o was bez nas. Mimo niedopowiedzeń czy dwuznaczności niektórych elementów tej umowy nie należałoby wyolbrzymiać niemożności amerykańskiej administracji do jej wyegzekwowania, a to z prostego względu, że od czasu wojny to i tak oligarchicznie sterowane państwo żyje na zagranicznej kroplówce.

Choć Donald Trump podkreśla, że niechciany przezeń rosyjsko-ukraiński konflikt odziedziczył po Joe Bidenie, to jest to wojna, z której tak po prostu Stanów Zjednoczonych wycofać on nie może

W swych założeniach ramowych fundusz udziela de facto amerykańskiej stronie daleko idącej pieczy nad częścią ukraińskiej gospodarki. Podkreśla się mające zasilać go w połowie przyszłe państwowe benefity z licencji eksploatacji ukraińskich złóż energetycznych i minerałów rzadkich (ze strony USA wkładem ma być wyceniona pomoc militarna wszelakiej formy), a amerykańskie firmy będą mogły w praktyce uzyskać pierwszeństwo w tejże eksploatacji.

Ale po drugie: nie mniej istotną kwestią jest to, że w myśl tej bezterminowej umowy to Amerykanie będą współdopuszczali, kogo tylko zechcą, do odbudowy i – nie zapominajmy – modernizacji Ukrainy, co oznaczać może w zasadzie wszelkie inwestycje publiczne, bez ograniczeń czasowych. Pomijając odsunięcie od decyzyjności europejskich partnerów Ukrainy, ta amerykańska dominacja gospodarcza jest na swój sposób wymierzona także w Moskwę. Albowiem bez większego ryzyka eskalacji, którego realnie się obawiał, i nieco wbrew sobie Donald Trump może na korzystniejszych niż dotychczas dla USA warunkach oraz przy większym outsourcingu państw sojuszniczych (jak w Jasionce) windować, w przypadku dalszej gry Rosji na zwłokę, cenę jej „zwycięstwa" w górę. Ponadto wspomnianym funduszem prezydent Trump położył zaporę przed ewentualną eksploatacją gospodarczą części Ukrainy niebędącej pod kontrolą Rosji przez stronę rosyjską na wypadek (na razie mocno teoretyczny, ale możliwy) powstania w Kijowie rządu prorosyjskiego lub przynajmniej neutralnego względem Moskwy. Jednocześnie strona amerykańska może wycofać się z tej umowy w każdej chwili. Innymi słowy, abdykacja Ameryki z pieczy nad ukraińskimi surowcami może w razie potrzeby stać się elementem szerszych negocjacji.

W całej powyższej analizie zachodzi jednak podwójny mankament. Pierwszy, bardziej ogólny, to błędna po stronie zachodniej, od początku tej wojny, kalkulacja rosyjskiej opłacalności kosztów, podczas gdy kryteria Rosji niekoniecznie odpowiadają kanonom naszej racjonalności. Dla przykładu: w trakcie drugiej wojny światowej poległo ok. 400 tys. amerykańskich żołnierzy i aż 9 mln żołnierzy sowieckich, co jasno wykazuje, że ówcześni sojusznicy inaczej kalkulowali opłacalność nakładów potrzebnych do uzyskania bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. A drugi, ale też związany z naszą potrzebą racjonalności: z racji braku dostępu do poufnych rokowań część tego wywodu wiąże się z potrzebą nadrabiania sensownymi supozycjami pustki informacyjnej, gdy tymczasem stosunki międzynarodowe nie są wolne od kroków nieracjonalnych lub rozwiązań wynikających po prostu z bezsilności. A w pewnym sensie, choćby intuicyjnie, wiadomo, że w przypadku USA i Rosji jesteśmy w sytuacji, w której „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma", choć konia z rzędem temu, kto jednoznacznie odpowie, kto obecnie jest Kozakiem, a kto Tatarzynem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w wolność! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Kapitał wygrał wolność słowa w USA. W Polsce zrobimy to samo."

Łukasz Warzecha
PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 2d5f1223d6

Ofiara z rozumu

Dariusz Wieromiejczyk

Dla pisarza, odnoszącego się do wariactwa z takim respektem, komplementem będzie zapewne nowina, że jego książka wydaje mi się wywodem całkowicie wariackim

Jan Maciejewski, autor „Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać?”

FOT. JACEK ŁAGOWSKI/FORUM

Książka Jana Maciejewskiego „Nic to!”, opublikowana właśnie przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, jest pod wieloma względami lekturą zaskakującą. Wydawca reklamuje ją w okładkowej notce słowami: „Jan Maciejewski stawia odważną tezę, że wraz z rozbiorami daliśmy się zwieść jako naród kłamstwu romantycznemu”. Czytamy też: „Jego esej wytrąca z historycznych przyzwyczajeń, skłania do realistycznej maksymalnej weryfikacji, a dzięki temu do rozpoznania naszego miejsca w Wielkiej Historii na nowo”. Czytelnik wyobraża więc sobie, że czeka go lektura historyczna. W tej opinii utwierdzić może krótki biogram pisarza. Podkreśla on jego współpracę z think tankiem Strategy & Future oraz pełnioną w przeszłości funkcję redaktora naczelnego wydawanego przez Klub Jagielloński kwartalnika „Pressje”. Z notki dowiadujemy się również, że autor pochodzi z Krakowa.

„Nic to!” nie jest typowym esejem historycznym. Postaci historyczne swobodnie mieszają się w nim z bohaterami literackimi, debatując na równych prawach, pod okiem Hioba, Dionizosa i św. Tomasza. Jak podsumowuje swe dzieło sam autor: „Zacząłem tą książkę opowieścią o wariacie, Ignacym Ściborze Marchockim, i w »domu wariatów«, Szpitalu Przemienienia ją kończę”. W poprzednim akapicie czytelnik dowiedzieć się może: „Nie ma nic bardziej ludzkiego od wariowania. »Homo variatur est« – pisał w »Summa theologiae« Tomasz z Akwinu”. Dla pisarza, odnoszącego się do wariactwa z takim respektem, komplementem będzie zapewne nowina, że jego książka wydaje mi się wywodem całkowicie wariackim. Napisana językiem wieloznacznych metafor, przetkana fragmentami poezji romantycznej i pieśniami współczesnych bardów książka Maciejewskiego jest strzelistym aktem uwielbienia dla romantycznego szaleństwa, zbiorowego oraz indywidualnego samobójstwa, pogańskich obrzędów ofiarnych i polskiej tradycji insurekcyjnej. Klęski ostatnich stuleci przedstawione są w niej jako niezbędne i wynikające z logiki historii ofiary, na których powtarzaniu opierało się i opiera trwanie naszego narodu oraz państwa.

REALISTYCZNY DYSKURS?

Przesłanie recenzowanej książki najlepiej odtworzyć, posiłkując się słowami samego autora. „Kiedy Chrystus umiera na krzyżu, zasłona w świątyni rozdziera się na dwoje. Oznacza to, że ustają dotychczasowe ofiary [...]. Poprzednie ofiary zostają zniesione, ale tylko dlatego, że od teraz ta jedna wystarcza”.

„Kiedy święte symbole chrześcijaństwa wyparowały z zachodniej wyobraźni, nad naszym światem zawisnął cień nieodprawionej mszy. Pod jego osłoną zaczęły wracać krwawe ofiary. Zardzewiały mechanizm kozła ofiarnego został z powrotem wprawiony w ruch i od tej pory pracuje pełną parą [...]. Zasłona została zaszyta, wróciła na swoje miejsce w świątynnym przybytku. Zaczęło się poszukiwanie kozłów ofiarnych. Dlatego dokonał się założycielski mord na Pierw-

eprasa.pl 2d5f1223d6

szej Rzeczypospolitej. I z tego samego powodu Polacy zaczęli składać własne ofiary »na ołtarzu Ojczyzny«. »Ginęli, by Polska mogła istnieć«, karmili jej mistyczne ciało własną krwią. Wszystko to musiało się dziać, bo przestrzeń nieofiarnicza jest niemożliwa". Proste?

Czytając te słowa, czytelnik narażony jest na grubą konfuzję. Czyżby to właśnie była, zapowiadana na okładce, „realistyczna maksymalna weryfikacja" polskiej historii? Czy o takich wywodach pisał, całkiem niedawno, Łukasz Warzecha na łamach tygodnika „Do Rzeczy" słowami: „Trzeba również wymienić świetnego publicystę młodego pokolenia (także związanego ze Strategy & Future), Jana Maciejewskiego? Jego najnowsza książka »Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać?« jest wybitnym rozrachunkiem z naszą romantyczną mitologią, który bez żadnej przesady można postawić obok »Dziejów głupoty w Polsce« Aleksandra Bocheńskiego"? Zachodzę w głowę, czy czytaliśmy z redaktorem Warzechą tę samą książkę?

Jeśli Jan Maciejewski reprezentować ma w Polsce realistyczną, „demaskującą romantyczne mity" szkołę myślenia historycznego, to „polskim profesorem Mearsheimerem" obwołać należy, pośmiertnie, Jarosława Marka Rymkiewicza. Maciejewski darzy pisarstwo Rymkiewicza ogromnym szacunkiem, poświęca mu nawet jeden z rozdziałów swej książki. Charakterystyczna dla Rymkiewicza stylistyka erudycyjnej gawędy i romantyczny rozmach metafor wydają się ważną inspiracją dla autora „Nic to!". Drugą, jeszcze ważniejszą, jest stworzona przez René Girarda koncepcja „kozła ofiarnego" i krwawej ofiary jako fundamentu wszelkich ludzkich społeczeństw. Z wyboru takich mistrzów nie sposób czynić autorowi zarzutu. Z „realistycznym" dyskursem o historii nie ma on jednak nic wspólnego.

ODDALONE ECHA

Czytelnik „Nic to!" odkrywa naturę czytanej książki stopniowo. Pierwsze kilkadziesiąt stron tekstu to iskrząca się anegdotami opowieść o okolicznościach upadku Pierwszej Rzeczypospolitej. Razić w niej może nadmiar uczonych cytatów (taka jest dziś moda na literackich salonach), skłonność do uproszczonych sądów i nazbyt wybujała, pełna górnolotnych metafor stylistyka. Dla czytelników, którzy w dociekaniu przyczyn rozbiorów podążać zwykli śladami precyzyjnych, drobiazgowo rozliczających popełnione przez polskie elity błędy analiz prof. Jerzego Łojka, zaskoczeniem może być prezentowane przez Maciejewskiego ujęcie problemu: „Właściwie po dziś dzień trwa między historykami spór o to, kto był głównym winowajcą pierwszego rozbioru, samej idei rozszarpywania Polski na kawałki […]. Ale sporu owego ostatecznie nie rozstrzygną historycy, tylko antropologowie. Autorem, sprawcą rozbioru, był tłum państw. Dlatego do owej brudnej wspólnoty Moskwy i Berlina dołączyć musiał Wiedeń. Jak wszyscy, to wszyscy. Każdy tłum liczy się od trzech w górę. Ja nic na niego nie mam, ty nic na niego nie masz, on nic na niego nie ma; wspólnie mamy więc w sam raz tyle, by skazać go na śmierć".

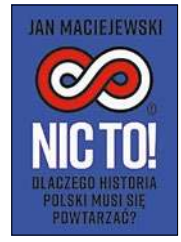

JAN MACIEJEWSKI „NIC TO! DLACZEGO HISTORIA POLSKI MUSI SIĘ POWTARZAĆ?" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2025

Zdaniem Maciejewskiego „zbrodnia" dokonana na Polsce miała dla Europy „przełomowy, założycielski charakter", ustanawiając „reguły, według których działać miał założony na trupie Rzeczypospolitej świat". Była „mordem założycielskim europejskiej nowoczesności".

Skoro ofiara złożona w czasie rozbiorów była czynem koniecznym dla „ustanowienia świata", to dalsze dzieje Polski były już przesądzone. „Polska jest zakładem utylizacji win Zachodu. W najbardziej monstrualnej, demonicznej formie zrealizowała się ta reguła podczas drugiej wojny światowej. Obozy śmierci znalazły się na ziemiach polskich, bo Zachód, Niemcy nie chcieli ich (przynajmniej nie wszystkich) widzieć. Patrzeć na nie ani ich czuć. Ten fragment Europy stał się magnesem, który przyciągnął opiłki najgorszych win Starego Kontynentu" – poucza Maciejewski.

Czym są opiłki win i dlaczego przyciąga je magnes? W wybujałych metaforach Jana Maciejewskiego przyciągać się może wszystko, kojarząc najodleglejsze wydarzenia i słowa. Niczym w słynnym wierszu Baudelaire'a „Oddźwięki":

Jak oddalone echa, wiążące się w chóry,
Tak sobie w tajemniczej, głębokiej jedności,
Wielkiej jako otchłanie nocy i światłości
Odpowiadają dźwięki, wonie i kolory.

Dekadencki poeta Charles Baudelaire w poszukiwaniu „oddalonych ech" posiłkował się dalece nie tylko „opiłkami win". Ocieplenie klimatu umożliwiło już w naszych czasach udaną uprawę winorośli na podkrakowskich stokach. Czyżby i bardziej egzotyczne rośliny zdołały obdarzyć swym kwieciem intelektualistów słonecznej Małopolski? Wsłuchajmy się w snute przez krakowskiego filozofa wizje inspirowane historią rozbiorów. „Jeśli w 1796 r. istniało miejsce, w którym można by zidentyfikować całą Polskę (z równą precyzją i intensywnością jak pokład tupolewa w 2010 r.), to był nią Zamek Królewski – ten, z którego okien rozweselony Prusak wyrzucał sprzęty: relikwie, fragmenty ciała i ubrań nieżyjącego państwa. Tutaj przecież odbywały się ledwie kilka lat wcześniej obrady Sejmu Wielkiego. Tutaj uchwalono Konstytucję 3 maja. To wnętrze uosabiało całe spektrum poglądów i wartości wyznawanych w Rzeczypospolitej, zasiadali tu przedstawiciele wszystkich frakcji i stronnictw. Dokładnie tak samo, jak na pokładzie Tu-154M".

Poszukiwanie w odległych od siebie wydarzeniach ukrytych przed profanami związków prowadzi czasem autora na zawstydzające manowce. Tak dzieje się we fragmencie książki poświęconym powstaniu warszawskiemu. „Tym razem rzeź dokonała się nie na Pradze, ale na Woli. I znowu, jak w 1794 r., prym wiedli w niej Kozacy i członkowie pozostałych, kolaborujących z Niemcami jednostek tworzonych przez narody ze Wschodu" – pisze Jan Maciejewski.

Wśród niemieckich jednostek, tłumiących powstanie warszawskie, znalazły się dwa bataliony „azerskie", w których służyli także żołnierze innych nacji północnego Kaukazu. Był też w Warszawie batalion niemieckiej policji pomocniczej Sipo, liczący kilkuset Ukraińców. Najgorszą pamięć pozostawiła po sobie formowana na przeoranej wojną partyzancką wschodniej Białorusi brygada RONA, nazywana brygadą Kamińskiego. Jednostki te, formowane i dowodzone przez

eprasa.pl 2d5f1223d6

Niemców, składały się w swojej masie z rekrutowanych w obozach jeńców wojennych, sowieckich dezerterów, rozmaitych awanturników i kryminalistów. Niemcy organizowali je na okupowanych obszarach sowieckiego imperium, dotkniętych, w równej mierze, terrorem sowieckim i hitlerowskim. Nazwanie ich „jednostkami tworzonymi przez narody Wschodu” jest oburzającym kłamstwem i wymierzoną w te narody obelgą. Przypisywanie miana „Kozaków” każdej zbrodniczej formacji, noszącej baranie czapki i mówiącej „po rusku”, ma z prawdą tyle wspólnego, co książka Maciejewskiego z rzetelną eseistyką historyczną. Jedyną, poza rusofobią autora, przyczyną przypisania rzezi Woli, w roku 1944, „Kozakom” wydaje się potrzeba stworzenia kolejnej efekciarskiej metafory, spinającej „warszawskie ofiary” klamrą kozackiej rzezi. Wielokrotnie cytowany na kartach „Nic to!” Józef Mackiewicz z niezrównaną precyzją opisał wojenny koszmar „narodów Wschodu”, wziętych w mordercze kleszcze dwóch ludobójczych totalitaryzmów. Maciejewskiemu łatwiej przyszło Mackiewicza cytować, niż zrozumieć.

W podobnie precyzyjny sposób prowadzone są na kartach „Nic to!” poszukiwania „kozłów ofiarnych”, zapewniających trwanie naszej wspólnoty narodowej. Jednym z nich jest dla Maciejewskiego książę Józef Poniatowski. Dlaczego znalazł się nad Elsterą? „Żeby kości zostały rzucone, Cezar musiał przekroczyć rzekę, Rubikon. Naród wybrany zostaje wyzwolony z Egiptu dzięki przejściu przez Morze Czerwone, które na potrzeby historii świętej przyjęło postać i rolę rzeki właśnie. Druzus zarządza odwrót znad Łaby. Konstantyn pokonuje Maksencjusza przy moście Mulwijskim. A do cudu w 1920 doszło też przecież nie »pod Warszawą«, ale »nad Wisłą«. Bo żeby stało się coś naprawdę wielkiego, jakieś przełamanie, pęknięcie historii, transformacja dziejów, koniecznie potrzebna jest rzeka”.

Po tak ogólnym wykładzie strategicznego znaczenia dróg wodnych przechodzi Maciejewski do wyjaśnienia powiązanych z Elsterą wydarzeń: „Jak w sakramencie chrztu, gdzie symbol wody oznacza zatopienie katechumena w śmierci Chrystusa i wyłonienie z powrotem – przez jego zmartwychwstanie. »Jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie z wody i Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego« […]. I to nie pod zerwanym mostem, przypadkowo, ale z pełną premedytacją. Kiedy Pepi zobaczył dookoła siebie przeważające siły wroga, policzył wszystkie cztery rany na swym ciele, a przed sobą dostrzegł rwący nurt Elstery, musiało do niego dotrzeć, że lepszego zakończenia nie będzie. Dokonało się […]. Pięć ran, ostatnia w serce. Ktoś już przed nim tak umierał”.

Budowanie analogii pomiędzy „powtórnym narodzeniem się z wody” księcia Pepi a ofiarą Chrystusa na krzyżu wydać się może zawoalowanym bluźnierstwem. Nie jest nim ono zapewne dla autora „Nic to!”, który w rozdziale poświęconym Rymkiewiczowi otwarcie ogłasza „rozpad, a może nawet śmierć chrześcijańskiego zestawu znaków i symboli, świętych słów i obrazów”. Trafnie dostrzegając w twórczości Rymkiewicza obecność wątków pogańskich, Maciejewski powtarza rozpoznanie swego mistrza. „Po chrześcijaństwie przyszło to, co je poprzedziło. Zachodnia wyobraźnia zaczęła osuwać się w pogański mit”. Snuta przez Maciejewskiego wizja polskiej historii uznaje wypełnianie nakazów tego mitu za jedyną, aktualnie dostępną receptę na dalsze trwanie Polaków. I nie zmieni tego pojawiająca się pod koniec książki nadzieja na wyrwanie nas z ofiarnego kręgu przez „przywrócenie chrześcijańskiej symbolice jej wiążącej mocy”. Kto i jak miałby tego dokonać?

„To już inna historia i trzeba będzie ją opowiedzieć innym razem” – zapowiada enigmatycznie współpracownik think tanku Strategy & Future.

WAWELSKI CZAKRAM

Wspomnę jeszcze o jednym, zaskakującym wątku „Nic to!” Obok księcia Poniatowskiego kolejną historyczną postacią o „znamionach ofiarniczych” jest w opowieści Maciejewskiego Lech Kaczyński. Jako osoba ze szczytu hierarchii społecznej doskonale pasuje on do antropologicznego modelu René Girarda. „W przypadku Lecha Kaczyńskiego o odnalezienie tych »znamion ofiarniczych« nie było wcale trudno. Wytykano mu w pierwszej kolejności niski wzrost i brzydotę”. „Pretekstem do żartów było również jego nazwisko (»Kaczory« »dwugłowa kaczka«). Istoty, które zawieszają granicę pomiędzy tym, co ludzkie, a tym, co zwierzęce, są najbardziej niebezpieczne dla archaicznych wspólnot”. „W »katalogu win« Lecha Kaczyńskiego na pierwsze miejsce wysuwać zdawał się jednak fakt, że ma brata bliźniaka”. Dość ryzykownym zabiegiem autora „Nic to!” jest cytowanie w kontekście podobnych rozważań opinii socjologa, prof. Michała Łuczewskiego „W kulturach pierwotnych panuje powszechna »religijna fobia bliźniąt«, która prowadzi do oskarżeń o groźne epidemie, tajemnicze choroby, nieporozumienia między bliskimi, upadek rytuałów, gwałcenie zakazów, a w ostatecznym rachunku do rytualnego mordu bliźniąt. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ nie można ich odróżnić i stają się niejako symbolem »odróżnicowania« społeczeństwa, a więc jego głębokiego kryzysu”.

Czyżby przyczyną wrogości znacznej liczby Polaków wobec Lecha Kaczyńskiego miała być właśnie „fobia bliźniąt”, właściwa „kulturom pierwotnym”? Na sąsiedniej stronicy, w opisie konsekwencji katastrofy smoleńskiej, Jan Maciejewski znów przywołuje słowa Michała Łuczewskiego: „Wydawało się, że Lech Kaczyński wciąż żył, w swoim bracie. W konsekwencji w oczach przeciwników Jarosław Kaczyński obok swojego ciała fizycznego, niczym średniowieczny król, miał jeszcze ciało drugie; nieśmiertelne i święte”.

Rozważania o utonięciu w Elsterze jako „rytuale koronacyjnym” i „zamknięciu mordu rytualnego na Polsce” uznać można za przejaw nadmiernej egzaltacji krakowskiego eseisty. Dywagacje o królewskiej godności oraz „nieśmiertelnym i świętym” ciele Jarosława Kaczyńskiego wydają się charakterystyczne nie tylko dla Jana Maciejewskiego, lecz także dla bardziej od niego utytułowanych przedstawicieli prawicowych elit Krakowa. Zajętym opisywaniem „sakramentu królestwa” i wyznaczaniem granic „imperium wolności” luminarzom z Krakowa życzyć należy rześkiej, słonecznej wiosny oraz kojących emocje spacerów, z dala od oddziaływań wawelskiego czakramu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Sądy specjalne w Generalnym Gubernatorstwie a luka w niemieckiej polityce pamięci

Konrad Graczyk

W latach 1939–1945 sądy specjalne w GG wydały tysiące wyroków. Część z nich miała charakter eksterminacyjny. Czy niemiecki ustawodawca odniósł się do nich?

EKSTERMINACYJNE WYROKI

Z szerokiego spektrum właściwości sądów specjalnych GG warto zwrócić uwagę na dwie kategorie wyroków – opierające się na rozporządzeniu z 1940 r. o obowiązku meldowania się oficerów polskich oraz na trzecim rozporządzeniu z 1941 r. o ograniczeniach pobytu w GG. Oba rozporządzenia wydane przez Hansa Franka przewidywały tzw. absolutną karę śmierci: pierwsze – dla oficera polskiego, który nie zameldował się u właściwego starosty; drugie – dla Żyda, który bez upoważnienia opuszcza getto, oraz dla tego, kto takiemu Żydowi świadomie daje kryjówkę.

Na karę śmierci za niezameldowanie się jako polski oficer zostali skazani: w Krakowie m.in. Stanisław Olechnowicz i Janusz Żongołłowicz; w Warszawie Bronisław Fritz i Jan Romuald Kowalski. Kowalskiego, który posługiwał się fałszywym nazwiskiem, aresztowano na podstawie donosu informatora gestapo. Po skazaniu został negatywnie zaopiniowany co do prawa łaski, na czym zaważyły przynależność do polskich organizacji oraz patriotyzm. Stracono go 27 stycznia 1942 r. w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Tuż przed rozstrzelaniem krzyknął: „Niech żyje Polska!".

W toku ewakuacji niemieckich sądowników w latach 1944 i 1945 zniszczono wiele akt sądowych, stąd trudno jest oszacować, ile tego rodzaju wyroków zapadło. W przypadku wyroków śmierci wydanych wobec Żydów w związku z nielegalnym opuszczeniem getta ich liczbę szacuję na dochodzącą do nawet 2 tys. Jednym z nich jest wyrok z Radomia wydany wobec Ity Bryt z Wąchocka, która – choć nie posiadała zezwolenia na opuszczenie miejsca zamieszkania – została zatrzymana poza nim, ponieważ chciała kupić jedzenie dla chorej matki. Tę samą karę usłyszał Aron Budko, który opuścił swoją wieś w poszukiwaniu pracy. Oraz Zacharias Goldberg, Frieda Gerstenfeld i Abram Felsztajn. I inni…

Na podstawie trzeciego rozporządzenia skazywano również na karę śmierci za pomoc Żydom. Według moich obliczeń skazani za ten czyn przed sądami specjalnymi GG byli w 65 proc. Polakami, w 17,5 proc. Ukraińcami, w 16 proc. Niemcami oraz w 1,5 proc. Żydami. W Piotrkowie skazano Jana Góralczyka, który przez dwa tygodnie ukrywał w stodole Żyda, oraz Władysława i Genowefę Rutkowskich. Skazano Stanisławę Barbachowską, która przyjęła do swojego mieszkania w Kosowie 12-letnią dziewczynkę. A także Bronisława Najdę i Piotra Kokoszkę oraz Aloisa Hubera czy Nikolausa Werneja. I innych…

Co czuli niemieccy sędziowie wydający wyroki w tych sprawach? Erwin Wester, przewodniczący Sądu Specjalnego w Stanisławowie, odczuwał wręcz patologiczną satysfakcję. Fotografował się ze straconymi Polakami lub Żydami i w listach do żony chwalił się liczbą orzeczonych kar śmierci. Podczas urlopu spędzanego w rodzinnej Konstancji mówił o skazaniu na śmierć ludzi za danie Żydowi kawałka chleba. Gdy jeden z jego rozmówców wyraził szok dysproporcją przewinienia i kary, odpowiedział: „Polacy nie są ludźmi jak my".

ŚWIADOMA LUKA W NIEMIECKIEJ POLITYCE PAMIĘCI?

W 1998 r. Bundestag uchwalił ustawę „o uchyleniu bezprawnych wyroków narodowosocjalistycznych w sprawach karnych". Ustawa wymienia wyroki Trybunału Ludowego, sądów doraźnych z 1945 r. oraz wyroki opierające się na aktach prawnych wymienionych w załączniku do ustawy. Nie zawiera ona jednak ani jednego aktu prawnego wydanego przez Hansa Franka. Ustawa nie obejmuje zakresem podmiotowym ani przedmiotowym sądów specjalnych GG oraz wyroków wydanych na podstawie obu rozporządzeń. Luka ta może stać się postulatem polskiej dyplomacji pod adresem niemieckiego ustawodawcy, aby w sposób wyraźny i godny ustosunkował się do eksterminacyjnych wyroków sądów specjalnych w GG. Postulat ten będzie można wszakże łatwiej i szybciej zrealizować niż wieloletnią inwestycję w „Dom Polsko-Niemiecki".

Autor jest pracownikiem IPN oraz Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Ostatnio opublikował książkę pt. „Niemieckie sądy specjalne w Generalnym Gubernatorstwie 1939-1945".

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 2d5f1223d6

Filip Memches

Utworzone przez Eduarda Limonowa ugrupowanie okazało się czymś więcej niż formacją polityczną. Prowadziło działalność, w której nie brakowało happeningów. Było w niej oprócz poważnej polityki sporo zgrywu. Wybielanie sowieckiego komunizmu zakrawało na zachowania prowokacyjne

„Czerwonobrunatna" kontrkultura Rosji

Rok 1994. Hala sportowa „Krylja Sowietow" w Moskwie. Zgromadzona publiczność żywiołowo reaguje na występ rockowej grupy Grażdanskaja Oborona. Z głośników wydobywa się ostra, agresywna muzyka. Charyzmatyczny lider i wokalista zespołu, Jegor Letow, śpiewa i wykrzykuje punkowy cover powstałej dwie dekady wcześniej sowieckiej piosenki, w której wychwalana jest „młodzieńczość" Włodzimierza Lenina oraz rewolucji bolszewickiej. U góry gmachu powiewa zaś flaga budząca szokująco ponure skojarzenia. Jest ona niemal taka sama jak sztandar III Rzeszy. Zamiast swastyki widnieją jednak na niej sierp i młot.

To flaga ruchu narodowo-bolszewickiego. Skoro tak, to od razu przychodzi na myśl niemiecki narodowy socjalizm, lecz w tym przypadku w postsowieckim wydaniu, w którym może się odzywać tęsknota za czerwonym imperium widzianym jako państwo odwołujące się do ideologii komunistycznej i zarazem będące faktycznie manifestacją wielkoruskiego szowinizmu. Narodowy bolszewizm to jednak bynajmniej nie nazizm, choć jego zwolennicy byli w rosyjskich kręgach liberalnych lat 90. pejoratywnie określani jako „czerwonobrunatni". Czym zatem jest owo zjawisko i co ma wspólnego z czymś tak obcym sowieckiej siermiędze jak rockowe widowisko, które można znaleźć na YouTube?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się do epoki masowej rebelii młodzieży na Zachodzie. Sześć dekad temu w krajach zachodnich doszła do głosu kontrkultura, która w wymiarze ideowym była eksponentką nowej lewicy. Pacyfizm, głęboka ekologia, eksperymentowanie z odmiennymi stanami świadomości (za pośrednictwem nie tylko marihuany, lecz także takich nowo odkrytych substancji, jak LSD), „wolna miłość" w hipisowskich komunach – wszystkiemu temu towarzyszył radosny bunt przeciw „represyjnym" strukturom społecznym: państwu, szkole, rodzinie. A dalszy ciąg był taki, że weterani zachodniej kontrkultury przedzierzgnęli się w poważnych i statecznych ludzi, którzy przeprowadzili marsz przez instytucje. Tym samym idee nowej lewicy zaczęły oddziaływać na zachodnie liberalne demokracje.

ROSYJSKA SPECYFIKA

Jak wiadomo, w okresie zimnej wojny kraje ówczesnego bloku wschodniego nie były impregnowane na mody docierające do nich z Zachodu. Niemniej owe trendy – w tym takie subkultury jak punk – trafiły na inny grunt niż ten, który stanowiły bogate społeczeństwa zachodnie. Jeśli

eprasa.pl 2d5f1223d6

Marsz protestacyjny narodowych bolszewików w Moskwie (1998). Na pierwszym planie: Eduard Limonow

FOT. REUTERS PHOTOGRAPHER/REUTERS/FORUM

chodzi o Rosję, to zaważyły dwa czynniki: ciężkie doświadczenie realnego socjalizmu oraz odrębna względem Zachodu cywilizacyjna tożsamość kraju. Takie uwarunkowania nie sprzyjały flirtowi z nową lewicą. Na Zachodzie jej idee stanowiły bowiem wyraz ekstrawaganckiej diagnozy postawionej przez pokolenie baby boom społeczeństwom dobrobytu. Tymczasem rzeczywistość sowiecka okazała się bazą dla zjawisk, które z zachodniej perspektywy wydają się dość dziwaczne, a nawet przerażające.

Tak jest właśnie z narodowym bolszewizmem. Jego kontrkulturowe oblicze wyłania się z opublikowanej w roku 2011 książki „Limonow" autorstwa francuskiego pisarza Emmanuela Carrère'a (po polsku ukazała się w przekładzie Magdaleny Kamińskiej-Maurugeon w 2012 r.). To beletryzowana biografia tytułowej postaci – słynącego z rozmaitych skandali rosyjskiego prozaika, który stał się też politykiem.

Eduard Limonow na początku lat 70. wyemigrował z ZSRS na Zachód (wcześniej obracał się w moskiewskich środowiskach dysydenckich), wrócił zaś na łono ojczyzny u zmierzchu czasów sowieckich. Zbliżył się wtedy do grup politycznych sprzeciwiających się – z pobudek „patriotycznych", a nie ideologicznych – procesowi rozpadu Związku Sowieckiego.

Carrère poznał Limonowa, gdy ten przebywał na emigracji. Charakteryzując go, skonstatował, że wyglądał on „jednocześnie jak marynarz z pancernika i gwiazda rocka". Rosyjski prozaik z jednej strony jako swojego idola wskazywał lidera i wokalistę brytyjskiego punkowego zespołu Sex Pistols Johnny'ego Rottena, z drugiej jednak – pozostawał człowiekiem, którego mentalność ukształtowała sowiecka mitologia polityczna, na co zapewne wpływ miał fakt, że był synem niskiego rangą enkawudzisty. Limonow szydził z ludzi występujących przeciw reżimowi sowieckiemu. Represjonowanych w ZSRS pisarzy – takich jak Aleksander Sołżenicyn czy Iosif Brodski – stawiał w jednym szeregu z sowieckimi aparatczykami, którym z kolei zarzucał, że są pozbawionymi rewolucyjnego żaru bezideowymi biurokratami. Twierdzenie, że Związek Sowiecki to państwo totalitarne, uważał za przesadę. Społeczeństwo sowieckie postrzegał jako zbiorowość, w której panuje chaos stwarzający doskonałe warunki dla ludzi przebiegłych, brutalnych i bezwzględnych. A takie osoby Limonow podziwiał czy wręcz się z nimi utożsamiał (sam w młodości nie stronił od chuligańskich bójek i drobnych kradzieży).

W pierwszej połowie lat 90. Rosja pogrążona była w głębokim kryzysie politycznym i gospodarczym. I wówczas Limonow stanął na czele Partii Narodowo-Bolszewickiej – formacji mocno opozycyjnej wobec ówczesnego gospodarza Kremla Borysa Jelcyna oraz kolejnych rządów. Utworzył ją razem z myślicielem politycznym Aleksandrem Duginem, który jednak później wystąpił z niej, ponieważ uznał, że jej antysystemowość jest bezproduktywnym awanturnictwem.

RASOWA SYNTEZA GERMAŃSKO-SŁOWIAŃSKA

Sam termin „narodowy bolszewizm" ma swoje źródła w okresie międzywojennym, choć trudno sprecyzować, kto jest jego autorem. Z pewnością osoby tej należy szukać w gronie rosyjskich białych emigrantów należących do ruchu „smienowiechowców" (nazwa pochodzi od tytułu wydanego przez nich w roku 1921 w Pradze almanachu publicystyki „Smiena wiech"). Przede wszystkim nasuwa się tu jedna postać: filozof Nikołaj Ustriałow. Ten polityczny wygnaniec na początku lat 20. zrewidował swój stosunek do bolszewików. Zaczął w nich upatrywać rosyjskich patriotów. Twierdził, że z upływem czasu ZSRS będzie się pozbywać bagażu importowanej z Zachodu ideologii komunistycznej. W efekcie Rosja odrodzi się w Związku Sowieckim jako państwie realizującym jej wiekuiste interesy. Kierując się tym przeświadczeniem, Ustriałow w połowie lat 30. wrócił z wygnania i zamieszkał w Moskwie. To była decyzja brzemienna w skutki, gdyż w roku 1937 został przez sowiecki sąd oskarżony o działalność szpiegowską i kontrrewolucyjną. Zapadł wyrok śmierci i Ustriałowa rozstrzelano.

Inny ważny teoretyk narodowego bolszewizmu to niemiecki aktywista polityczny i publicysta Ernst Niekisch. Był on gorącym antagonistą Republiki Weimarskiej. Należał do tej części swoich rodaków, którzy byli zdania, że Niemcy zostały w rezultacie pierwszej wojny światowej rzucone na kolana, więc powinny z nich wstać i pokazać światu swoją siłę. Tak interpretowali problemy swojego kraju naziści. Jednak niemiecki ruch narodowo-bolszewicki był oponentem ugrupowania Adolfa Hitlera. Niekisch zarzucał przyszłemu wodzowi III Rzeszy oportunizm, a konkretnie to, że gdyby ten doszedł do władzy, toby się chciał ułożyć z wielkim kapitałem niemieckim. W koncepcji narodowego bolszewizmu głównym wrogiem Niemiec jest zaś plutokracja (zarówno rodzima, jak i – może nawet szczególnie – zagraniczna), której ideologiczną podporę stanowi mieszczański liberalizm. Ponadto w oczach Niekischa Hitler się jawił jako przybyły z Austrii katolik, cywilizacyjnie obcy Prusom. Nic zatem dziwnego, że w czasach III Rzeszy teoretyk narodowego bolszewizmu został skazany na dożywocie i trafił do więzienia, z którego wyszedł w roku 1945 częściowo sparaliżowany i prawie niewidomy.

W wizji, którą roztaczał Niekisch, Niemcy, żeby coś w świecie znaczyć, powinny zerwać swoje historyczne więzi z Zachodem, oprzeć się na tożsamości pruskiej i zawrzeć sojusz z ZSRS. A atutem niemiecko-sowieckiego bloku ma być rasowa synteza germańsko-słowiańska. Niekisch stawiał na prymat interesów narodowych nad interesami klasowymi. Projekt, który realizowano w ZSRS, był dla niego czymś rdzennie rosyjskim (innym niż marksizm w wersji zachodniej). Imponował mu rozwój sowieckiego ciężkiego przemysłu.

eprasa.pl 2d5f1223d6

Był zarazem świadomy surowych warunków materialnych, w których funkcjonowali mieszkańcy Kraju Rad. Żywił jednak przekonanie, że była to cena, którą warto było płacić za ekspansję sowieckiego państwa robotniczego w świecie.

Po drugiej wojnie światowej narodowy bolszewizm pozostał w Niemczech niszowym nurtem intelektualnym. Pewne jego wątki zostały podjęte w RFN przez tych nielicznych uczestników kontrkultury lat 60., którzy w pewnym momencie przeszli na pozycje nacjonalistyczne. A dziś echa narodowego bolszewizmu pobrzmiewają w hasłach Sojuszu Sahry Wagenknecht – lewicowego ugrupowania, odwołującego się do antyamerykanizmu, antyglobalizmu oraz narastających wśród rdzennych Niemców nastrojów antyimigranckich.

Sam zaś Niekisch zamieszkał w NRD. Wiązał z nią nadzieje na wdrożenie swoich idei. Ponoć nawet apelował o to, żeby NRD przemianować na Prusy. Kiedy jednak w roku 1953 władza komunistyczna stłumiła powstanie robotników w Berlinie, skonstatował, że z państwa wschodnioniemieckiego ulotnił się duch rewolucji i okazało się ono dyktaturą partyjnych biurokratów. W tej sytuacji przeprowadził się do Berlina Zachodniego. Tam dożył swoich dni w roku 1967.

Tymczasem w postsowieckiej Rosji losy narodowego bolszewizmu były inne niż w Niemczech. Utworzone przez Eduarda Limonowa ugrupowanie okazało się czymś więcej niż formacją polityczną. Prowadziło działalność, w której nie brakowało happeningów. Było w niej oprócz poważnej polityki sporo zgrywu. Wybielanie sowieckiego komunizmu zakrawało na zachowania prowokacyjne.

Jak czytamy w książce Emmanuela Carrère'a, członków Partii Narodowo-Bolszewickiej – nazywanych w skrócie „nacbolami" – rekrutowano spośród miłośników rocka i uczestników bijatyk. Byli to często ludzie wywodzący się z nizin społecznych, którzy boleśnie odczuli skutki krachu ZSRS. Carrère tak streścił przekaz Limonowa adresowany do tych osób: „Jesteś młody. Nie podoba ci się życie w tym gównianym kraju. Nie masz ochoty zostać ani zwykłym biedakiem, ani sku.wielem, który myśli tylko o kasie, ani zwykłym funkcjonariuszem KGB. Czujesz ducha rewolty […]. No więc proszę: już jesteś nacbolem".

Wśród znanych postaci zaangażowanych w działania Partii Narodowo-Bolszewickiej byli – oprócz wzmiankowanego wyżej Jegora Letowa – m.in. kompozytor muzyki eksperymentalnej i awangardowej Siergiej Kuriochin oraz prozaik Zachar Prilepin. Znamienna jest zrelacjonowana przez Carrère'a wypowiedź tego ostatniego: „Nacbole to była kontrkultura Rosji. Jedyna. Cała reszta to ściema, służalcy i tak dalej. Oczywiście byli wśród nas brutale, jacyś nerwowi goście, byli też skini z wilczurami, którzy straszyli porządnych ludzi, wykonując hitlerowskie pozdrowienia. Ale byli także wszyscy ci żyjący w małych miastach w głębokiej Rosji rysownicy komiksów – samoucy, basiści rockowi, szukający wspólników, żeby założyć zespół, goście, którzy majstrują przy kamerach wideo, nieśmiali poeci, którzy piszą po kryjomu wiersze, wzdychają do zbyt ładnych dziewczyn i marzą ponuro, żeby zarżnąć wszystkich w szkole, a potem wysadzić się w powietrze, tak jak to robią w Ameryce".

Letow i Kuriochin zmarli stosunkowo młodo (pierwszy mając niespełna 44 lata w roku 2008, drugi wcześniej – w 1996 r., w wieku 42 lat). To efekt cechującego wielu ludzi z bohemy artystycznej straceńczego trybu życia (obydwaj nie stronili od używek), który może być ilustracją kontrkulturowego charakteru narodowego bolszewizmu w postsowieckiej Rosji.

ZDELEGALIZOWANY EKSTREMIZM

Kiedy w roku 2000 na Kremlu zasiadł Władimir Putin, mogło się wydawać, że w polityce rosyjskiej zainicjowany został zwrot „patriotyczny" – taki, jakiego wyczekiwali ludzie pokroju Limonowa. Tymczasem narodowi bolszewicy nadal kontestowali władzę. Putina oskarżali o to, że w gruncie rzeczy okazał się on kontynuatorem linii Jelcyna, a więc wrogiem ludu rosyjskiego, bo – ich zdaniem – utrzymał państwo rosyjskie na pasku Zachodu i nie porzucił transformacji kapitalistycznej. Nacbole pozostawali na kursie kolizyjnym z systemem. Brali udział w protestach antyputinowskich, za co byli prześladowani przez reżim. Sam Limonow w latach 2001–2003 przebywał w areszcie i więzieniu (usłyszał zarzuty nielegalnego posiadania broni i przygotowywania zamachu stanu). Zwolniony został warunkowo.

Bezkompromisowo opozycyjne stanowisko Partii Narodowo-Bolszewickiej doprowadziło do tego, że zawiązała ona front z… antyputinowskimi siłami liberalnymi. Priorytetem dla niej stała się bowiem walka o swobody obywatelskie. „Czerwonobrunatna" tożsamość ideowa ugrupowania zeszła na dalszy plan. W konsekwencji nacbole zyskali sympatię osób będących autorytetami w rosyjskich środowiskach liberalnych. Można tu wymienić dziennikarkę Annę Politkowską czy aktywistkę polityczną Jelenę Boner.

W roku 2005 Partia Narodowo-Bolszewicka została uznana za organizację ekstremistyczną i zakazano jej działalności, w 2007 zaś ją zdelegalizowano. Formalnie działalność nacboli przeniosła się więc już całkowicie do podziemia, ale faktycznie ich sytuacja okazała się bardziej złożona. Choć nadal oskarżali oni Putina o dyktatorskie sprawowanie władzy oraz kapitalistyczną grabież majątku narodowego, to wkroczenie w roku 2014 rosyjskich „zielonych ludzików" na Krym i do Donbasu przyjęli z entuzjazmem. Popierali coraz bardziej agresywną politykę zagraniczną Kremla, zwłaszcza jego roszczenia wysuwane pod adresem dawnych republik sowieckich.

Szczególnie robił to Zachar Prilepin. W pewnym sensie przejął on schedę po Limonowie (ten zmarł w roku 2020), lecz tylko jako błyskotliwy, wyrazisty mentor nacboli, a nie wódz ich formacji politycznej, która przecież przestała istnieć. Właściwie to się stał opozycjonistą koncesjonowanym przez system. W roku 2021, będąc jednym z przywódców lewicowo-nacjonalistycznej partii Sprawiedliwa Rosja – Za Prawdę (z tym że nacjonalizm w tym przypadku oznacza opcję za rosyjskim wielonarodowościowym imperium, a nie za rosyjskim państwem narodowym), uzyskał mandat deputowanego do Dumy Państwowej. Ostatecznie jednak z niego zrezygnował. Swoją decyzję motywował chęcią szkolenia się w zakresie zarządzania administracją państwową.

Narodowi bolszewicy zaś zdążyli się w Rosji rozproszyć. Ale ich radykalizm przetrwał. Putin może nim straszyć Zachód wysyłając komunikat, z którego wynika, że jeśli w Rosji nastąpi przewrót, to władzę przejmą nie prozachodni liberałowie, lecz ideowi spadkobiercy Limonowa. To ludzie nieobliczalni. Oni przysporzą Zachodowi dużo więcej kłopotów niż Putin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Autorytet?

Czy powinniśmy być całkowicie bierni wobec kompromitujących zaszłości i spuszczać zasłonę miłosierdzia wobec PRL-owskich celebrytów? Przykład jeden z wielu – Jerzy Waldorff. Człowiek utalentowany, tym bardziej był szkodliwy, służąc gorliwie władzy komunistycznej, chcąc istnieć i żyć znacznie lepiej niż reszta społeczeństwa. Czyli ich kosztem. Przez lata występował w komunistycznej telewizji, ocieplając wizerunek represyjnego reżimu. Przedtem jednak, zanim TV zagościła w PRL na dobre, służył Gomułce, Bierutowi i całej reszcie swym talentem literackim. Pisywał m.in. do „Przekroju", który miał status dla „lepszego" odbiorcy niż łykacze „Trybuny Ludu". Ale co tam pisywał?

W numerze z 20 marca 1949 r. ukazał się jego artykuł „Granice konfesjonału". Cały aparat tzw. władzy ludowej toczył wówczas bezwzględną walkę z odruchami samoobronnymi społeczeństwa. Codziennie wykonywane były bezprawne wyroki śmierci, wydawane przez pseudosądy. Grupy pacyfikacyjne UB, KBW, ludowego WP, MO itd. dokonywały masowych mordów ludności cywilnej, oskarżanej lub tylko posądzanej o sprzyjanie „bandom reakcyjnego podziemia", czyli kontynuatorom Polskiego Państwa Podziemnego. Po 1944 r. komuniści zamordowali (w trybie pozasądowym) kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Setki tysięcy „wrogów ludu" trafiły do więzień i obozów, które często nie różniły się warunkami od obozów hitlerowskich. Nie było możliwości, aby społeczeństwo nie zdawało sobie sprawy, co się dzieje, zresztą codzienna prasa szeroko informowała również o represjach.

Co skłaniało zatem młodego wówczas jeszcze inteligenta, szczególnie uwrażliwionego muzycznie, do gorliwej służby partii komunistycznej?

W karierze w PRL nie przeszkodziły mu przedwojenne jawne sympatie dla Benita Mussoliniego czy Léona Degrelle'a, przywódcy belgijskich nazistów. Po 1945 r. nagle zmienił front i sympatie polityczne. Było to o tyle łatwe, że ugrupowania i reżimy totalitarne były brunatne, a także czerwone. Co pisał Waldorff w tym numerze w „Przekroju"? Rozprawiał się z reakcyjnymi księżmi, którzy ośmielili się nie popierać władzy i zachowywali wierność zasadom. Przywołał m.in. postać ks. Kazimierza Fertaka, który ośmielił się jakoby poświęcić 12 ryngrafów żołnierzy NSZ. Co więcej, zarzucił im, że ich działalność nie miała podłoża politycznego i ideowego, ale byli… agenturą Zachodu, finansowaną obficie przez „imperialistycznych mocodawców".

„Za funty i dolary zostały dostarczone karabiny i ryngrafy, które święcił ks. Fertak". Być może Waldorff patrzył przez pryzmat czerwonych dzienników, które otrzymywał za swe plugawe artykuły. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Akademia krakowska

Za panowania Kazimierza Wielkiego państwo polskie szybko się rozwijało i wzrastało zapotrzebowanie na wykształconych urzędników. Kazimierz otaczał się prawnikami, ale byli to wychowankowie obcych szkół. Nauka za granicą była bardzo droga i niedostępna dla wielu Polaków. Z tego powodu król postanowił założyć uniwersytet. Monarcha rozumował pragmatycznie: Po co było wysyłać młodzież na studia do Bolonii czy Padwy, skoro można kształcić na miejscu?

Jednym z najpiękniejszych zabytków Krakowa jest Collegium Maius, w którym uczelnia mieściła się w czasach Władysława Jagiełły. Dziedziniec jest pełen powagi i spokojnego piękna. Budynki zbudowano z czerwonej cegły i tylko okna oraz schody ożywiają surowe kształty. Najstarszym gmachem jest narożna kamienica, a z czasem uczelnia rozrastała się na okoliczne budynki, aż całkowicie wypełniła otoczenie dziedzińca. Nie wiadomo jednak, gdzie zajęcia odbywały się za panowania Kazimierza Wielkiego. Możliwe, że w mieszkaniach profesorów, niewykluczone, że również na zamku wawelskim.

W czasach średniowiecza powstanie uniwersytetu zależało od zgody papieża i w 1363 r. Kazimierz wysłał odpowiednie poselstwo do Stolicy Apostolskiej. Akademia Krakowska powstała rok później (akt fundacyjny wydano 12 maja 1364 r.), jako druga szkoła tego typu w Europie Środkowej. Ustanowiono pięć katedr prawa rzymskiego, trzy prawa kościelnego i jedną nauk wyzwolonych. Kazimierz nie prosił o zgodę na powstanie wydziału teologii, uważając, że kraj potrzebuje prawników, a nie specjalistów od spraw religijnych. Zainteresowani tym kierunkiem studiów mogli kształcić się w czeskiej Pradze.

Król zadbał o prawa profesorów i uczniów. Najwyższą władzę na terenie uniwersytetu sprawował rektor i tylko w szczególnych przypadkach sprawy mogły trafić do sądu królewskiego. Podczas nauki studenci mieszkali w kwaterach na mieście, ale opłaty za wynajęcie lokali nie mogły być dowolnie ustalane przez właścicieli. Kwatery musiały być utrzymywane w dobrym stanie, a studenci mieli pierwszeństwo wynajmu.

Profesorowie byli dobrze opłacani. Król przeznaczył dla nich część dochodów z żup solnych, a nigdy nie był skąpym pracodawcą. Zadbał również o zniżki dla nauczycieli i uczniów. Wykładowcy i studenci zostali zwolnieni z ceł od przywożonych i przysyłanych im rzeczy, a krakowscy kupcy mieli obowiązek sprzedawania im towarów po tych samych cenach, co innym mieszkańcom stolicy. Na koniec król zagwarantował odszkodowanie finansowe w przypadku kradzieży lub napadu. Kazimierz zadbał o doskonałe warunki do nauki dla swoich żaków! ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

Człowiek z „S”

Adam Hlebowicz

Z perspektywy 45 lat, które niedługo miną od pamiętnego Sierpnia ’80, można zapytać, dlaczego bogaty dorobek światowej i polskiej kinematografii o Solidarności tak rzadko jest pokazywany w telewizji publicznej oraz prywatnych telewizjach. To kapitalny materiał do dyskusji

Najważniejszym dziełem z filmowego życia „S” jest „Człowiek z żelaza” Andrzeja Wajdy z 1981 r. FOT. POLFILM/EAST NEWS

Kamera filmowa towarzyszyła tworzeniu się ruchu Solidarność niemal od pierwszych dni strajków. Do stoczni nie wpuszczono telewizji państwowej, oskarżanej o manipulacje i służalczość wobec władzy, zaproszono natomiast filmowców cieszących się opinią niezależnych i dopominających się o prawa obywateli. Przepustką do stoczni było kino moralnego niepokoju z ikoną tego nurtu „Człowiekiem z marmuru”.

Historię filmowego życia „S” w kraju i za granicą postanowili opisać Krzysztof Kornacki i Arkadiusz Bilecki w książce „Solidarność na ekranie. Wizerunki fabularne”. Obaj autorzy związani z Gdańskiem, czyli matecznikiem unikalnego w skali globalnej ruchu o tak masowym udziale, wykonali olbrzymie zadanie, oglądając kilkaset filmów i czytając ich omówienia. Zanalizowali filmy wybitne, dobre, przeciętne i złe. Autorzy uznali, że łącznie 170 polskich i zagranicznych filmów można uznać za takie, z głównym lub zauważalnym wątkiem „S” w fabule. Dzieło gdańskich filmoznawców, choć nie opisuje dziejów „S”, daje nam wnikliwy przegląd, jak idee zrywu lat 80. zostały odczytane przez świat filmowców, co do nich trafiło, a co zostało odrzucone. To istotna analiza, zważywszy na to, jak wielki wpływ na świadomość współczesnych ludzi ma dziesiąta muza. Dodam, że powstała może jedna z najważniejszych książek o Solidarności.

WAJDA

Najważniejszy film z tego dorobku to „Człowiek z żelaza” Andrzeja Wajdy z 1981 r. Po latach warto ten obraz docenić. Film powstał na prośbę jednego ze strajkujących, nie doradcy powstającego związku, profesora czy działacza, nawet nie Wałęsy. Prace nad produkcją trwały zaledwie sześć miesięcy, absolutny rekord w branży filmowej. Ekipa tworząca film czuła jednak, że należy się śpieszyć. Nie bez kozery w zakończeniu filmu pada wypowiedź jednego z twardogłowych komunistów (gra go Franciszek Trzeciak), że „te porozumienia są nic niewarte, ot, zwykły kawałek papieru”.

„Człowieka z żelaza” obejrzało 5 mln widzów. Żadna inna fabuła poświęcona Solidarności nawet nie zbliżyła się do tego wyniku. A warto dodać, że film osiągnął ten rezultat w cztery i pół miesiąca – premierę miał bowiem 26 lipca, a 13 grudnia 1981 r. został zdjęty z ekranów. W dużej mierze do tego wyniku przyczyniły się bastiony „S”, duże zakłady pracy, które żądały pokazów „Człowieka...” w ich miejscowościach.

Po latach sukces filmu trafnie zdiagnozował sam jego twórca. „Byliśmy częścią tych ludzi, byliśmy uczestnikami tych wydarzeń” – powiedział w 2005 r. Andrzej Wajda w Akademii Filmu Polskiego. Reżyser trafnie przewidział, że w Cannes mogą być zainteresowani filmem, który tak ściśle towarzyszy wydarzeniom historycznym. I się nie pomylił, czego efektem była uzyskana tam Złota Palma.

Nieco zapomnianym dziś pomysłem Wajdy była produkcja z 2005 r. „Solidarność, Solidarność...”, gdzie na zaproszenie wybitnego twórcy odpowiedziało 13 nie mniej znanych reżyserów filmowych, tworząc różne w formie i treści etiudy odnoszące się do „S”.

Dopełnieniem cyklu wajdowskiego o „S” jest film z 2013 r. „Wałęsa. Człowiek z nadziei”. Autorzy słusznie krytykują ten film. Reżyser podjął się jego tworzenia w przekonaniu, że trzeba „bronić Lecha”. Sam w wywiadach mówił, że nie wierzy w przeszłość agenturalną dawnego lidera „S”. Co innego jednak nasze osobiste relacje czy osądy, co innego zbadanie tematu od strony archiwaliów i faktów. Film ten, podobnie jak w przypadku innych produkcji Wajdy, skupiał się na mocnym, samotnym liderze, który wygrał wielką sprawę dla Polski, wybitnym mówcy, wzorowym ojcu i mężu. Za Markiem Hłaską autorzy książki nazywają to zjawisko „zmyśleniem prawdziwym”.

Ciekawym zagadnieniem jest fenomen zatrudniania Krystyny Jandy i Jerzego Radziwiłowicza w wielu kolejnych produkcjach filmowych w ewidentnym nawiązaniu do „Człowieka z marmuru” i „Człowieka z żelaza”. Czasem jako

eprasa.pl 2d5f1223d6

kontrpostacie, innym razem jako kontynuatorzy tamtych ról, filmowe symbole buntu lat 70. i rewolucji „S".

KUTZ

Jedynym znanym reżyserem filmowym, który został internowany w stanie wojennym, był Kazimierz Kutz. Został wprawdzie na skutek licznych interwencji zwolniony po siedmiu dniach uwięzienia, jednak to śląski reżyser stał się pewnym symbolem swojego środowiska. W 1994 r. twórca, znany choćby z powstałej w latach 70. trylogii śląskiej, dopisał kolejny rozdział tej opowieści w filmie „Śmierć jak kromka chleba", ukazując na ekranie tragiczne zmagania strajkujących górników z kopalni „Wujek" z ZOMO w grudniu 1981 r. Obraz mógł powstać jedynie na skutek zbiórki publicznych pieniędzy, co dobrze ilustruje stan państwowych finansów po przemianie ustrojowej. Film Kutza jest paradokumentalnym zapisem najbardziej dramatycznego wydarzenia stanu wojennego. Sens ofierze daje mocna wiara w Boga i życie wieczne. Opowieść o tragedii „Wujka" została obojętnie przyjęta zarówno przez szerokie społeczeństwo (zajmowało się organizowaniem swojego życia na nowo), jak i dawnej opozycji (uwikłanej w bieżące rozgrywki polityczne).

Pozornie w kontrze do „Śmierci…" powstał w tym samym roku film „Zawrócony" tego samego reżysera. Pod pretekstem lekkiej, prześmiewczej opowieści Kutz zrealizował film etyczny, ilustrujący, jak wiatr historii może wpłynąć na życie pojedynczego człowieka. Z niewiadomych przyczyn Kazimierz Kutz, jeden z trzech najważniejszych twórców filmów o „S" (to moja opinia), wypadł z indeksu na końcu książki.

KRZYSTEK

Twórca młodszy o pokolenie od Kutza czy Wajdy. W trzech swoich filmach „Ostatni prom", „Zwolnieni z życia" i „80 milionów" na ogół dobrze oddał ducha dawnej „S" i opozycji. Każdy z trzech obrazów jest inny, jednak zakwalifikowanie przez autorów książki tych filmów jako kino gatunkowe, thriller, sensacja nie odbiera im waloru autentyczności.

KRZYSZTOF KORNACKI, ARKADIUSZ BILECKI „SOLIDARNOŚĆ NA EKRANIE. WIZERUNKI FABULARNE" INSTYTUT DZIEDZICTWA SOLIDARNOŚCI 2024

„80 milionów" – najlepiej, w moim przekonaniu, w polskim kinie uchwyciły ducha 16 miesięcy wolności i oporu w pierwszych miesiącach stanu wojennego. Atmosferę kontrrewolucji, buntu, sprzeciwu, mimo ewidentnej przewagi siłowej tamtej strony. Kornacki pisze: „Kosztem prawdy historycznej mocno ubarwiono akcję, dodając pościgi, wypadki, intrygę majora SB, „Konrada Wallenroda" w wojsku i cichociemnego". To fakt. Jak jednak przyciągnąć widza, zwłaszcza młodego do sal kinowych? Na marginesie, wprawdzie „cichociemnego" faktycznie nie było, był jednak Zbigniew Mikoś (1922–1981), żołnierz Kedywu z okresu drugiej wojny światowej, który za swą działalność przesiedział sześć lat w komunistycznym więzieniu. Na początku lat 80. wspierał dolnośląską „S", nie wierząc w pokojowe deklaracje władz i namawiając liderów „S" do ewentualnej walki w podziemiu.

„S" NA EKRANIE ZA GRANICĄ

Czy ktoś pamięta, że popularny Jaś Fasola (Rowan Atkinson) parodiował Wałęsę, występując z charakterystycznymi wąsami w programie komediowym brytyjskiej telewizji? Znanych nazwisk z branży filmu zachodniego w kontekście opisywania na ekranie „S" możemy znaleźć więcej: Brian Cox, Ian Holm, Jonathan Pryce, by wymienić tych, którzy wystąpili w najważniejszych filmach o tej tematyce. Dlaczego jednak nie udało się zrealizować wielkiej amerykańskiej produkcji w 1989 r. z Robertem De Niro w roli Wałęsy? Plany były bardzo poważne, Warner Bros. miał być producentem. Czy pokojowa walka „S" nie okazała się dość filmowa dla Hollywood?

Moda na „S" w światowym kinie była sezonowa, jak wszystko, co nie dotyka bezpośrednio Ameryki czy świata zachodniego. Na ile to jednak nasze zaniedbanie, że przede wszystkim nie potrafiliśmy odpowiednio wykorzystać dobrej koniunktury czy później zadbać o takie produkcje zrozumiałe w całym świecie jak niemieckie „Good bye, Lenin!" (2003) czy „Życie na podsłuchu" (2006). Arkadiusz Bilecki słusznie stwierdza: „Współczesna ekranowa Solidarność w dziełach zagranicznych została umieszczona na marginesie innych spraw. Ale można też dostrzec pozytywy – to, że traktowana jest ilustracyjnie, oznacza, że jej chwalebna historia nie budzi żadnych kontrowersji i jest częścią światowego dziedzictwa".

DLACZEGO NIE DLA „S"?

W filmach odnoszących się do działalności „S" mamy obecne wszystkie gatunki kinowe. Filmy propagandowe władzy – „Godność" i „Czas nadziei", filmy komediowe, jednak zdecydowanie prześmiewcze w stosunku do głównej bohaterki, jak „Rozmowy kontrolowane" czy wreszcie takie produkcje jak parodia „Człowiek z..." słusznie zrównane z publicystyką Urbana i tygodnika „Nie". Czas gwałtownych przemian Polski na początku lat 90. to generalnie negatywnie prezentowana „S" i jej działacze. Lepiej w tych obrazach filmowych wypadają cyniczni esbecy, komuniści niż zagubieni, niepewni swych racji liderzy „S" stojący obecnie u władzy. „S" częściej była atakowana, kwestionowana niż adorowana – piszą autorzy książki, z czym trzeba się zgodzić.

Z perspektywy 45 lat, które niedługo miną od pamiętnego Sierpnia '80, można zapytać, dlaczego ten bogaty dorobek światowej i polskiej kinematografii tak rzadko jest pokazywany w telewizji publicznej oraz prywatnych telewizjach. To kapitalny materiał do dyskusji. Zapewniam, że wielu z omówionych filmów w książce Kornackiego i Bileckiego państwo nie widzieli, a dziś znaczna część tej filmografii nie jest dostępna na jakichkolwiek platformach streamingowych.

W 2008 r. Europejskie Centrum Solidarności i Polski Instytut Sztuki Filmowej ogłosiły konkurs na scenariusz filmu o „S". Napłynęło sporo prac, żadna jednak w opinii jury nie zasłużyła na nagrodę główną. Wiele osób zadaje sobie pytanie, dlaczego temat Solidarności, wielkiego ruchu społecznego lat 80., jest odrzucany lub – w najlepszym razie – nierozumiany przez młodsze pokolenia Polaków. Na ile to kompromis Okrągłego Stołu i dogadanie się z „czerwonymi" trwale obaliły mit „S"? Nowa polityka pamięci, a właściwie społecznej amnezji, jak trafnie pisze Krzysztof Kornacki, może najbardziej przyczyniła się do upadku legendy potężnego ruchu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

eprasa.pl 2d5f1223d6

„Demokracja walcząca” w Niemczech

Jan Bogatko z Berlina

Pomysł delegalizacji AfD to test dla niemieckiego systemu politycznego. Ci, którzy krytykują to rozwiązanie, uważają, że wojny domowej raczej z tego nie będzie. Ale szerokie rzesze społeczeństwa odwrócą się od demokracji. A Friedrich Merz już ma pod górkę, o czym świadczy przebieg wyborów na kanclerza

FOT. MICHAEL PROBST/AP/EAST NEWS

Federalny Urząd Ochrony Konstytucji uznał Alternatywę dla Niemiec (AfD) za partię „prawicowo-ekstremistyczną”. To zapowiedź procesu jej delegalizacji. I choć droga do tego rozstrzygnięcia jest daleka, to na lewicy już zapanowała radość. Krytycy pomysłu delegalizacji AfD wskazują na negatywne następstwa i reakcje społeczeństwa. Zaskakująca, bezprecedensowa w historii RFN przegrana Friedricha Merza w pierwszej turze wyborów na kanclerza i wygranie ich dopiero w drugiej turze są tego zapowiedzią.

Równie zaskakujące i bezprecedensowe jest oświadczenie Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji o wycofaniu uznania Alternatywy dla Niemiec za siłę „potwierdzoną jako prawicowo-ekstremistyczna”. Wycofanie to nie przyznanie się do wpadki politycznego organu federalnego – twierdzi rząd. To jedynie zobowiązanie się do zaniechania wypowiadania się na ten temat do chwili wydania wyroku sądowego w tej kwestii. Dla Alice Weidel i Tino Chrupalli (liderów AfD) oznacza to jednak pierwszy sukces w sporze partii z Urzędem Ochrony Konstytucji o definicję największej partii opozycyjnej w RFN.

Niemiecka lewica nadała sobie tytuł obrońcy demokracji. Zgodnie z hasłem: „Kto nie z nami, ten faszysta”. I tak należy traktować decyzję Urzędu Ochrony Konstytucji. Powód jest oczywisty – AfD zagraża wskutek swej popularności partiom głównego nurtu. W tym skrajnej lewicy na czele z SPD, która wprawdzie z kretesem przegrała wybory parlamentarne, lecz utrzymała się przy władzy w koalicji z blokiem CDU/CSU Friedricha Merza – niegdyś chrześcijańsko-demokratycznym, a od epoki Angeli Merkel liberalno-lewicowym.

Ostatnio pojawiły się sondaże, jak instytutu badania opinii publicznej FORSA z 29 kwietnia 2025 r., dające AfD pozycję lidera na scenie politycznej Niemiec z dwuprocentową przewagą nad CDU/CSU. A więc lewica postanowiła nie tracić czasu i Urząd Obrony Konstytucji ogłosił wszem wobec, że AfD to „prawicowi ekstremiści”. Nikogo to w Niemczech nie zaskoczyło.

Ekspertyza tajnej policji politycznej liczy 1,1 tys. stron. Sęk w tym, że jest ona równie tajna jak jej autor. Zatem nikt nie wie, jakie istnieją dowody na ekstremizm tej partii. Na lewicy panuje radosne podniecenie. To zwycięstwo „walczącej demokracji” – uważają socjaliści. Czy raczej „demokracji skutecznej”, czyli skutecznie zwalczającej opozycję. Ale to zwycięstwo może okazać się klęską lewicy.

Na razie lewica w Berlinie świętuje sukces. Szef frakcji SPD w stołecznym parlamencie miasta-landu Berlina, palestyński Niemiec z Zachodniego Jordanu, Raed Saleh żąda delegalizacji AfD. O sobie socjalista mówi: „Jestem niemieckim socjaldemokratą pochodzenia arabskiego wyznania mahometańskiego, berlińczykiem z krwi i kości”. W rozmowie z agencją prasową DPA Saleh stwierdził, że nie da się teraz uniknąć postępowania delegalizacyjnego: „Pozytywne wyniki sondaży dla AfD nie mogą nas powstrzymać od robienia tego, co słuszne”. Podobną opinię wyraża inna berlinianka, „ministra” spraw socjalnych w czarno-czerwonym ratuszu, urodzona w Berlinie-Kreuzbergu Cansel Kiziltepe, wiceprzewodnicząca SPD w stolicy. Uważa ona, że niezwłocznie należy zbadać możliwość delegalizacji AfD: „Nie od dzisiaj AfD zajmuje pozycję rasistowską i antydemokratyczną, zagrażając tym samym demokracji w naszym kraju”. Ario Ebrahimpour Mirzaie z Zielonych, berlińczyk z Kolonii pochodzenia irańskiego, także domaga się od władz miasta-landu (CDU/SPD) poparcia procesu delegalizacji AfD.

SPADEK ZAUFANIA DO SYSTEMU

Jeżeli ktoś dotąd uważał, że SPD i Zieloni przegrali w Niemczech, to najpóźniej dziś dostrzegł, że się mylił. Jeżeli ktoś uważał,

eprasa.pl 2d5f1223d6

że CDU to konserwatywno-liberalna partia na prawicy, to ten dzisiaj musi dojrzeć, że się mylił. Rządzący burmistrz Berlina, Kai Wegner (CDU), urodzony w Berlinie Zachodnim polityk bez islamskich korzeni, przyrzeka towarzyszom dokładną analizę dokumentu (nieopublikowanego) i zbadanie, jakie na jego podstawie można wyciągnąć wnioski polityczne i prawne. Zdaniem Wegnera AfD stanowi zagrożenie dla demokracji i współżycia społecznego. A kto jest innego zdania? Oczywiście AfD. Kristin Brinker, przewodnicząca Alternatywy dla Niemiec w mieście-landzie, utrzymuje, że Urząd Ochrony Konstytucji po prostu ingeruje w demokratyczny proces tworzenia opinii publicznej w celu eliminacji wielkiej partii opozycyjnej. Zarzut poważny. Czy przejdzie on bez echa? W końcu w tegorocznych wyborach do Bundestagu ponad 10 mln Niemców głosowało na AfD.

Od dawna oczekiwana informacja ze strony Urzędu Ochrony Konstytucji na temat Alternatywy dla Niemiec nikogo w Niemczech nie zaskoczyła. Zwłaszcza z uwagi na brak najnowszych statystyk sondażowych z landów wschodnich. Dla jednych to przypadek, dla drugich przyjęta polityka przemilczania sukcesów największej w zasadzie partii politycznej w Niemczech. Komunikat Urzędu Ochrony Konstytucji wywoła wiele posunięć prowadzących do wzmocnienia polaryzacji nastrojów politycznych w kraju. Wyczuwa się to w rozmowach codziennych między Odrą a Renem. Na pewno nadal spadnie i tak już niewysokie zaufanie do demokracji. Z badań opinii publicznej wynika, że zaledwie 28 proc. mieszkańców Niemiec wschodnich i 56 proc. zachodnich jest zadowolonych z demokracji w praktyce. W porównaniu europejskim Centrum Badań, Metod i Analiz (ZUMA) w Mannheimie mówi zgoła o dramatycznym rozwoju. Przez wiele lat Niemcy byli bardziej zadowoleni ze swej demokracji od średniej w Unii Europejskiej. Tymczasem zaufanie Niemców do systemu radykalnie spadło: na zachodzie o 15 punktów procentowych, na wschodzie o 16. Nie jest to dobry prognostyk.

Jak teraz Niemcy zareagują na decyzje Urzędu Ochrony Konstytucji i dyskusję na lewicy o potrzebie delegalizacji Alternatywy dla Niemiec? Pierwszym testem będą wybory do landtagu w Saksonii-Anhalt (wiosna–lato przyszłego roku). Faworytem będzie zdaniem ekspertów właśnie AfD. A w tym landzie Urząd Ochrony Konstytucji już uznał tę partię za prawicowych ekstremistów. Wbrew nadziejom policji politycznej AfD w wyborach do Bundestagu uzyskała w tym landzie rekordowy wynik 37,1 proc. (o bez mała 17 proc. więcej niż w poprzednich wyborach). Lewica obawia się teraz, że tendencja ta przełoży się na inne landy. Jeśli w wyborach do Landtagu w Saksonii-Anhalt Niemcy opowiedzą się tak samo (albo zgoła dadzą więcej głosów AfD), to stanowić to będzie początek kryzysu państwa jako wotum nieufności dla systemu. Charakterystyczne, że to nie inne partie polityczne występują tutaj przeciwko Alternatywie dla Niemiec, lecz organ państwa. Z demokracją bezprzymiotnikową ma to niewiele wspólnego. W konsekwencji będziemy w Niemczech niebawem świadkami następującego rozwoju wydarzeń: na nowo wybranego kanclerza Niemiec, Friedricha Merza, który długo czekał na swą szansę, wzrośnie ze strony koalicjanta CDU/CSU, czyli SPD, presja w kierunku złożenia wniosku o delegalizację największej partii politycznej w Niemczech.

Na razie Merz chce się wykręcić od „operacji AfD". Lecz polityk CDU/CSU dał się zaszantażować SPD i nie wiadomo, jak długo będzie upierał się przy swym stanowisku zwalczania AfD metodami walki politycznej. AfD to nie jakaś tam kanapowa narodowosocjalistyczna formacja Narodowo-Demokratyczna Partia Niemiec (NPD), której nie udało się – wbrew podejmowanym wysiłkom – w Niemczech zdelegalizować. Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe przyznał wprawdzie, że NPD to partia antykonstytucyjna, ale brak jej potencjału do obalenia konstytucyjnego porządku. Proces delegalizacji AfD będzie wyglądał – jeśli do niego dojdzie – zgoła inaczej. A wiele na to wskazuje, że dojdzie do tego procesu na żądanie mniejszego koalicjanta CDU/CSU, mianowicie skrajnie dziś lewicowej partii SPD.

Presja na Friedricha Merza już trwa. Dawno już Saskia Esken, współprzewodnicząca SPD, optowała za delegalizacją AfD, której nie mogła pokonać metodami demokracji bezprzymiotnikowej. Lars Klingbeil, były współpracownik Gerharda Schrödera i nowy wicekanclerz Niemiec, po majowym głosowaniu w Bundestagu pozwolił sobie określić AfD – a nawet jej wyborców (ponad 10 mln Niemców) – mianem nazistów. Nie trzeba dużej wyobraźni, by założyć, że będzie żądał delegalizacji przeciwnika politycznego, którego nie jest w stanie pokonać w demokratycznych wyborach. Zamiast milionów Niemców przy urnach garstka mianowanych po połowie przez Bundestag i Bundesrat sędziów Federalnego Trybunału Konstytucyjnego zadecyduje o kształcie niemieckiej demokracji. Stanowisko organu państwa, którym jest Urząd Ochrony Konstytucji, w kwestii Alternatywy dla Niemiec to zamach na demokrację w Niemczech.

SZANTAŻ SKRAJNEJ LEWICY

Socjaliści i Zieloni – bogata, niemiecka lewica, uważająca w zasadzie tylko siebie samych zgodnie z definicją Stalina za prawdziwych demokratów – nie mają wyjścia. Są bez szans w wyborach do landtagów, zwłaszcza na wschodzie Niemiec. Muszą dla ratowania własnej skóry naciskać na CDU/CSU, by ta wystąpiła do trybunału w Karlsruhe z wnioskiem o delegalizację Alternatywy dla Niemiec, obecnie największej partii politycznej w Niemczech. Od tak niedawno jeszcze oczernianej przez SPD chadecji, niegdyś partii chrześcijańskiej demokracji, zależy sukces wniosku przeciwko AfD. Dokładniej od działania kanclerza Friedricha Merza, który wmanewrował się w zastawioną przez SPD pułapkę na myszy. Dostrzegł w niej tylko słoninkę, nie widząc zabójczej sprężynki. Czy Merz da się zaszantażować przez skrajną lewicę?

Jak podaje lewicowy nadawca telewizyjno-radiowy WDR (Westdeutscher Rundfunk) w Kolonii, na razie niewielka większość Niemców odrzuca żądanie delegalizacji Alternatywy dla Niemiec. Ale – uważa WDR – poparcie dla inicjatywy wzrasta, jak wynika z badań ARD-DeutschlandTrend z października 2024 r. Nie są to dane pierwszej świeżości. Niemcy są podzielone, jak nigdy dotąd. Instytut badania opinii publicznej INSA podaje, że o ile 35 proc. respondentów uważa, iż delegalizacja AfD pomoże demokracji w Niemczech, o tyle zdaniem 39 proc. przebadanych Niemców ona demokracji zaszkodzi. 10 proc. Niemców nie wie, czy pomoże czy zaszkodzi. Czy w tej grupie znajduje się kanclerz Merz?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Z USA do Salwadoru

Kristi Noem podczas wizyty w salwadorskim megawięzieniu CECOT, 26 marca 2025 r.
FOT. ALEX BRANDON/AP/EAST NEWS

Piotr Włoczyk

Biały Dom w walce z nielegalną imigracją sięgnął po wyjątkowo dotkliwe narzędzie. Partnerem dla Donalda Trumpa jest tu prezydent Salwadoru, który urządził piekło tamtejszym gangom

Przede wszystkim nie przyjeżdżajcie do naszego kraju nielegalnie. Zostaniecie wydaleni i będziecie pociągnięci do odpowiedzialności" – mówiła ze śmiertelnie poważną miną Kristi Noem, sekretarz bezpieczeństwa krajowego Stanów Zjednoczonych. Przekaz polityk Partii Republikańskiej wzmacniało grożenie palcem, ale ważniejsze od słów i gestów było tło. Noem przemawiała do kamer w CECOT (hiszp. Centro de Confinamiento del Terrorismo), salwadorskim megawięzieniu, do którego wybrała się pod koniec marca. Za jej plecami – za kratami – stała grupa łysych, wytatuowanych mężczyzn. I choć wyglądali na wyjątkowo niebezpiecznych bandytów, to jednak widać było, że stoją niemal na baczność i nikt z nich nie śmie nawet pisnąć.

CECOT działa dopiero od dwóch lat, ale już stało się postrachem gangów. W tym największym w Ameryce Łacińskiej więzieniu przestępcy żyją w warunkach, które każą im szybko przemyśleć dotychczasową drogę życiową. Osiem wielkich hal jest w stanie – jak twierdzą władze Salwadoru – pomieścić nawet 40 tys. więźniów. Patrząc na masowe cele, od razu przychodzi do głowy porównanie do chowu klatkowego – metalowe prycze mają cztery piętra i ciągną się długimi rzędami. Więźniowie cały czas dostają do jedzenia tę samą papkę bez smaku, nikt nie słyszał tam o materacach, nie ma prawa do widzeń i oczywiście wszelkie rozrywki typu siłownia są tu niedostępne.

W kwestii warunków panujących w CECOT interweniowały różne międzynarodowe organizacje zajmujące się ochroną praw człowieka, jednak prezydent Salwadoru, czując w tej kwestii poparcie narodu, odpowiadał im jedno: możecie zabrać naszych gangsterów do swoich krajów.

Sekretarz bezpieczeństwa krajowego pojawiła się w CECOT tuż po tym, jak przewieziono do tego więzienia pierwszą większą partię ujętych w USA nielegalnych imigrantów. Amerykańskie władze oskarżają ponad 200 przerzuconych tam Wenezuelczyków o przynależność do gangu Tren de Aragua, ale śledztwo dziennikarzy CBS News wykazało, że zdecydowana większość ma czyste kartoteki kryminalne (rzecz jasna, poza bezprawnym przekroczeniem granicy USA). Administracja Trumpa zamierza wysyłać do CECOT kolejnych nielegalnych imigrantów oskarżanych o przynależność do niebezpiecznych gangów, ale na razie proces ten został zawieszony z powodu orzeczenia Sądu Najwyższego. Nie oznacza to jednak, że Trump zrezygnuje z „opcji salwadorskiej". Prezydent USA pokazał już, że niepomyślne dla siebie werdykty Temidy potrafi zwyczajnie ignorować, jak choćby sądowy nakaz zwolnienia z CECOT i przywiezienia z powrotem do USA Kilmara Ábrego Garcíí, jednego z wysłanych do Salwadoru Wenezuelczyków.

Nagłośniona w mediach wizyta Kristi Noem miała być jasnym ostrzeżeniem: nawet nie próbujcie do nas wjechać, bo możecie wylądować w miejscu, które jest piekłem na ziemi.

W czasie poprzedniej kadencji coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Biały Dom Biedna nałożył wręcz sankcje na członków salwadorskiego rządu, oskarża-

eprasa.pl 2d5f1223d6

jąc ich o nadużycia w ich wojnie z gangami. Dojście do władzy Donalda Trumpa diametralnie zmieniło nastawienie USA do Salwadoru. Można wręcz odnieść wrażenie, że obecny amerykański prezydent jest wielkim fanem twardej polityki swojego salwadorskiego odpowiednika.

AMERYKANIN I SALWADORCZYK

Obecnie, gdy Donald Trump stara się zresetować porządek na świecie, niewielu przywódców może liczyć z jego strony na poklepywanie po plecach i deklaracje przyjaźni. Taka postawa ma oczywiście sens – Trump chce być niejednoznaczny, by jego partnerzy nie mieli pewności, czego mogą się po nim spodziewać.

Zupełnie inaczej było jednak podczas wizyty Nayiba Bukelego. Prezydent Salwadoru w kwietniu odwiedził Waszyngton i od samego początku mógł liczyć na serdeczne przyjęcie ze strony Trumpa.

„Chciałbym powiedzieć »hello« wszystkim Salwadorczykom i przekazać im przy okazji, że mają cholernie dobrego prezydenta" – podkreślił Trump, witając Bukelego w Białym Domu.

Amerykanin i Salwadorczyk doskonale się rozumieją. I jeden, i drugi używają metod, które do wściekłości doprowadzają lewicowych działaczy na rzecz praw człowieka. Aby wyrzucić z USA do CECOT nielegalnych imigrantów, Trump sięgnął po prawo z 1798 r., które pozwala potraktować w ten sposób obywateli krajów, z którymi Ameryka prowadzi... wojnę. Ostatni raz amerykańskie władze skorzystały z tych przepisów w trakcie drugiej wojny światowej wobec Japończyków, Niemców i Włochów.

W trakcie wizyty Bukelego Trump poszedł o krok dalej i stwierdził, że Salwador mógłby też „gościć" w swoich więzieniach amerykańskich (!!!) obywateli odbywających w USA wyroki za brutalne przestępstwa. Było to zresztą nawiązanie do pomysłu, który Bukele sam wysunął przed wizytą.

„My sami też mamy niezłe ziółka. I ja jestem za tym [przewożeniem do Salwadoru skazanych Amerykanów], bo możemy z prezydentem [Salwadoru] osiągnąć sukcesy za mniejsze pieniądze i mieć większe bezpieczeństwo. A mamy przecież w więzieniach ogromną populację" – powiedział Trump podczas spotkania z Bukelem. I poprosił też prezydenta Salwadoru, by zbudował „jeszcze pięć takich miejsc". Amerykańskie prawo wydaje się w tym punkcie jasne i wyklucza taką możliwość, ale Trump niespecjalnie się tym zraził i powtórzył kilka dni później, że to przesłanie amerykańskich więźniów do Salwadoru to dobry pomysł.

Obecna umowa między Waszyngtonem i San Salvadorem opiewa na kwotę 6 mln dol. za roczne więzienie dotychczas przewiezionych do CECOT nielegalnych imigrantów, ale niewykluczone, że zostanie ona rozszerzona.

KRWAWY MARZEC

Czterdziestoczteroletni Bukele może być dla Trumpa wzorem w kwestii bezpieczeństwa, ponieważ suche statystyki pokazują, że salwadorski prezydent odniósł na tym polu nieprawdopodobny sukces.

Jeszcze w 2015 r. w tym wciśniętym między Gwatemalę i Honduras sześciomilionowym kraju zanotowano 6656 zabójstw, co w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców sprawiało, że było to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na świecie (w tym samym roku w sześciokrotnie większej Polsce zanotowano 502 zabójstwa). Ale już w 2024 r. Salwador raportował zaledwie 114 zabójstw (prawie 60-krotny spadek w ciągu dekady).

Co się stało w tym czasie? Najpierw w 2019 r. Bukele, rzutki przedsiębiorca, obiecując m.in. rozprawę z korupcją i przestępczością, już w pierwszej turze wygrał wybory prezydenckie. Kierowane przez niego państwo coraz brutalniej zwalczało gangi, ale przełom nastąpił w marcu 2022 r., gdy jednego tylko dnia zginęły w Salwadorze 62 osoby. Gangsterzy strzelali do kompletnie przypadkowych osób, by pokazać władzy, że przyciskanie ich do ściany może przynieść bardzo niedobre rezultaty.

W odpowiedzi władze wprowadziły stan nadzwyczajny, który trwa do dziś. Zawieszono wiele podstawowych praw obywatelskich, co pozwoliło masowo aresztować ludzi uznanych za powiązanych z gangami, jak choćby słynny MS-13 czy Barrio 18. Policja sięgnęła po brutalne metody, które kojarzyć się mogą ze strategią zastosowaną przez Rodriga Duterte, byłego prezydenta Filipin (ściganego w związku z tym przez Międzynarodowy Trybunał Karny). W styczniu 2023 r. otwarte zostało błyskawicznie wybudowane więzienie CECOT, które salwadorski minister bezpieczeństwa Gustavo Villatoro nazwał „największym pomnikiem dla sprawiedliwości, jaki kiedykolwiek zbudowaliśmy". „Obiecaliśmy salwadorskiemu narodowi, że członkowie tych grup terrorystycznych nigdy nie zostaną wypuszczeni z powrotem na ulice miast" – powiedział rok temu Villatoro. Skala czyszczenia kraju z gangów jest olbrzymia. Od 2022 r. salwadorska policja aresztowała ponad 80 tys. ludzi (w polskich warunkach oznaczałoby to uwięzienie ok. pół miliona osób).

Krytycy prezydenta Salwadoru wytykali mu, że walcząc z bandytyzmem, nadużywa swoich uprawnień, ograniczając też prawa obywateli, którzy z gangami nie mają nic wspólnego. Bukele nic sobie jednak nie robi z tych oskarżeń, nazywając siebie samego „najfajniejszym dyktatorem świata".

„Prezydent robi coś, czego nikt inny nie był w stanie zrobić. Mnóstwo niewinnych ludzi dostaje się też w tę sieć – powiedział w rozmowie z Associated Press Jorge Guzmán, pastor mieszkający w stolicy kraju. – Ale jednak godzimy się na to, bo to się po prostu musiało stać".

AP rozmawiała też z 44-letnią Maritzą Pacheco, która w końcu jest w stanie normalnie prowadzić osiedlowy sklepik – nikt już nie wymusza na niej haraczu, a jej klienci mogą o każdej porze swobodnie wybrać się na zakupy, nie bojąc się już napadu. „Nigdy w życiu nie głosowałam. Ale teraz zagłosowałabym na niego" – powiedziała Pacheco o Bukelem.

Bezwzględna terapia prezydenta Salwadoru okazała się na tyle skuteczna, że w kolejnych wyborach, w lutym 2024 r., dosłownie rozgromił on konkurencję, zdobywając w pierwszej turze niemal 85 proc. głosów (Organizacja Freedom House określa wybory organizowane w tym kraju jako „w przeważającej mierze wiarygodne i wolne"). Co ciekawe, choć salwadorska konstytucja nie pozwala prezydentowi sprawować dwóch kadencji pod rząd, to jednak w 2021 r. tamtejszy Sąd Najwyższy, obsadzony przez stronników Bukelego, umożliwił mu start w kolejnych wyborach bez żadnego okresu „karencji". Takie załatwienie sprawy również mogło się spodobać Trumpowi, który jeszcze niedawno sugerował, że myśli o trzeciej kadencji, co byłoby niezgodne z konstytucją USA.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

Teatr na wojnie z wojną

Maciej Pieczyński

Walka o pokój toczy się również z piórem w ręku. Niezależni dramatopisarze rosyjscy występują przeciwko wojnie, choć niekoniecznie przeciwko Rosji. W swoich dokumentalnych tekstach przedstawiają obraz konfliktu sprzeczny z propagandowymi sztampami obu walczących stron

Nikolay Mulakov w sztuce „Wania żyje" Natalii Lizorkiny FOT. VLADA NEBO

W latach 90. na deskach rosyjskich teatrów królowała klasyka. Reżyserzy niechętnie sięgali po współczesne sztuki młodych autorów. Ci ostatni zaczęli więc docierać do odbiorców poprzez festiwale dramaturgiczne, na których teksty były odczytywane z kartki, a nie inscenizowane. Najważniejszym tego typu cyklicznym wydarzeniem była Lubimowka. Z czasem przerodziła się w coś więcej niż festiwal, stając się nieformalnym ruchem współczesnych twórców dramatu, którzy na początku XXI w. zaczęli zakładać własne teatry i podbijać rosyjską, a później także europejską czy światową publiczność. Wśród znanych poza Rosją nazwisk można wymienić choćby mieszkającego dziś w Polsce Iwana Wyrypajewa. Początkowo „nowy dramat" nie interesował się polityką. W ramach nurtu coraz większą pozycję zdobywała jednak technika verbatim. Polega ona na pisaniu sztuk dokumentalnych opartych na rozmowach z prawdziwymi ludźmi pochodzącymi z konkretnych grup społecznych, świadkami ważnych dla kraju wydarzeń. „Nowy dramat" stawał się coraz bardziej zaangażowany i publicystyczny.

We wrześniu 2022 r. Lubimowka ogłosiła bezterminowy konkurs pod hasłem „Dramaturgia przeciwko wojnie". Jak dotąd uczestnicy przysłali organizatorom ponad 230 sztuk, z których 72 zostały wyróżnione przez jurorów i opublikowane w Internecie. Jest to dramaturgia rosyjskojęzyczna, ale wśród autorów oprócz Rosjan są Białorusini, Kazachowie, Azerowie, a nawet Ukraińcy. Organizatorzy oświadczyli, że nie interesuje ich polityka, natomiast postawa antywojenna nie wynika z przekonań politycznych, tylko z przywiązania do wartości humanistycznych, takich jak wolność, wzajemny szacunek, godność człowieka, zdrowie, życie, prawda i sprawiedliwość. Z ich pominięciem „nie można zajmować się sztuką". Festiwal Lubimowka „występuje przeciwko wojnie, propagandzie agresji i państwowej cenzurze" oraz wspiera autorów, którzy chcą „zaświadczać o tragedii wojny" i szukać sposobów sprzeciwu wobec „retoryki nienawiści i usprawiedliwiania ambicji imperialnych".

Co oczywiste, w obecnych warunkach tego typu twórczość nie ma racji bytu w samej Rosji. Festiwal udał się na emigrację. Jego kolejne edycje odbywają się poza Rosją pod hasłem „Echo Lubimowki". Jedno z takich „Ech..." wybrzmiało jesienią zeszłego roku w Warszawie.

RÓŻNA WYMOWA

Wymowa dramatów antywojennych jest zróżnicowana – od radykalnie antyrosyjskich do takich, w których między walczącymi stronami do pewnego stopnia stawiany jest znak równości. Wśród tych pierwszych wyróżnia się twórczość Asi Wołoszyny. W ramach protestu przeciwko inwazji na Ukrainę wyjechała z Rosji (jak sama zapewnia – na zawsze) i zmieniła nazwisko na Esther Bol. Główną bohaterką jej sztuki „Crime" jest młoda, wykształcona Rosjanka z wielkiego ośrodka, inteligentka o poglądach liberalnych, która wstydzi się za swój kraj. Trzyma kciuki za zwycięstwo Ukrainy. Przeprasza za inwazję na swoich ukraińskich przyjaciół, którzy z kolei, pełni emocji, życzą jej śmierci, bo nie są gotowi na bratanie się z „dobrymi Rosjanami". Bohaterka jednak się nie zraża. Samokrytycznie zauważa, że jej środowisko nie zauważyło nadciągającej katastrofy. Po aneksji Krymu młodzi rosyjscy inteligenci, zamiast wystąpić przeciwko imperialnym zapędom Putina, woleli protestować

eprasa.pl 2d5f1223d6

w obronie Nawalnego albo ekscytować się najnowszymi premierami teatralnymi. Autorka zadedykowała sztukę „zachysnykam i zachysnycjam" (ukr. obrońcom i obrończyniom) i zażyczyła sobie, aby wszelkie tantiemy od ewentualnych inscenizacji były przekazywane na pomoc Ukrainie.

Nie tylko Esther Bol krytykuje własne środowisko. Sztuka „Osiem przypadkowych liter" („Wosiem słuczajnych bukw", autora o pseudonimie Kowalczu_N) to historia młodej rosyjskiej dramatopisarki, która trafiła do aresztu za napisanie hasła antywojennego szminką na policyjnym radiowozie. Podczas przesłuchania kaja się i zapewnia, że nie chodziło jej o „specoperację". A potem przeżywa wyrzuty sumienia, bo Ukraińcy tygodniami chowają się po piwnicach przed bombardowaniami, a ona nie wytrzymała nawet jednej nocy za kratami.

W sztuce „Road movie" Alony Kirsanowej młoda szefowa agencji reklamowej, która całą wiedzę o świecie czerpie z opozycyjnych mediów, ucieka do Gruzji. Odwozi ją teść, Igor Aleksandrowicz. Putinista, ale lojalny wobec rodziny. Napotkanemu w drodze koledze synowej odradza pójście na front, „bo tam to i zabić mogą". To parodia na takich jak Igor Aleksandrowicz typowych zwolenników „specoperacji", którzy popierają wojnę dopóty, dopóki widzą ją w telewizji, ale trochę zmieniają zdanie, gdy na front ma pójść ktoś spośród ich rodziny czy znajomych.

Bodaj najlepiej napisaną i najciekawszą sztuką antywojenną opublikowaną przez Lubimowkę jest „Wania żyje" („Wania żyw") Natalii Lizorkiny. To monolog Ali – matki, która czeka na powrót z frontu swojego syna. Dowiaduje się, że Wania „jest całkowicie wolny", a potem, że „żyje". Ala nie może w to uwierzyć. Przez kolejne trzy dni leży na podłodze. A potem „Ala siedzi na ławeczce naprzeciwko wyrytej jamy. Wokół stoją jacyś ludzie. Jacyś ludzie z tego życia, którym żyła Ala. Ala patrzy, jak do jamy zostaje złożona drewniana trumna. Ala zaczyna się śmiać. Ala śmieje się, śmieje się. Śmiejącą się Alę odciągają od trumny. Ala wraca i rzuca się na trumnę". „To powinno trwać dalej. Ten pokój, ta radość" – mówi Ala chwilę po pogrzebie swojego syna. Sztuka pokazuje totalną sprzeczność między słowami a czynami, między propagandą a rzeczywistością. W warunkach wojennej cenzury Rosjanie mentalnie wracają do czasów sowieckiego dwumyślenia, kiedy byli nauczeni głośno mówić to, co się władzy podoba, a prawdę – w myślach albo podczas poufnych rozmów w kuchni.

Czytelnik sztuki (albo widz spektaklu) może jednak współczuć biednej kobiecie, która straciła syna na wojnie. „Wania żyje" to jedna z tych sztuk, które są jednoznacznie antywojenne, ale już niekoniecznie antyrosyjskie. Radykalnie proukraińska postawa prezentowana przez Esther Bol nie jest wśród autorów omawianych sztuk dominująca. Zazwyczaj twórcy prezentują obraz wojny niepasujący ani do moskiewskiej, ani do kijowskiej propagandy. Ze świecą szukać tutaj opowieści zarówno o chciwych Rosjankach, dla których odszkodowanie za poległego męża warte jest więcej niż sam mąż, jak i o rosyjskich patriotkach. Za to bez trudu można znaleźć historie kobiet, które tęsknią za swoimi walczącymi na froncie mężczyznami, po ich powrocie zaś są przez nich bite i zdradzane. Weterani w ten patologiczny sposób odreagowują stres pourazowy. Jedna z bohaterek przyznaje, że choć żadna matka nie chciałaby, aby jej syn trafił na front, to jednak jak już tam trafi, łatwiej jest wierzyć, że walczy w słusznej sprawie.

SZTUKA ZAKAZANA

Autorzy niektórych tekstów idą w swojej antywojennej apolityczności jeszcze dalej i nie tylko współczują rodzinom żołnierzy walczących z Ukrainą, lecz także ocierają się o geopolityczny symetryzm. Sztuka „Messenger" Iry Wołkowej to montaż realnych internetowych rozmów prowadzonych między Rosjanami a Ukraińcami w pierwszych dniach wojny. Szura z Moskwy i Olga z Odessy wspólnie pomstują na Putina i Zełenskiego, po równo oskarżając ich o rozpętanie konfliktu. Krytykują też Europę za dozbrajanie Ukrainy. Z kolei sztuka „W cieniu Marsa" („W tieni Marsa") Kiriłła Fiodorowa opisuje (na podstawie reportaży prasowych) losy ukraińskich uchodźców, którzy uciekli do Rosji, a teraz boją się wrócić na Donbas, bo w przypadku wyzwolenia przez Ukrainę mogą być sądzeni za zdradę. Niektórzy z bohaterów mówią wprost, że marzą o tym, by dwa walczące państwa znów się zjednoczyły.

Z kolei kijowianka Irina Sieriebriakowa w dokumentalnej sztuce „Mężczyźni w świetle dnia" oddaje głos swoim rodakom uchylającym się od służby wojskowej. Jeden z nich to homoseksualista Matwiej, który żałuje, że kiedyś podobali mu się żołnierze. Teraz deklaruje, że przespałby się z każdym, gdyby dzięki temu uciekł z kraju. W tekście opisana jest powszechna na Ukrainie praktyka – skoro wystarczy być mężem niepełnosprawnej, żeby wyjechać z kraju, to trzeba jeszcze tylko zapłacić lekarzowi za fałszywe zaświadczenie dla żony i można uciekać przed wojną. Matwiej ma dość wszechobecnej retoryki patriotycznej. Zewsząd słyszy, że „powinien" walczyć w obronie ojczyzny. Na te apele odpowiada swoim osobistym „manifestem" o treści: „Pier.olcie się". Początkowo dokładnie odwrotną postawę prezentował Leonid. Poszedł na front na ochotnika. Pół roku później już gorzko żałował i kazał córce ukryć męża przed mobilizacją, która generalnie w sztuce jawi się jako prześladowanie własnego narodu przez opresyjne państwo. Ojciec Saszy przyjechał z frontu na urlop i pokazał synowi filmik, na którym widać dowódcę zastrzelonego przez własnych żołnierzy. Zginął, bo chciał ich wysłać do boju bez przygotowania. Ojciec Saszy tę zemstę pochwala.

W jednym z wywiadów Sieriebriakowa przyznała, że jej twórczość nie jest adresowana do ukraińskiej publiczności w kraju. A to dlatego, że „na Ukrainie dziś nie można wystawić sztuki np. o tym, że mobilizacja już od dawna polega na polowaniu na ludzi, schematach korupcyjnych i nadużywaniu władzy". Wszyscy Ukraińcy i tak doskonale o tym wszystkim wiedzą, ale wystawianie sztuki na ten temat byłoby niebezpieczne. Nikt by nie chciał zagrać w takim spektaklu w obawie przed represjami ze strony państwa.

Nic dziwnego, że antywojennej dramaturgii rosyjskiej nie potrzebują ani Rosja, ani Ukraina. W dobie wojennej propagandy sztuka walki o pokój potrzebna jest zaś tym, którzy chcą zobaczyć autentyczny, ludzki wymiar tragedii, z pominięciem kwestii politycznych czy ideowych. Lubimowka wyraża w dużej mierze punkt widzenia liberalnej, prozachodniej opozycji rosyjskiej. Tej, która nie chce wojny z Zachodem, ale też nie chce występować przeciwko własnemu krajowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

FOT. LEAH MILLS/REUTERS/FORUM

DEMOKRATYCZNA CENZURA

W stanie Maine przedmiotem kontrowersji stały się lekkoatletyczne zawody dziewcząt. Podczas nich w dwóch konkurencjach wygrała osoba transseksualna. W tej sprawie zaprotestowała republikańska przedstawicielka w stanowej Izbie Reprezentantów Laurel Libby. Jej twarde stanowisko spotkało się z nagonką demokratów, którzy wręcz zakazali jej udziału w głosowaniach nad projektami ustaw. Libby poprosiła o interwencję Sąd Najwyższy.

OSZUSTWO NA MANEKINA

Na autostradzie I-5 w Seattle dwóch mężczyzn, z których każdy jechał samochodem sam, chciało bezprawnie skorzystać z pasa przeznaczonego wyłącznie dla pojazdów przewożących co najmniej dwie osoby. Takie pasy to rozwiązanie mające promować wspólne prywatne przejazdy celem zmniejszenia korków. Tymczasem, żeby obejść prawo, mężczyźni posadzili w swoich samochodach manekiny. Policjanci nie dali się jednak oszukać.

ATAK ROBOTA

Do scen rodem z filmów science fiction doszło w jednym z chińskich zakładów pracy. W furię wpadł robot. Zawieszona na dźwigu humanoidalna maszyna w pewnym momencie podniosła swoje ramiona, a następnie je opuściła. Te ruchy powtarzała z coraz większą prędkością i siłą. Następnie zaatakowała swoich opiekunów i ich przedmioty. Ostatecznie udało się nad nią zapanować.

FAŁSZYWA CIĄŻA

W Monterrey (Meksyk) zatrzymano kobietę, która próbowała ukraść odzież ze sklepu. Okazało się, że usiłowała to zrobić, udając, że jest w ciąży. Pod majtkami z wysokim stanem ukryła wiele różnych ubrań, w tym spodnie i T-shirty. Ogromny brzuch kobiety wyglądał tak przekonująco, że niemal udało się jej swój zamiar zrealizować. W ostatniej chwili dała jednak o sobie znać czujność ochroniarza sklepu.

ALPAKA, CZYLI DANIELE

Służby w Bockhorn (Niemcy) zostały poinformowane o tym, że na niezabezpieczonej posesji przebywa alpaka. Trudno było się do niej zbliżyć i dokładnie ją zobaczyć, ponieważ gdy ktoś próbował do niej podejść, płochliwie się oddalała. Tymczasem policja odkryła, że obiekt, który ludzie wzięli za jedną alpakę, okazał się dwoma danielami. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wyrocznia mówi: dość

Warren Buffett – znany na całym świecie jako „Wyrocznia z Omaha" – ogłosił, że z końcem roku zrezygnuje ze stanowiska dyrektora generalnego Berkshire Hathaway i przejdzie na dawno już zasłużoną emeryturę (pierwsze pieniądze zarobił bowiem, mając zaledwie sześć lat, a pierwsze akcje nabył, mając lat 11).

Dziewięćdziesięcioczterolatek zdołał przekształcić Berkshire Hathaway z upadającego producenta tekstyliów w inwestycyjnego giganta wartego 1,16 bln (!) dol., do którego należy ponad 60 różnych firm i który ma istotne udziały w tak wielkich spółkach jak Apple, Coca-Cola czy American Express.

Legendarny inwestor potwierdził, że jego następcą na stanowisku dyrektora będzie doświadczony inwestor, Greg Abel. Buffett wyznaczył go publicznie już w maju 2021 r. Do maja obecnego roku czekał jednak z ogłoszeniem daty złożenia własnej rezygnacji. Sześćdziesięciodwuletni Abel nie będzie miał łatwego zadania. Jego szef zyskał bowiem sławę najzdolniejszego inwestora w historii, który w ciągu 59 lat uzyskał stopę zwrotu na poziomie... 5,5 mln proc. (sic!).

Jeden z najbogatszych ludzi świata – którego majątek Bloomberg szacuje na ok. 169 mld dol – nawet pod koniec kariery nie obnosi się swą fortuną. Od ponad 65 lat mieszka w tym samym skromnym domu w Omaha (w największym mieście stanu Nebraska). Miliardy dolarów przekazał za to na cele charytatywne. A po śmierci do potrzebujących trafić ma cały jego majątek. Buffett nie boi się również wskazywać na błędy polityków (np. wojnę celną wypowiedzianą światu przez Donalda Trumpa) czy innych inwestorów (nazywając popularnego bitcoina „trutką na szczury"). ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

Rada Polskich Przedsiębiorców Globalnych

I Forum Ekspansji Międzynarodowej

Jak zwiększać eksport w erze niepewności geopolitycznej?

Poznaj liderów globalnej ekspansji

- Ryszard Florek – FAKRO
- Krzysztof Domarecki – SELENA GLOBAL EXPERIENCE
- Tadeusz Chmielewski – RÖHLIG SUUS
- Adam Sikorski – UNIMOT
- prof. Małgorzata Podrecka – CANPACK
- Artur Rytel – Green Factory

Sprawdź pełną agendę wydarzenia i poznaj wszystkich ekspertów

ZAREJESTRUJ SIĘ **WWW.EKSPANSJAFORUM.PL**

11 Czerwca 2025

Look Up Skyevents Warszawa

eprasa.pl 2d5f1223d6

Ciemność! Widzę ciemność!

Awaria sieci zasilania 28 kwietnia sparaliżowała Hiszpanię: uziemiła samoloty, wstrzymała ruch pociągów i metra. W wielu miejscach nie było też Internetu

FOT. EUROPA PRESS/ABACA PRESS/FORUM

Jacek Przybylski

Największa od dwóch dekad awaria zasilania, która na kilkanaście godzin sparaliżowała życie w Hiszpanii, to ważny sygnał ostrzegawczy, do czego może doprowadzić polityka gwałtownej dekarbonizacji bez odpowiednich inwestycji wzmacniających odporność sieci energetycznej

Środa, 16 kwietnia 2025 r. To wówczas hiszpański operator Red Eléctrica pochwalił się, że pierwszy raz w historii kraju cały popyt na energię elektryczną tego kraju w dzień roboczy został pokryty ze źródeł odnawialnych. Tego dnia o godz. 11.15 energia z wiatru, słońca i wody wręcz przekroczyła zapotrzebowanie na prąd (produkcja wyniosła 100,63 proc. całkowitego popytu). Najwięcej energii dostarczyła tego dnia energia wiatrowa (256 GWh, czyli 45,8 proc. całkowitej produkcji,). Na podium znalazły się także instalacje fotowoltaiczne (27 proc. całkowitej produkcji, czyli 129 GWh) oraz elektrownie wodne (wygenerowały 129 GWh, czyli 23,1 proc. całkowitej produkcji). Pozostałą ilość energii wyprodukowały m.in. instalacje solarno-termalne (11 GWh, czyli 2 proc.).

Korki od hiszpańskiej Cavy wystrzeliły w górę również pięć dni później. 21 kwietnia instalacje fotowoltaiczne bowiem pobiły rekord z 12 lipca 2024 r., generując o godz. 13.35 aż 20 120 MW mocy chwilowej i pokrywając 78,6 proc. całkowitego popytu na energię.

KOSZTOWNA LEKCJA

Zaledwie tydzień później gigantyczna awaria sieci zasilania sparaliżowała Hiszpanię oraz Portugalię: uziemiła samoloty, wstrzymała nagle ruch pociągów (zostawiając niektóre składy uwięzione w tunelach) oraz metra. Pracownicy biurowi utknęli w windach. Na ulicach pozbawionych sygnalizacji świetlnej powstawały korki. Przed czynnymi stacjami benzynowymi ustawiały się kolejki. Wielu przedsiębiorców musiało zaś zamknąć sklepy. Aby nie dopuścić do masowych kradzieży, władze w Madrycie i Lizbonie wysłały na ulice dodatkowe patrole policji i wojska. Straty szacuje się na co od kilkuset milionów euro po kilkanaście miliardów euro.

Szpitale, dworce czy porty lotnicze błyskawicznie uruchomiły systemy awaryjne – podtrzymywały energię przy użyciu starych, dobrych dieslowskich generatorów prądotwórczych. W podobny sposób ratowały się również placówki naukowe i medyczne, przechowujące materiały biologiczne wrażliwe na wysokie temperatury. W niektórych miejscach przestała działać łączność komórkowa, wielu mieszkańców straciło również dostęp do Internetu. Jak donosił dziennik „El País", wiele osób zgłaszało problemy z wykonywaniem, a nawet odbieraniem

eprasa.pl 2d5f1223d6

połączeń. Część Hiszpanów nie była nawet w stanie wysyłać ani odbierać SMS-ów. Mocno spowolniły też komunikatory typu WhatsApp. Jeden z operatorów, Vodafone, poinformował, że podczas awarii w dużej mierze udało mu się utrzymać sprawność sieci komórkowej, która działała z wydajnością na poziomie 70 proc. Było to możliwe wyłącznie dzięki… potężnym generatorom zapasowym, które są zasilane olejem napędowym.

Europejskie sieci elektroenergetyczne są ze sobą silnie powiązane. Na przerwy w dostawach prądu wywołane awarią w Hiszpanii narzekali więc nie tylko Portugalczycy, lecz także Francuzi. Na szczęście zadziałały zabezpieczenia, dzięki czemu nie doszło do blackoutów w kolejnych krajach połączonych siecią przesyłową. Skutki awarii odczuwano nawet w odległej od Półwyspu Iberyjskiego Grenlandii. Łącznie szacuje się, że blackout dotknął 55–60 mln osób.

W większości miast zasilanie przywrócono jeszcze wieczorem tego samego dnia. Dużo dłużej zarówno hiszpańskie, jak i portugalskie władze utrzymywały swych obywateli w ciemności w sprawie przyczyn awarii. Lewicowy premier Pedro Sánchez przekazał jedynie, że w ciągu zaledwie pięciu sekund krajowa sieć energetyczna straciła 15 gigawatów.

Jak to możliwe? Początkowo wymieniano różne przyczyny. Po wykluczeniu cyberataku głównym winowajcą miało być „gwałtowne zjawisko atmosferyczne". Dziennik „El Mundo" przytoczył jednak wyjaśnienia operatora hiszpańskiej sieci. Przedstawiciele Red Eléctrica na konferencji prasowej przyznali, że pierwsze poważne zakłócenie stabilności sieci odnotowano o godz. 12.33. Zostało ono wywołane nagłą utratą dużej ilości energii w południowo-zachodnim regionie Hiszpanii. Zaledwie 1,5 sekundy później doszło do podobnego zdarzenia. Według firmy konsultingowej Aurora Energy Research – na którą powołał się dziennik „Financial Times" – częstotliwość w hiszpańskiej sieci elektroenergetycznej nagle spadła z poziomu 50 Hz (standardowego w większości krajów Europy) do 49 Hz.

W celu stabilizacji sieci operatorzy wykorzystują zazwyczaj tzw. inercję (bezwładność) systemu. Jej podstawowym źródłem są tzw. masy wirujące, czyli generatory i turbiny używane w tradycyjnych elektrowniach, które krótkookresowo magazynują nadwyżki lub kompensują niedobory energii. W tym wypadku hiszpański operator również próbował ratować sytuację. Problem w tym, że gdy źródła wytwórcze oparte na tym mechanizmie są wycofywane z eksploatacji, a zastępuje się je wrażliwymi na pogodę elektrowniami słonecznymi i wiatrowymi, poziom inercji systemu spada. Konieczne są inwestycje np. w alternatywą infrastrukturę, a tych w Hiszpanii ewidentnie zabrakło. W krytycznej sytuacji utrzymanie częstotliwości na poziomie 50 Hz okazało się niewykonalne. A ponieważ zmiana była większa niż 0,1 Hz, to ze względów bezpieczeństwa tradycyjne elektrownie wyłączały się automatycznie jedna po drugiej. Aby ochronić reaktory przed uszkodzeniem, od systemu automatycznie odłączyło się m.in. pięć hiszpańskich elektrowni jądrowych. Efekt? Produkcja energii dramatycznie spadła, a na ponowne włączenie elektrowni trzeba było czasu.

Szczegółowe informacje, jak doszło do awarii na tak wielką skalę i dlaczego poległy próby automatycznego ustabilizowania się systemu, zostaną zawarte w dopiero opracowywanym raporcie. Premier Hiszpanii Pedro Sánchez – którego gabinet przyspieszył transformację energetyczną i inwestując w rozwój odnawialnych źródeł energii planuje rezygnację z energii jądrowej już od roku 2027 – publicznie odrzucił tezę, że do awarii doprowadziła nadprodukcja z OZE.

Eksperci już w dniu awarii nie mieli złudzeń co do oceny sytuacji. „Ostrzegałem przed tym wielokrotnie. Teraz macie efekty. Blackout w Hiszpanii. Przez OZE. Przez ignorancję w temacie, czym jest utrzymanie częstotliwości 50 Hz w sieci energetycznej" – zauważył na platformie LinkedIn Nikon Gawryluk, ekspert do spraw ciepłownictwa, magazynowania energii i transformacji energetycznej. „Słyszeliście kiedyś, jak »eksperci energetyki« absolwenci prawa, ekonomii albo ministry od energii mówią o częstotliwości sieci? Nie. Bo oni nie mają o tym pojęcia" – dodał i zaapelował, aby pamiętać, że „energetyka to nie polityka". Jego zdaniem „Hiszpania prawie uwaliła całą europejską sieć", ponieważ Hiszpanie

REKLAMA

MOŻESZ POKONAĆ BÓL KRĘGOSŁUPA

ZASTOSUJ LEK Z UZDROWISKA BUSKO-ZDRÓJ!

- Choroba zwyrodnieniowa stawów
- Reumatoidalne zapalenie stawów (rzs)
- Zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa (zzsk)
- Stany pourazowe narządu ruchu
- Bóle i obrzęki po stłuczeniach i zwichnięciach
- Bólowe zespoły: szyjne, barkowe i lędźwiowo-krzyżowe

LEK BEZ RECEPTY DOSTĘPNY W APTEKACH

Skład: w 100 g produktu leczniczego znajduje się substancja czynna: 96,5 g 2,1% wody chlorkowo-sodowej (solanki) siarczkowej, jodkowej z Szybu Soleckiego Uzdrowiska Solec-Zdrój Sp.j. Postać farmaceutyczna: żel. Pozwolenie Ministra Zdrowia nr R/3545.

Podmiot odpowiedzialny: Przedsiębiorstwo Farmaceutyczne Sulphur Zdrój Exim Sp. z o.o., 28-100 Busko-Zdrój, ul. Boh. Warszawy 116a
www.sulphur.com.pl, tel. 41-378-78-93

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

BALS SULPHUR ŻEL SIARCZKOWY

eprasa.pl 2d5f1223d6

„nie mieli czym utrzymać częstotliwości". Ekspert podkreślił, że „panele słoneczne i wiatraki same w sobie nie budują bezpieczeństwa systemu" i wymagają ogromnych pieniędzy na „mechanizmy bilansujące (rezerwy, magazyny, interwencje)". I zauważył, że doskonale rozumieją to Chiny, które choć instalują najwięcej na świecie instalacji fotowoltaicznych i wiatraków, to „trzymają 60 proc. w miksie z węglem, gazem i wodą". „Bo tam system budują inżynierowie, nie politycy celebryci" – podkreślił w swoim wpisu Nikon Gawryluk, ostrzegając: „Jeśli dalej będziemy słuchać ludzi bez wykształcenia i doświadczenia, to Ty albo ja umrzemy w szpitalu, bo nie będzie prądu".

Czy awaria w Hiszpanii, będącej unijnym prymusem w dekarbonizacji, zmniejszy tempo nieprzemyślanego przechodzenia na OZE?

Podobnie kwestię awarii skomentował w mediach społecznościowych profesor elektroenergetyki Władysław Mielczarski z Politechniki Łódzkiej. „Brak inercji spowodował blackout w Hiszpanii, który przeniósł się do Portugalii i Francji. Inercja jest stabilizatorem pracy systemu: działa jako pierwsza i najszybsza" – napisał w swym komentarzu. I dodał: „OZE nie mają inercji. Próbowano konstruować sztuczną inercję, ale nic z tego nie wyszło. Prawa fizyki nie chciały współpracować".

Wcześniej ten sam profesor ostrzegał m.in., że „dekarbonizacja w Polsce to coś w rodzaju próby rozbicia głową muru", zwracał uwagę na to, że coraz liczniejsze problemy trapią z kolei energetykę odnawialną, a także nie zostawiał suchej nitki na lobbystach Zielonego Ładu. Gdy zaś w ubiegłym roku w Sejmie „ministra" klimatu Paulina Hennig-Kloska przekonywała, że „energia z wiatru i energia ze słońca to dwie ważne uzupełniające się nogi, bo tak jest, że w Polsce często, kiedy świeci słońce, nie wieje wiatr, kiedy wieje wiatr, nie świeci słońce", prof. Mielczarski oznajmił wprost na antenie Radia Wnet, że „Minister […] opowiada nieprawdopodobne bzdury". Niewiedzę ministra udowodnił, dając choćby przykład pierwszych dwóch tygodni listopada. „Nie było wiatru. Słońce w listopadzie nawet jeżeli jest, to jest słabe. I przez praktycznie dwa tygodnie cały system elektroenergetyczny w Polsce w ponad 90 proc. pracował na elektrowniach węglowych i gazowych. Z tego elektrownie węglowe dostarczały ponad 80 proc. energii" – wskazał doświadczony inżynier energetyk.

Podobne spostrzeżenia mają również zagraniczni eksperci. Dr Raúl Bajo Buenestado z Centrum Studiów Energetycznych teksańskiego Instytutu Bakera zauważył, że główną przyczyną awarii hiszpańskiej sieci były niewystarczająca inercja i regulacja częstotliwości, będące wynikiem tego, że udział jednostek słonecznych oraz wiatrowych w krajowym miksie energetycznym był zbyt wysoki, aby cała sieć zachowała zdolność do „absorpcji wstrząsów". Doktor Raúl Bajo Buenestado zwrócił uwagę, że tuż przed awarią źródła odnawialne stanowiły 78 proc., a technologie konwencjonalne zaledwie ok. 15 proc. miksu energetycznego. „Ryzyko dużych przerw w dostawie prądu w systemach energetycznych z dużym udziałem energii odnawialnej jest dobrze znane. Blackout na Półwyspie Iberyjskim 28 kwietnia sprawił jednak, że te od dawna znane słabości znalazły się nagle w centrum uwagi" – zauważa dr Raúl Bajo.

I rzeczywiście przed blackoutem wynikającym ze zbyt szybkiego ograniczania tzw. mocy dyspozycyjnych ostrzegało władze w Madrycie nie tylko wielu hiszpańskich ekspertów, lecz także członkowie Europejskiej Sieci Operatorów Elektroenergetycznych (ENTSO-E). Problem nie dotyczy zresztą tylko unijnych polityków. Również brytyjska konsultantka do spraw branży energetycznej Kathryn Porter podczas webinaru UnHerd tłumaczyła, dlaczego polityczne naciski na realizację politycznego programu Clean Power 2030 (jego celem jest osiągnięcie do 2030 r. systemu energetycznego o zerowej emisji dwutlenku węgla) zwiększają ryzyko blackoutów i ograniczeń w dostawach energii. Przykłady kolejnych ekspertów i raportów można mnożyć.

Czy więc wyjątkowo poważna awaria w Hiszpanii – będącej prymusem w dekarbonizacji systemu energetycznego w Unii Europejskiej – zadziała jak zimny prysznic na rozgrzane głowy polityków i zmniejszy tempo hurraoptymistycznego i bezmyślnego przechodzenia na OZE? W Hiszpanii lider partii Vox Santiago Abascal zaapelował już do lewicowego rządu o porzucenie polityki „fanatyzmu klimatycznego". Czy jednak również hiszpańscy wyborcy zażądają od rządzących polityków tego samego? Na razie nie wiadomo.

GOTOWI NA BLACKOUT?

Wprawdzie zdaniem ekspertów w Polsce ryzyko takiego blackoutu, który w kwietniu dotknął mieszkańców Półwyspu Iberyjskiego, jest mniejsze niż w Hiszpanii, to wcale nie jest on wykluczony. Przeciętny Kowalski może zaś sam wyciągnąć wnioski z hiszpańskiego blackoutu. Potężna awaria sieci sprawiła, że Hiszpanie rzucili się do sklepów m.in. po radia na baterie – w niektórych częściach kraju tylko one pozwalały się dowiedzieć, co się dzieje, gdy z komputerów zniknął Internet, a sieci komórkowe nagle przestały działać. Zestawy składające się z odbiorników radiowych szybko zniknęły z półek w Madrycie i innych dużych miastach. Hiszpanie kupowali także baterie, latarki, świeczki oraz lampy gazowe. W wielu miejscach przy kasach płacić można było jednak wyłącznie gotówką, bo przez brak łączności systemy płatności bezgotówkowych stały się w zasadzie bezużyteczne. W czasach dominujących płatności elektronicznych warto mieć więc zawsze przy sobie lub w domu choć trochę banknotów.

Specjaliści od miejskiego survivalu radzą również, aby mieć więc w domu lub w mieszkaniu latarkę z zapasowymi bateriami, proste kuchenki turystyczne, które pozwolą choćby na zagotowanie wody, powerbanki oraz stacje zasilania (to już większy wydatek). Ryzyku blackoutu mogą też zmniejszyć decyzje podejmowane przy wyborczych urnach…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

POLSKA W GUŁAGU

80. rocznica „wyzwolenia" przez ZSRS – Idąc na Berlin, Sowieci plądrowali Polskę, gwałcili, mordowali ludność cywilną, a po wszystkim oczekiwali wdzięczności

Zagadka Göbekli Tepe – Odkrycie w Turcji pradawnej struktury dosłownie wywraca do góry nogami naszą wiedzę na temat dziejów ludzkości

Żelazny sąd – „Ostatni pojedynek" Ridleya Scotta przypomniał widzom o średniowiecznym, przedziwnym sposobie rozstrzygania spraw kryminalnych

Cud nad Dźwiną – Łotewska państwowość rodziła się w wielkich bólach. Przeciwnikami miejscowych niepodległościowców byli nie tylko Rosjanie

Brudna wojna Izraela – Inwazja na Liban miała być spacerkiem, a okazała się bagnem. Najbardziej hańbiącym wydarzeniem wojny była masakra w obozach Sabra i Szatila

Ambasador w sidłach Stalina – Wacław Grzybowski 17 września 1939 r. odmówił przyjęcia sowieckiej noty. A potem walczył o bezpieczeństwo polskich dyplomatów z moskiewskiej placówki

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2d5f1223d6

FOT. PIOTR MAŁECKI/NAPO IMAGES/FORUM

Z Ryszardem Florkiem, prezesem i współzałożycielem FAKRO
rozmawia Karol Gac

Podstawą rozwoju gospodarczego jest równa i uczciwa konkurencja

eprasa.pl 2d5f1223d6

KAROL GAC: Jak pan ocenia aktualną kondycję polskiej gospodarki? Jakie są nasze mocne, a jakie słabe strony?

RYSZARD FLOREK: Naszymi mocnymi stronami są wysoki poziom kapitału ludzkiego oraz położenie geograficzne, tylko niestety nie umiemy tego wykorzystać. Naszą słabą stroną jest bardzo niski poziom kapitału społecznego, jeden z najniższych wśród krajów Unii Europejskiej, co może być dużym ograniczeniem w rozwoju gospodarczym. Trzeba dążyć do tego, aby wszyscy Polacy poczuli odpowiedzialność za rozwój gospodarczy kraju i wspierali rozwój polskich firm, by te mogły osiągnąć skalę niezbędną do konkurowania na rynku globalnym. Kraje, w których poziom kapitału społecznego jest wysoki, są bogate, a te, w których jest niski – biedne. Warunkiem koniecznym jest współpraca wszystkich grup społecznych – polityków, urzędników, nauczycieli, dziennikarzy, konsumentów.

Kolejną słabą stroną jest to, że znaczącą część naszej gospodarki oddaliśmy zachodnim inwestorom. W początkowym okresie znacząco przyspieszyło to nasz wzrost, lecz długofalowo może stanowić ograniczenie dalszego rozwoju. Statystyki pokazują, że te kraje są zamożne, które mają dużo rodzimych firm globalnych.

Aby polskie firmy mogły skuteczniej rozwijać swoją obecność na rynkach międzynarodowych i stawać się globalnymi, konieczne jest wzmocnienie prawa polskiego w obszarze konkurencji. Obecnie Polska dysponuje jednym z najsłabszych systemów ochrony konkurencji w całej Unii Europejskiej. Wielokrotnie apelowaliśmy o jego poprawienie, by uniemożliwiał nadużywanie pozycji dominującej przez globalnych silnych graczy, którzy często naruszając prawo, nie pozwalają się rozwijać polskim konkurentom.

Współzakładał pan firmę FAKRO w 1991 r., a więc tuż po transformacji ustrojowej. Kiedy trudniej prowadzi się biznes – w nieco „dzikich" latach 90., gdy w kraju nie ma niczego, a kapitał zagraniczny agresywnie przejmuje Polskę, czy obecnie – w dobie unijnych i krajowych regulacji, biurokracji i wielu ograniczeń? Da się w ogóle porównać te dwie rzeczywistości?

FAKRO powstało na bazie prostego prawa gospodarczego, gwarantującego swobodę prowadzenia działalności gospodarczej, tzw. ustawy Wilczka. Dziś jesteśmy spętani regulacjami, które kosztują coraz więcej, coraz więcej osób zatrudniamy do obsługi państwa, a nie biznesu. Coraz częściej musimy się procesować z państwem, które powinno nam pomagać, a nie szkodzić.

Jeśli chodzi o FAKRO, to najszybciej rozwijaliśmy się, zanim weszliśmy do Unii Europejskiej, już wtedy sprzedawaliśmy okna dachowe do wszystkich krajów Europy. W 2005 r. – rok po wejściu do UE – zostaliśmy brutalnie zaatakowani przez duńskiego monopolistę, który łamiąc prawo, rozpoczął działania ograniczające nasz dalszy rozwój, wykorzystując brak systemu ochrony konkurencji w Polsce. W efekcie prowadzenie biznesu nie staje się prostsze, a często wręcz trudniejsze – zwłaszcza dla firm, które chcą się rozwijać i konkurować globalnie.

Wielu przedsiębiorców mówi, że chcieliby tylko tego, żeby państwo im nie przeszkadzało. Jakie są największe bariery wewnętrzne, które utrudniają życie przedsiębiorcom? Uznaniowość i nadgorliwość urzędnicza? Niestabilność polityczna? Biurokracja?

Administracja nie rozumie, że to głównie przedsiębiorcy podnoszą średnią wynagrodzeń w kraju, rozwijając swoje firmy. Jeśli liczba miejsc pracy na rynku jest większa niż liczba chętnych do podjęcia pracy, to rynek gwałtownie podnosi średnią wynagrodzeń. Skutkuje to większym wpływem do budżetu, co pozwala na lepszą służbę zdrowia i inne wydatki budżetowe. Urzędnicy wciąż nie rozumieją, że ich decyzje administracyjne bezpośrednio przekładają się na PKB/osobę, czyli średnią wynagrodzeń w kraju. Do tego dochodzi jeszcze zawiść do przedsiębiorców – niestety w Polsce wciąż mamy z tym problem. Brakuje nam przekonania, że sukces jednego przedsiębiorstwa może przynieść korzyści całej gospodarce. W odpowiedzi na te bariery rozwoju powstał postulat, przygotowany przez Radę Polskich Przedsiębiorców Globalnych (RPPG), odnośnie do uzależnienia zarobków urzędników państwowych od wzrostu PKB. Wtedy urzędnicy, chcąc dbać o własny interes, zaczęliby się interesować skutkami swoich decyzji i mieliby na względzie dobro polskiej gospodarki.

Zastanawiam się przy okazji, czy w Polsce większym problemem nie jest samo prawo, lecz jego interpretacja.

Od wielu lat mówię o tym i niewiele się zmienia. Problemem nie jest wyłącznie samo prawo, lecz przede wszystkim jego interpretacja niezgodna z interesem gospodarczym kraju. Zamiast ducha prawa obowiązuje jedynie jego litera, często nieprzystająca do rzeczywistych uwarunkowań gospodarczych. Skutkiem tego przedsiębiorcy, którzy wkładają ogromny wysiłek w rozwój naszej gospodarki, bywają za to niesprawiedliwie karani lub napotykają biurokratyczne bariery uniemożliwiające im dalszy rozwój.

Często w wywiadach podkreślam, że w FAKRO stworzyliśmy na przestrzeni 35 lat 4 tys. miejsc pracy, a jakby nam państwo polskie nie przeszkadzało, to tych miejsc pracy mogłoby być nawet 8 tys. A co najciekawsze, przez to, że bylibyśmy co najmniej dwa razy większą firmą, uzyskalibyśmy korzyści skali, czyli zaoszczędzilibyśmy na kosztach stałych w cenie jednostkowej produktu od 10 do 15 proc. To stworzyłoby przestrzeń finansową na podwyżki dla wszystkich pracowników w wysokości ok. 20 proc., a większa wartość dodana w Polsce spowodowałaby wzrost polskiego PKB o co najmniej miliard złotych rocznie.

Powiedział pan niedawno, że niszczy się ludzi, którzy budują gospodarkę, piętnuje się zysk, a także że brakuje motywowania przedsiębiorców do skalowania swoich firm. Co jest zatem kluczem do poprawy polskiej konkurencyjności?

Tak, w Polsce brakuje klimatu do tworzenia bogactwa. Budujących gospodarkę przedsiębiorców nadal się niszczy, wciąż muszą udowadniać, że nie są kombinatorami czy oszustami. W takich warunkach trudno o motywację do dalszego rozwoju i skalowania biznesu. Wielu, po osiągnięciu pewnego poziomu zapewniającego spokojne życie, woli się nie wychylać, by nie ściągnąć na siebie nadmiernej uwagi urzędnika.

Polskie społeczeństwo nie odróżnia wynagrodzenia dla przedsiębiorcy od zysku jego firmy. Mało kto wie, że w firmie zdolnej do konkurowania na rynku globalnym koszt stworzenia jednego miejsca pracy to ponad milion złotych. Czyli przykładowo: aby firma mogła stworzyć kolejne 10 miejsc pracy, musi

eprasa.pl 2d5f1223d6

wcześniej wypracować 12 mln zysku i od tego zapłacić 2 mln podatku, by mieć 10 mln na te miejsca pracy. Czyli tego „zysku" nie konsumuje przedsiębiorca, tylko konsumuje go Polska. Firmy, które nie mają zysku, nie rozwijają się, przestają być konkurencyjne i upadają.

Odpowiadając na pytanie, co jest kluczem do poprawy polskiej konkurencyjności: na pewno budowanie kapitału społecznego, którego w Polsce mamy duży deficyt, oraz sytemu ochrony konkurencji, którego brak powoduje, że dobre polskie firmy są niszczone przez zagraniczne, globalne koncerny.

jest zbyt dużo jednostek, które pasożytują na złym i skomplikowanym prawie, dlatego tak trudno o skuteczną deregulację.

Od wielu lat staramy się o pozwolenie na budowę hali pod produkcję schodów dla rynku amerykańskiego i jakoś nie możemy jej otrzymać – dlatego tę produkcję uruchamiamy w USA. Również od lat staramy się o realizację projektu „7 Dolin", co dałoby nawet 1 tys. miejsc pracy w regionie, przez co wynagrodzenia na Sądecczyźnie wzrosłyby o ok. 10 proc. – i też nie możemy uzyskać stosownych pozwoleń. Do tego nie potrzeba przecież żadnych deregulacji – wystarczyłaby

Polskie firmy płacą trzy razy więcej za prąd niż firmy we Francji czy w USA, nie mówiąc już o takich krajach jak Rosja, Turcja czy Chiny

A co z kwestiami mentalnymi?

Mentalność Polaków wciąż w dużym stopniu nosi ślady trudnej historii – zaborów, wojen, komunizmu. Wyspecjalizowaliśmy się w walce o niepodległość, a nie potrafimy współpracować przy jej umacnianiu i budowaniu zamożności. Potrzebujemy przejścia z myślenia destrukcyjnego – opartego na lęku, podejrzliwości i braku wiary w siebie – do myślenia twórczego, opartego na zaufaniu i współpracy. To jest niezbędne bo budowania zamożności kraju.

Jak pan ocenia powołanie zespołu do spraw deregulacji pod kierunkiem Rafała Brzoski? Wierzy pan w to, że za intencjami kryje się wola polityczna? Swego czasu deregulować gospodarkę miał Roman Kluska, który boleśnie zderzył się później z machiną administracyjną państwa.

Półtora roku temu jako Rada Polskich Przedsiębiorców Globalnych złożyliśmy na ręce ministra rozwoju i technologii 10 propozycji poprawy polskiego prawa, aby Polacy mogli więcej zarabiać. Do dziś nie mamy żadnej informacji, aby w tej sprawie coś drgnęło, więc nie mam podstaw wierzyć w to, aby rzeczywiście była wola polityczna na zmiany, zwłaszcza że dzieje się to w trakcie kampanii wyborczej. Bardzo cenię pracę i wysiłek Rafała, jednak obawiam się, że może to się skończyć podobnie tak jak z reformami Palikota czy Kluski, a od tego czasu tylko przybywało zbędnych, szkodliwych regulacji. W Polsce dobra wola urzędnika. Minęło już półtora roku nowych rządów, a pozwoleń jak nie było, tak nie ma.

Przejdźmy na wyższy poziom. Unia Europejska dzisiaj bardziej pomaga czy przeszkadza w prowadzeniu biznesu? Pytam w kontekście m.in. Zielonego Ładu, systemu handlu emisjami ETS i wielu innych regulacji.

W założeniu Unia Europejska miała być przestrzenią sprzyjającą rozwojowi, konkurencyjności i wspólnemu rynkowi – i przez wiele lat rzeczywiście tak było. Niestety, w ostatnim czasie coraz więcej regulacji – szczególnie w ramach Zielonego Ładu czy systemu ETS – zaczyna uderzać w konkurencyjność unijnych przedsiębiorstw, zwłaszcza tych z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które nie zdążyły jeszcze zbudować tak silnej pozycji jak firmy z Europy Zachodniej.

Nie jestem przeciwnikiem zielonej transformacji – przeciwnie, zrównoważony rozwój to także część naszej filozofii działania. Ale trzeba to robić mądrze i z poszanowaniem realiów gospodarczych. Obecnie wiele unijnych regulacji zamiast wspierać rozwój, niestety go hamuje.

Największym problemem dla firm są obecnie rosnące koszty energii?

Polskie firmy płacą trzy razy więcej za prąd niż firmy we Francji czy w USA, nie mówiąc już o takich krajach jak Rosja, Turcja czy Chiny. Dlatego widzimy, że wiele firm w Polsce, w których znaczącym kosztem jest energia, zaczyna upadać.

Więcej problemów dla firm generują obecnie europejscy politycy czy polscy urzędnicy?

Problemy mamy nie tylko z unijnymi regulacjami, lecz także z ich rozszerzaną implementacją, a przede wszystkim ze szkodliwą interpretacją przez polskich urzędników. To, co w innych krajach na podstawie tych samych przepisów jest dozwolone, w Polsce jest zabronione.

Mario Draghi w swoim raporcie dla Komisji Europejskiej jasno wykazał, że Unia Europejska przegrywa globalny wyścig i jest daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi czy Chinami, a bez kilkuset miliardów euro ta przepaść będzie się tylko pogłębiać. UE poszła w pewnym momencie w złym kierunku?

Raport Maria Draghiego tylko potwierdza to, co wielu przedsiębiorców obserwuje od lat – przeregulowana Europa traci tempo, a globalni rywale, którzy działają na prostszych zasadach, odjeżdżają coraz dalej. Poszliśmy w stronę nadmiernych obciążeń, biurokracji i kosztownych polityk klimatycznych, zapominając, że nie da się budować silnej, zielonej gospodarki bez zdrowej bazy przemysłowej i silnych firm, zapominając, że musimy być jeszcze konkurencyjni na rynku globalnym. Potrzebne są refleksja i zwrot w kierunku rozsądnego pragmatyzmu – nie chodzi o rezygnację z celów, ale o sposób ich realizacji.

Czego oczekiwałby pan od Unii Europejskiej? A czego od polskich polityków i urzędników?

Podstawą rozwoju gospodarczego jest równa i uczciwa konkurencja, co jest zapisane w traktacie założycielskim Unii Europejskiej. Jednak obecnie Unia robi wręcz coś przeciwnego. Utrudnia rozwój uczciwej konkurencji poprzez tworzenie całej masy nowych przepisów, które mają służyć jedynie koncernom z bogatych krajów Unii, a utrudniają rozwój próbującym z nimi konkurować firmom z nowych krajów Unii. Ograniczając wewnątrzunijną konkurencję, jako Unia przestaniemy być konkurencyjni globalnie.

Kluczowe jest, aby Polska aktywniej zabiegała o rozwiązania sprzyjające krajowym firmom w ramach Unii Europejskiej, podobnie jak robią to inne państwa dbające o własne interesy gospodarcze.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2d5f1223d6

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Schizofrenicy polityczni górą!

Schizofrenia polityczna w polskim życiu publicznym nie tylko nie jest czymś wyjątkowym, lecz przeciwnie – mamy z nią do czynienia na każdym kroku.

Polscy politycy przecież słyną z tego, że potrafią na jednym oddechu wzywać do budżetowych oszczędności, ba – zapowiadać ich wprowadzenie, jednocześnie ogłaszając kolejne własne, i to rekordowo duże, programy rozdawnicze.

Potrafią obiecywać powiększenie zdolności obronnych Polski w chwili de facto likwidowania przez siebie powszechnego poboru do wojska. A potem przez lata wciskać kit, że się nie pomylili, dalej łżąc, że mniej przeszkolonych jako żołnierzy Polaków to silniejsza armia zawodowa.

Potrafią od 30 lat podnosić Polakom podatki na system ochrony zdrowia, w ogóle go nie reformując, więc te gigantyczne pieniądze idą psu na budę – i przy tym zapewniać, że stworzyli system wprost wymarzony, a nie działa on znakomicie tylko dlatego, że te podatki na jego utrzymanie są wciąż zbyt niskie.

Potrafią zapewniać o potrzebie zwiększenia dostępności mieszkań i obniżenia ich cen w chwili uruchamiania przez siebie kolejnego programu dopłat do kredytów mieszkaniowych, który natychmiast prowadzi do kolejnej podwyżki cen mieszkań i znikania ich z rynku oraz nabijania kabz deweloperom.

Potrafią z miedzianym czołem zaczynać zdanie od: „nie zgodzimy się na podniesienie wieku emerytalnego Polakom", a kończyć je frazą: „i pod żadnym pozorem nie przystaniemy na wpuszczanie do Polski migrantów, i to nawet tych szukających tu pracy, a nie socjalnych prezentów". Tak jakby coraz szybciej wymierających, coraz szybciej starzejących się i zazwyczaj szybko przechodzących na emerytury Polaków na kurczącym się polskim rynku pracy mieli zastąpić kosmici.

Ale tak to już ze schizofrenią polityczną jest – w przypadku dotkniętych nią ludzi wiązanie skutków z przyczynami po prostu nie wchodzi w rachubę. I dotyczy to w równym stopniu polityków, co ich wyborców. W końcu, gdyby tak nie było, to żaden wyborca, który nie jest schizofrenikiem politycznym – co oznacza, że z łatwością potrafi oddzielić od prawdy opowiadane mu przez polityka schizofrenika politycznego brednie – nigdy by na takiego polityka schizofrenika politycznego nie zagłosował. A przez to kariera każdego polityka schizofrenika politycznego kończyłaby się na kampanii wyborczej, bo niewybrany nie miałby szans na realizowanie swych obłąkańczych teorii.

Niestety, niemała – i, niestety, wcale niemalejąca – liczba polityków schizofreników politycznych wśród polityków rządzących Polską niezbicie dowodzi, że schizofreników politycznych niemało jest także wśród wyborców. Wśród ich wyborców. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Prezydencki pocałunek śmierci

Liczni „eksperci" orzekli, że sprawa 28-metrowego mieszkania pana Jerzego całkowicie pogrzebała szanse Karola Nawrockiego na zdobycie prezydentury. To bzdura – zwłaszcza w drugiej turze ta kwestia będzie mieć absolutnie marginalne znaczenie. Pozwala najwyżej utwardzić się już i tak twardym elektoratom oraz może kandydatowi PiS odebrać dwa czy trzy punkty w pierwszej turze. To wszystko.

Weto prezydenta Andrzeja Dudy poszło już częściowo na konto Karola Nawrockiego

Znacznie poważniejsze konsekwencje może mieć weto prezydenta Andrzeja Dudy wobec obniżenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Weto motywowane jedynie uwielbieniem dla socjalnej urawniłowki. Głównym i naczelnym uzasadnieniem było przecież po prostu to, że wszyscy mają mieć jednakowo źle, podczas gdy zawetowane rozwiązanie – faktycznie niekompletne, szczątkowe i niespełniające obietnicy wyborczej – oznaczałoby, że tylko część – ale ogromna, mowa o 2,5 mln przedsiębiorców – miałaby lepiej. Reszta miałaby nadal źle – ale nie gorzej niż dotąd (nie licząc bardzo niedużej grupy płacących ryczałt).

Prezydent poparł oficjalnie pana Nawrockiego i chwalił się przy okazji strzeżeniem „zdobyczy socjalnych PiS". Weto Andrzeja Dudy poszło już częściowo na konto Karola Nawrockiego. Ten z kolei zapowiedział, że będzie tę linię twardo kontynuował, i obściskiwał się z Piotrem Dudą – zawodowym związkowcem, szefem Solidarności, wrogiem pracodawców i przedsiębiorców – obiecując, że w każdej sprawie będzie szedł związkowcom na rękę. Dla przedsiębiorców, słusznie rozczarowanych rządami KO i koalicjantów, jest to wyraźny wygnał, że na pana Nawrockiego głosować nie ma sensu, bo nie będzie ich sprzymierzeńcem.

Mówimy o ogromnej grupie, której liczebność znacznie przekracza 150–250 tys. głosów, mogących w drugiej turze stanowić o wygranej. Wetując ustawę, Andrzej Duda mógł dać panu Nawrockiemu pocałunek śmierci, ten zaś, umizgując się do Piotra Dudy, jeszcze to piętno potwierdził. Po tym spektaklu wielu przedsiębiorców 1 czerwca po prostu zostanie w domach. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

OMODA 5 PREMIUM

FOT. JAP

Nowoczesny design – z widocznym z daleka futurystycznym grillem – to tylko jeden z argumentów przyciągających polskich nabywców do zakupu stylizowanego na coupé kompaktowego crossovera, produkowanego przez chiński koncern Chery. Kolejnym argumentem jest stosunkowo niska cena – auto bez wątpienia wygląda na istotnie droższe, niż jest w rzeczywistości. I to zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz.

Crossover kosztujący obecnie w wersji premium 129,5 tys. zł jest już też wyposażony m.in. w dynamiczne kierunkowskazy, sterowane elektrycznie okno dachowe czy system kamer 360 stopni z dobrą jakością obrazu. W cenie są też dwustrefowa klimatyzacja, system bezkluczykowego uruchamiania i dostępu do pojazdu, bezprzewodowa obsługa Android Auto i Apple Car Play oraz system audio Sony z ośmioma głośnikami. Na liście udogodnień wersji Premium znalazła się też elektrycznie otwierana klapa bagażnika. Oko cieszą również wygląd materiałów zastosowanych do wykończenia wnętrza oraz wysoka jakość dwóch dużych wyświetlaczy dominujących w kabinie (12,3-calowego ekranu systemu multimedialnego oraz 12,3-calowego zestawu cyfrowych wskaźników). Oczywiście nie jest to auto z segmentu premium, ale stosunek ceny do jakości wydaje się bardzo atrakcyjny (zapewne z tego powodu Omoda zajmuje trzecie miejsce wśród najczęściej nabywanych nad Wisłą chińskich marek). Miejsca na nogi jest sporo, zarówno z przodu, jak i z tyłu. Wyżsi pasażerowie muszą jednak pamiętać, że coupé oznacza większe ryzyko zahaczenia głową o podsufitkę. Kufer ma 360 l. Nie za dużo, ale kilka walizek już się zmieści.

Pod maską testowanej Omody 5 Premium podobnie jak w tańszej wersji wyposażenia pracuje czterocylindrowy, turbodoładowany silnik benzynowy o pojemności 1,6 l o mocy 147 KM. Maksymalny moment obrotowy tej jednostki to 275 Nm. Dwusprzęgłowa automatyczna skrzynia biegów DCT7 działa precyzyjnie, choć w trybie ECO mogłaby pozwalać na szybsze schodzenie z wysokich obrotów. Na szczęście apetyt na paliwo Omody 5 i tak nie jest jednak zbyt duży. Na trasie średnie spalanie podczas testu wyniosło 5,9 l/100 km.

Chińczycy gorliwie wypełniają wszelkie wymogi unijnych urzędników. System monitorujący, czy kierowca jest skupiony na drodze, działa więc wyjątkowo skutecznie, doprowadzając do tego, że wielu użytkowników zakleja kamerkę podglądającą, na co akurat patrzy kierowca. Sami z siebie inżynierowie Chery zupełnie bez sensu zainstalowali też „inteligentną asystentkę". Kłopot w tym, że nie dość, iż aktywuje się zupełnie nieproszona, to niestety – przynajmniej na razie – jest raczej mało użyteczna.

Jedno jest pewne: jeśli ktoś myślałby o zakupie Omody 5, to zdecydowanie warto dopłacić i zamiast wersją Comfort (za 115,5 tys. zł), wyjechać z salonu wersją Premium.

ECOVACS WINBOT MINI

Kompaktowe rozmiary, cicha praca, możliwość czyszczenia trudno dostępnych miejsc, trzy tryby czyszczenia, skuteczne zabezpieczenie przed nagłą utratą zasilania oraz możliwość obsługi za pomocą aplikacji – to największe zalety najmniejszego robota w ofercie marki Ecovacs.

Jak sama nazwa wskazuje, Winbot Mini jest malutki. Ma 21,5 cm długości oraz szerokości i 5,5 cm wysokości. Dzięki tak smukłej budowie ważący 1,3 kg robot lepiej radzi sobie z myciem okien, które mają różnego rodzaju przeszkody, takie jak ramki mocujące, klamki, kratki etc. Kompaktowa konstrukcja sprawdza się też w przypadku wysokich wąskich okien. Najnowszy robot sprawnie radzi sobie także na pochyłych oknach.

Model jest wyposażony w ultradźwiękowy system natryskowy. Podwójne dysze automatycznie rozpylają środek czyszczący, tak aby usuwać zabrudzenia, a jednocześnie zmniejszać ryzyko powstawania smug.

Robot oferuje trzy tryby czyszczenia: szybkie, głębokie oraz punktowe. Szybkie można sobie w zasadzie darować – jeśli nie myje się akurat czystych okien, to w tym trybie robot głównie rozmaże napotkany brud na większej powierzchni. Lepiej więc od razu wybrać czyszczenie głębokie lub punktowe.

To o wiele skuteczniejsze programy, które pozwalają rzeczywiście umyć szyby, usuwając większość zabrudzeń. Robot na działanie potrzebuje nieco czasu, ale pracuje bardzo cicho (głośność to ok. 63 dB), przez co nie przeszkadza w pracy czy odpoczynku. Wystarczy „przykleić" go do szyby, nakazać sprzątanie i poczekać, aż grzecznie zakomunikuje, że szyba już lśni. Wówczas przekłada się go na kolejną taflę i wraca do innych zajęć. System nawigacji WIN-SLAM 3.0 planuje trasę czyszczenia, co ułatwia czyszczenie nawet większych okien.

Podczas testu sporadycznie zdarzało się jednak, że jeśli robot nieszczęśliwie natrafił na przeszkodę, jadąc pod kątem, to nagle się zatrzymywał i ani myślał jechać dalej (zapewne da się to jednak naprawić jakąś aktualizacją oprogramowania).

Aby można było myć szyby nawet na dużych wysokościach, robot został wyposażony w dziewięciopoziomowy system ochrony. Stabilne przyleganie do szyby gwarantuje wysoka moc ssania, która wynosi 7500 Pa. Wbudowany akumulator o pojemności 3000 mAh sprawia zaś, że robot nie odpadnie od okna w razie nagłej awarii zasilania (pozwoli utrzymać go przyssanego do powierzchni szyby przez ok. 30 min). Cena: 1149 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 2d5f1223d6

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sołonica, czyli rzeź zapomniana

JACEK KOMUDA

Na południe od miasta Łubnie na zadnieprzańskiej Ukrainie znajduje się uroczysko Sołonica, które zapisało się krwawą kartą w dziejach polsko-kozackich wojen. Tutaj miała miejsce rzeź kozackiej czerni dokonana rękoma polskich żołnierzy, która stała się później jednym z mitów przypominanym przez ukraińskich twórców i historyków.

Wszystko zaczęło się w 1595 r., kiedy wybuchło powstanie Semena Nalewajki i Hryhorija Łobody. Kozacy rozpętali falę grabieży na Ukrainie i w Wielkim Księstwie Litewskim. W Mohylowie, który wzięli szturmem, wycięli wielu mieszczan. Wkrótce wyruszył przeciwko nim hetman Stanisław Żółkiewski. Zaatakował tabor Nalewajki pod Pryłuką, zmusił do wycofania na Zadnieprze i tam osaczył mołojców pod Łubniami. Czekała go trudna rozprawa, bo kozacy ufortyfikowali się na uroczysku Sołonica rozciągającym się na przestrzeni 6–8 km, od północnego i południowego wschodu ograniczonym wzgórzami sięgającymi do 100 m wysokości. Od południa i zachodu z kolei otaczały je gęste lasy wzdłuż dolin rzek: Suły i Psioły; od północy osłaniały trzęsawiska, a od południa rzeczka Sołonica. Tabor zaporoski złożony był z dziewięciu rzędów wozów, które ze wszystkich stron otaczał wał. Przed bramami usypano wysokie fortyfikacje polowe wzmacniające obronę. Pośrodku taboru mołojcy wznieśli basteje lub reduty, z których prowadzili ogień strzelcy i artyleria, gdyż Nalewajko miał 24 działa. Na wozach znajdowały się także hakownice. Marek Plewczyński podaje, że wydzielono także odwód konnicy, która mogła kontratakować z wnętrza obozu, a z 1,5 tys. najlepiej zaprawionych w bojach kozaków utworzono trzy rzędy strzelców, którzy obsadzili najbardziej zagrożone ściany taboru. Pierwszy szereg miał prowadzić ogień znad wypełnionych ziemią wozów, drugi spod wozów, trzeci natomiast z rowu okalającego tabor.

RYS. QBA

Kozacy mieli jednak poważne problemy – największym było to, że w obozie znajdowało się 4 tys. kobiet i dzieci, głównie rodzin czerni uczestniczącej w buncie, a także ciężko ranni Zaporożcy wraz z całym dobytkiem. Drugim kłopotem było to, że nie można było spodziewać się odsieczy. Być może dlatego po dwóch tygodniach oblężenia wybuchł bunt – Łobodę rozsiekano, a 9 czerwca mołojcy skapitulowali, wydając Żółkiewskiemu Nalewajkę. I właśnie wtedy doszło do tragedii, której przebieg do dziś jest niejasny. Otóż warunki kapitulacji były jak na okoliczności dość łagodne. Zaporożcy mieli oddać broń i złożyć przysięgę, że nie będą się buntować, po czym odejść... wolno. To jednak dotyczyło tylko kozaków, a nie towarzyszącej im chłopskiej czerni. Żółkiewski nie chciał się zgodzić, aby zbiegli chłopi również odzyskali wolność. Panowie z Ukrainy, którzy służyli w wojsku, mogli zatem wyłapać swoich poddanych, gdyby rozpoznali ich wśród poddających się kozaków. A ponieważ ci nie zamierzali się na to zgodzić, wybuchł tumult w wojsku. Jak pisał Joachim Bielski: „Skoczyli nasi do nich, że ani do sprawy, ani do strzelby przyjść nie mogli i tak ich siekli, że na milę albo dalej trup na trupie leżał. Jakoż było wszystkich w taborze z czernią i żonkami na 10 tysięcy. Z których nie uszło więcej jak półtora tysiąca". Ukoronowaniem masakry stała się kaźń Nalewajki, którego stracono w Warszawie przez ścięcie i poćwiartowanie.

Czy zatem można uznać Sołonicę za punkt zapalny, początek błędnego koła zbrodni polsko-kozackich? Cóż, zdecydowanie nie. Takie okrutne wydarzenia nie były niczym nowym w XVI w. Oczywiście w taborze znajdowały się również kobiety i dzieci, które zginęły. I to już był – co trzeba stwierdzić otwarcie – pierwszy przejaw okrucieństwa, niestety polskiego, w stosunkach z kozakami.

Sołonica jednak nie stała się w wiekach XVI ani XVII symbolem zemsty dla kozaków, gdyż ci zwyczajnie nigdy jej nie wypominali. Ciekawie brzmi informacja podana przez Bielskiego, że część ocalonych buntowników zaciągnęła się potem do wojska koronnego! To świadczy, że w umysłach Zaporożców, przyzwyczajonych do rozlewu krwi, nie było urazy do Rzeczypospolitej. Pamiętajmy też, że zginęła przede wszystkim chłopska czerń, którą prawdziwi Zaporożcy pogardzali niczym szlachta chamami. Sołonica stała się symbolem polskiego okrucieństwa, ale dopiero dla historyków, pisarzy i poetów ukraińskich w XIX w. O Nalewajce pisali Taras Szewczenko, dekabrysta Kondratij Rylejew, pojawiły się o nim dumy, a w XX w. Mykoła Winhranowski stworzył powieść „Semen Nalewajko". Oto jak powstawał i rodził się mit historyczny, którego nie dostrzegali współcześni, nawet pół wieku później. Nawet Chmielnicki, choć wszędzie podkreślał krzywdy Zaporożców, nigdy nie wypominał Lachom rzezi sołonickiej. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kasza antidotum

Kasza jaglana jest jedną z najlepszych kasz, o ile nie najlepszą, dla naszego zdrowia. Pojawiła się na stołach razem z kaszą jęczmienną. Wyróżniają ją od innych bogactwo składników odżywczych i dobroczynny wpływ na nasz organizm. Jest bezglutenowa, alkalizująca, dzięki czemu korzystnie wpływa na utrzymanie równowagi kwasowo-zasadowej, czyli doskonale odkwasza organizm. Szczególnie kiedy spożywamy duże ilości nabiału i mięsa, a mało warzyw i niskowęglowodanowych owoców – wówczas nasz organizm może zmagać się z nadmiarem zakwaszenia. Z pomocą wtedy przychodzi cudowna kasza jaglana – istne antidotum na zakwaszony organizm. Kasza jest pełna złożonych węglowodanów, ma przy tym mało błonnika i jest lekkostrawna. Zawiera żelazo, fosfor, cynk oraz mangan. Będzie świetnie wspierać odchudzanie u osób, które tego potrzebują, a że zawiera dużo białka, idealnie sprawdzi się w diecie bezmięsnej. Same zalety. A jak przygotować kaszę, aby była sypka i pozbawiona goryczy?

Przede wszystkim przed ugotowaniem należy ją opłukać wrzątkiem, aby pozbyć się gorzkiego posmaku. Następnie należy przełożyć ją do garnka i zalać wodą w proporcji 1:2, czyli pół szklanki kaszy na szklankę wody. Taką kaszę doprowadzamy do wrzenia i gotujemy ok. 15 min, następnie wyłączamy palnik i pozostawiamy pod przykryciem ok. 15 min. Kasza powinna być idealnie sypka. Taka jest najsmaczniejsza. Ugotowaną kaszę możemy przechowywać w szczelnym pojemniku przez dwa–trzy dni. A jak i z czym ją jeść? Najsmaczniejsza jest z prażonymi orzechami, migdałami i dodatkiem napoju roślinnego, ale bez dodatkowych słodkich owoców, jedynie z odrobiną miodu (nie chcemy podbijać wyrzutów insuliny). Możemy ją podać z gulaszem mięsnym lub warzywnym, a w połączeniu z ugotowanymi ziemniakami możemy przygotować kluseczki lub kotlety. Polecamy, aby kaszę jaglaną dodawać do sałatek i jeść ją tak często, jak to możliwe w różnych formach.

Kotlety z cukinii i kaszy jaglanej

• 1 średnia cukinia, ok. 300 g • ½ cebuli • 1 duży ząbek czosnku • 1 marchewka średnia • ¼ szklanka kaszy jaglanej • 1,5 szklanki bulionu • 2 duże jajka + 1 do panierki • bułka tarta do panierki • natka pietruszki i koperek (posiekane) • sól i pieprz do smaku • olej lub masło klarowane do smażenia

Cukinię ucieramy na tarce, odstawiamy. Do garnka przekładamy przelaną wrzątkiem kaszę i startą na tarce marchewkę, zalewamy szklanką bulionu i gotujemy ok. 15 min, aż wchłonie się cały płyn. Odstawiamy, żeby przestudzić. Z cukinii odciskamy nadmiar płynu, ucieramy na tarce cebulę i czosnek, dodajemy 2–3 łyżki bułki tartej i mieszamy razem z kaszą, marchewką, natką oraz koperkiem. Dodajemy 2 jajka, wyrabiamy ciasto i formujemy kotleciki. Obtaczamy je w roztrzepanym jajku i bułce tartej, a następnie smażymy na złoty kolor na maśle lub oleju z każdej ze stron. Podajemy z sałatką z pomidorów albo według uznania z inną zieloną sałatą skropioną oliwą albo jeszcze lepiej z sosem jogurtowo-czosnkowym. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jak się (nie)ubierać

Jak się nie ubierać" to był cieszący się sporą popularnością program telewizyjny dobrych parę lat temu. Polegał na seansie przeobrażania źle ubranej/zapuszczonej/grubej kobiety w elegancką/zadbaną/szczupłą.

Bohaterki tego show, dwie performerki damskiej mody – Trinny Woodall i Susannah Constantine – wparowywały do domu ofiary (która, prawdę mówiąc, sama się zgłosiła), rzucały się na szafę i w furii zaczynały wyrzucać jej zawartość. Wszystko wśród deszczu krytyki: tego nie nosisz od lat, to okropne, to było modne 10 lat temu itp.

W drugiej części dwie boginie udawały się z ofiarą do sklepów, gdzie nabywano nowy zestaw ubrań.

Po tym wszystkim następowała przerwa, w czasie której napięcie miało rosnąć – aż do grande finale. Zza kurtyny wyłaniał się nowy człowiek, jakże różny od starego. Elegancki, modny i piękny, uczesany, umalowany. Jednym słowem: nadający się do życia.

Trinny i Susannah przyjechały nawet do Polski. Cel wizyty – zmiana wyglądu nadwiślańskiej rasy. Niezbyt im się to udało, ale może to i lepiej, bo wystrojone w kwiaciaste sukienki z dekoltami, w stylu angielskich ciotek, na wysokich szpilkach Polki czuły się i wyglądały nieswojo. Zauważyłam wtedy, że każdorazową sesję przeobrażania dwie Angielki rozpoczynały od... Zgadnijcie od czego?

Otóż rozpoczynały ją od wciśnięcia kandydatki w bieliznę modelującą, która siłą ssąco-tłoczącą miała uwolnić ją od sadła zgromadzonego w różnych partiach ciała. To oczywiście pomagało, choć kwestii nie rozwiązywało w sposób ostateczny. Bo gdzieś ten tłuszcz przecież musiał się podziać. Miało się wrażenie, że wszystko z bioder i talii wypływało górą.

W każdym razie podobne programy o tego rodzaju metamorfozach cieszyły się popularnością w wielu krajach. Prowadzący byli różni, przy czym wszyscy nieodmiennie i skutecznie wmawiali ludziom, że w naturalnej postaci i własnych ubraniach są do niczego. Jedyne, co może pomóc, to zastosować się do instrukcji profesjonalistów. Którymi byli – jakżeby inaczej – samozwańczy telewizyjni styliści/uzdrawiacze.

Minęły lata i oto w dzienniku „New York Times" znajduję jedną z tych osób. Stacy London wraz z Clinton Kelly, ekspertką mody, prowadziły przez 10 lat w amerykańskiej telewizji program „Jak się nie ubierać".

Pani London, lat 55 (garnitur w kwiatki, T-shirt, pasmo siwych włosów), ma dla swoich klientów nową filozofię. Jest ona dużo prostsza niż ta z poprzedniej epoki. Mówi: noś co chcesz, bylebyś w tym czuł/czuła się dobrze.

Tylko krowa nie zmienia poglądów, czyż nie? ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dylemat słabości

A może wcale nie jest tak źle? Mamy bowiem do czynienia z wojną mocarstw o nowe ułożenie się świata, ale wciąż nie jest to wojna tzw. kinetyczna. Może dlatego właśnie trzeba brać chociażby tak niski pułap oczekiwań za dobrą monetę? Bo przy takim poziomie napięć strukturalnych wychodzi na to, że jakakolwiek zastępcza wojna już niewiele zmieni. Nawet jak się porobią jakieś lokalne konflikty na złość aspiracjom nowych i starych graczy, to i tak ten proces tasowania się dziejów jest niepowstrzymany. I chyba wiedzą o tym (mam nadzieję) mocarstwa wojujące, że istnieje duże niebezpieczeństwo wejścia w konflikt totalny, gdyż konflikty lokalne, przy tym geopolitycznym rozproszeniu interesów mocarstw, będą mogły łatwo przerodzić się w światową zawieruchę.

Jest więc ta świadomość jak… broń atomowa. Ta, będąc w rękach większych graczy i ewokująca grozę wzajemnej zagłady, staje się czynnikiem paradoksalnie gwarantującym pokój. A więc mocarstwa, da Bóg, będą się dogadywać. Napisałem: da Bóg, choć należy się cieszyć już tylko z braku perspektywy wojny kinetycznej. A to w sumie słaba pociecha, gdyż w związku z tym zobaczymy wszystkie inne wojny w jej zastępstwie. Handlową, gospodarczą, ideologiczną czy migracyjną. W sumie należy się cieszyć, bo – być może – przeżyjemy. A to duży luksus, gdyż historia pokazała nam już wielokrotnie, że jak się tasują te karty nowego światowego rozdania, to z tej talii zawsze wypadają blotki krajów mających geopolitycznego pecha, z nami włącznie. Teraz może tak nie być właśnie z powodu tego wzajemnego klinczu samozniszczenia.

Ale przywołane pojęcie geopolityki ma dwa człony. Geograficzny, czyli raczej deterministyczny, bo nie ma co z tą geografią zrobić (dodajmy – pod warunkiem niezmienności granic), i polityczny, z którym można zrobić wszystko. Wykorzystać nasze położenie lub stać się jego ofiarą. Na razie w kwestii politycznej idzie nam słabo, jesteśmy tu raczej elementem biernym. Bierzemy, co nam dają. A dają coraz mniej, gdyż jesteśmy tylko bezwolnym elementem czyichś decyzji i interesów. A taka postawa świadczy o tym, że nie wykształciliśmy przez 35 lat żadnej elity. I – patrząc na osoby, a także tematy obecnej kampanii prezydenckiej – chyba z tego impasu nie wyjdziemy.

Mamy więc dylemat cieszenia się z własnej podrzędności albo padnięcia jej ofiarą. Ale na tak podłą alternatywę sami ciężko zapracowaliśmy, nie budując własnej siły, raz to usypiani w konsumpcyjnej kołysance, raz to wzmagani plemiennymi bojami – w obu wypadkach suflowanymi przez nasze, pożal się Boże, samomianowane elity. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dzieci wojny

Choć od zakończenia drugiej wojny światowej mija właśnie 80 lat, to żyją wśród nas ludzie, dla których wojna się nie skończyła. Konferencja IPN „MAŁE ofiary. Dzieci czasu wojny" zgromadziła ekspertów, ale przede wszystkim świadków. Większość z nich dobiega do 90. roku życia lub go przekroczyła. Niektórzy z nich zostali osieroceni, inni zesłani w głąb Rzeszy, jeszcze inni wspominają obronę Warszawy, gdy czatując na balkonie, ostrzegali mieszkańców kamienicy przed nalotem; są i tacy, którzy przeżyli powstanie w piwnicy na Powiślu. Widzieli śmierć bliskich, masowe egzekucje, ocierali się o śmierć podczas bombardowań, omal nie zginęli z wycieńczenia i głodu. Wojna zostawiła w ich psychice trwały ślad.

W latach wczesnego PRL nie badano traumy, nie zastanawiano się nad wyborem terapii. Obok wspomnień innym, bezcennym świadectwem obrazu wojny i okupacji w oczach dziecka są rysunki z roku 1946 nadesłane na konkurs Ministerstwa Oświaty, realizowany w szkołach podstawowych. Informacje o konkursie zamieszczono w popularnym tygodniku „Przekrój" i 10 autorów najlepszych prac nagrodzono kilogramem cukierków firmy Piasecki oraz czterema kilogramami cukru od Społem. W konkursie wzięło udział 7,3 tys. dzieci w wieku do 13 lat.

Ten wstrząsający zapis doświadczeń – bombardowań, wysiedleń, zsyłek, śmierci bliskich, życia w głodzie, w lęku, w ukryciu – przetrwał w Archiwum Akt Nowych, a ostatnio, staraniem dr Doroty Sadowskiej (UW), został wpisany na Międzynarodową Listę Programu UNESCO „Pamięć świata". Rysunki oglądać można do 16 maja w Centrum Edukacyjnym IPN przy Marszałkowskiej 107. Paradoksalnie ułatwieniem dla wpisania na listę UNESCO polskiego zbioru był współczesny ukraiński projekt konkursu plastycznego dla dzieci opisujący rosyjską agresję na Kijów. Cierpienia dzieci znów znalazły się w centrum uwagi opinii publicznej. A na naszych oczach odchodzi ostatnie pokolenie świadków niemieckiego bestialstwa. Nikt wtedy nie mówił: naziści. Dzieci, podpisując rysunki, nie miały wątpliwości: „Niemiec bije polskie dziecko", „Niemcy wieszają Polaków", „Niemiec zabiera mamę do więzienia".

Zanim Niemcy uznają, że zadośćuczynienie Polsce za straty z drugiej wojny jest niezbywalnym moralnym obowiązkiem państwa niemieckiego, musimy dołożyć wszelkich starań, aby tak jak w przypadku rysunków dziecięcych przedzierać się do świadomości opinii publicznej Zachodu z prawdą o skali naszych ofiar. Cierpienia dzieci łatwiej poruszają ludzką wrażliwość, dlatego spieszmy się słuchać, rejestrować, dokumentować doświadczenia tych ostatnich żywych świadków. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

ĆWIERKOT

A kim ty jesteś?

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Chciałbym coś kąśliwego napisać o mieszkaniu Karola Nawrockiego i jaki to z niego gagatek, ale podobnie jak 99 proc. społeczeństwa nic z tego nie rozumiem oprócz faktu, że jest to podobno gruba afera i jak on tak mógł zrobić, chociaż nie wiem co. Stop. Afera mianowicie polegać ma na tym, że mieszkanie Nawrocki wykazał, ale o nim nie powiedział, czyli ujawnił, ale zataił. Stop. Służby (ABW) o mieszkaniu Nawrockiego wiedziały i powiedzieć o nim nie mogły, bo to informacje niejawne, ale podzieliły się nimi z dziennikarzami prorządowymi i politykami rządowymi w szczegółach. Stop. Czyli służby biorą udział w brudnej kampanii wyborczej przeciw Nawrockiemu, co zaczyna pachnieć polskim Watergate. Stop. Do dokumentów bankowych, które publikowali politycy Platformy, dostęp miała tylko ABW, więc sytuacja jest klarowna. Stop. Najbardziej jednak Nawrocki rozwścieczył Platformę, kiedy postanowił mieszkanie, które kupił, przekazać na cele charytatywne. Stop. Na posłów takich jak Kropiwnicki (a ten uciułał z pensyjki 12 mieszkań) padł strach, że też będą musieli oddawać. Stop.

Nowy Niemiec, przepraszam nowy kanclerz Niemiec przyjechał do Polski, żeby spotkać się z Tuskiem. Stop. Złośliwi twierdzą, że przywiózł Tuskowi plan działań, co ma mianowicie Tusk po kolei robić, żeby w Europie żyło się Niemcom jeszcze lepiej, ale ja w takie pomówienia nie wierzę nic a nic. Stop. Niemniej cały ten nowy Niemiec śmiało oraz bezczelnie sobie z Tuskiem poczynał. Otóż na pierwszym spotkaniu przyjechał w gości i powiedział gospodarzowi, że oni, znaczy Niemcy, nie zapłacą Polsce nic za wymordowanie 6 mln Polaków i za zniszczenie Polski. Taki z niego Niemiec. Stop. Przyznać trzeba, że Tusk bardzo odważnie i nie zważając na osobiste konsekwencje, zgodził się z Niemcem w całości. Stop. Brawo Donald!

Haniebnie niedoinformowani są mieszkańcy Wrocławia, a przynajmniej spora ich część. Stop. Ta niedoinformowana właśnie część przyszła na wiec Rafała Trzaskowskiego na rynek i zaczęła wykrzykiwać, że im się europejski Rafał nie podoba, bo coś tam, coś tam. Stop. I wtedy Sławomir Nitras doszedł do nich krokiem filmowym „ura bura, szef podwóra" i klarował, aby zaniechali wznoszenia okrzyków Rafała denerwujących. Stop. W tym właśnie momencie wyszła ta cała ignorancja, bo jeden potężny pan z tej grupy ministra sportu Nitrasa zapytał z pewną taką bezpośrednią poufałością: „A kim ty jesteś?". Stop. Potem nastąpił jakiś chaos i do nie wiadomo kogo zaczęto krzyczeć: „Narkoman, narkoman!", więc minister machnął ręką i poszedł, bo przecież jest od sportu, a nie edukacji, żeby wszystko tłumaczyć. ©℗

SPODE ŁBA

Dramat lesbijek

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Bardzo ciekawa petycja trafiła właśnie do władz Berlina zarządzających transportem publicznym w stolicy Niemiec. Tylko w czasie pierwszych dni po jej upublicznieniu podpisało ją kilkanaście tysięcy osób. Inicjatywa, wspierana także przez niemiecką partię Zielonych, dotyczy stworzenia w berlińskich środkach komunikacji miejskiej tzw. bezpiecznych stref, w których mogłyby podróżować kobiety. Organizatorzy akcji powołują się na dramatyczne statystyki przestępstw. O ile jeszcze w roku 2014 doszło w berlińskich środkach komunikacji do 68 przestępstw na tle seksualnym, o tyle w roku 2023 było ich już aż 313. Wiceprzewodnicząca klubu AfD w niemieckim parlamencie skomentowała sytuację następującymi słowami: „Na początku lewica i Zieloni obiecywali nam różnokolorowe społeczeństwo, a skończyło się segregacją płci, taką jak w Iranie i Arabii Saudyjskiej". „Bezpieczne strefy" dla kobiet są bowiem specyfiką komunikacji w Kairze, Teheranie, Dubaju i Rijadzie.

Świadomi takich skojarzeń aktywiści z Berlina postanowili zaciemnić nieco szczegóły swojej inicjatywy. „Bezpieczne strefy" w metrze dotyczyć mają osób opisywanych jako „FLINTA". Ten popularny w Niemczech skrót odnosi się do kobiet, lesbijek, osób interseksualnych i niebinarnych, a także transseksualistów i ludzi starszych. Są to tzw. grupy marginalizowane, chronione przed dyskryminacją i opresją. Choć wydaje się jasne, że ofiarami przemocy seksualnej w Niemczech padają raczej kobiety, a sporadycznie tylko podróżujący staruszkowie, to termin „FLINTA" pomaga niemieckim politykom odwrócić od tego faktu uwagę obywateli.

Pomysł ów, choć ciekawy, skazuje inicjatywę „bezpiecznych stref" na przegraną. Jak twierdzi się w Niemczech, tożsamość płciowa jest płynna. Do bycia lesbijką nie trzeba wcale być kobietą, gdyż zdaniem „naukowców i ekspertów" „bycie lesbijką nie musi być powiązane z płcią biologiczną ani kulturową kobiecością". Nic więc nie broni rozkochanym w kobiecych wdziękach przybyszom z Afryki i Bliskiego Wschodu deklarować się w wagonach jako lesbijki noszące spodnie. Czyżby afrykańskie „lesbijki" oraz „osoby niebinarne", które znalazły schronienie w liberalnym Berlinie, miały dalej doświadczać brutalnej patriarchalnej opresji? Czyżby nie wolno im było wyrażać swoich preferencji swobodnie, podróżując do szpitali i biur konstrukcyjnych, w których pracują zapewne świeżo przybyli do Niemiec inżynierowie i lekarze? Dylemat ten rozstrzygać będą zapewne niemieckie sądy. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Tu ze szpionów robi się bohaterów...”

W czerwcu 1953 r. w więzieniu Sing Sing na krześle elektrycznym stracono amerykańskie małżeństwo Rosenbergów – Juliusa i Ethel – którzy wykradli i przekazali Związkowi Sowieckiemu tajemnice budowy bomby atomowej, umożliwiające jej skonstruowanie. Dokumenty ewidentnie dowiodły, że byli sowieckimi szpiegami, ale wyrok odwlekano ze względu na rozpętaną przez Związek Sowiecki ogromną, histeryczną kampanię w obronie Rosenbergów, przedstawianych jako przeciętnych Amerykanów, bojowników o pokój, którzy stali się ofiarami amerykańskiego faszyzmu i sądowego morderstwa.

W kampanii wzięła udział czołówka intelektualistów (głównie zachodnich) – pożytecznych idiotów zafascynowanych Związkiem Sowieckim i komunizmem, m.in. Albert Einstein, Bertrand Russel, Frederic Joliot-Curie, Pablo Picasso, Frida Kahlo, Jean-Paul Sartre (nazwał proces „linczem zbliżającym nas do polowania na czarownice”), Paul Eluard, Louis Aragon, Bertold Brecht, Anna Seghers, Ilja Erenburg. W tym gronie byli także Polacy: pisarz i PRL-owski dyplomata Tadeusz Breza oraz Czesław Miłosz razem ze swoją przyjaciółką, filozof Jeanne Hersh, która – jak pisał Zygmunt Hertz – „go na to napuściła”.

Leon Kruczkowski, czołowy reżimowy pisarz, poseł na Sejm i członek KC PZPR, napisał propagandową agitkę – dramat „Juliusz i Ethel”, przełożony na wiele języków i wystawiany obowiązkowo w teatrach całej Polski. Nie ma w nim słowa o winie Rosenbergów, są tylko niewinnymi, bohaterskimi męczennikami, wiernymi do końca sprawie pokoju.

Małżeństwa Rosenbergów broniła czołówka pożytecznych idiotów zafascynowanych Związkiem Sowieckim. Jean-Paul Sartre nazwał proces „linczem zbliżającym nas do polowania na czarownice”

Nie przyznali się bowiem do winy, choć Ethel, matce dwóch nieletnich synów, obiecywano za to ułaskawienie. Ale, podobnie jak jej mąż, fanatyczna komunistka do końca liczyła na wymianę agentów. A w sztuczydle Kruczkowskiego wygłaszała w celi płomienne mowy, np.: „Mocni i młodzi, tacy pozostaniemy zawsze w pamięci świata! Za pokój, za chleb, za róże idziemy w ręce oprawców!”. Na premierze w Teatrze Polskim Władysław Broniewski krzyczał głośno: „Tu ze szpionów robi się bohaterów, a ja siedziałem na Łubiance i nikt bohatera ze mnie nie robi!”. Gdy wytrzeźwiał, napisał jednak o „szpionach” wiersz „po linii”: „Skończona krwawa rozprawa / Lincz w majestacie prawa / [...] Ameryka nowa powstanie, / zmiecie z ziemi gangsterów, / Mac Carthych, wtedy dopiero / przejrzy robotnicza masa, / powstanie jedna rasa / ludzi szlachetnych jak cienie / tych co zostali straceni”.

Artur Międzyrzecki, poeta, tłumacz, późniejszy prezes polskiego Pen Clubu w wierszu „Dzieci Juliusza i Ethel” apelował do potomstwa Rosenbergów, aby pamiętało o swoich „pięknych, bohaterskich rodzicach, zbawcach czci Ameryki”: „Uczcie się wielkiej miłości do matki waszej. Od niej / Godności się nauczcie i mężnej śmierci czcigodnej. / Od ojca się nauczcie wierności. Wierności serca. / Była tak mocna i wzniosła, jak podły był morderca. [...] Sławimy matkę waszą, Amerykankę Ethel”.

Andrzej Mandalian, sztandarowy wtedy socrealista, w trenie „Na śmierć Rosenbergów” też kreował ich na laickich świętych: „Niepotrzebnie czekają kable, minął ból już / nie ulękli się, nie osłabli, Ethel i Julius / Ludzie spaleni prądem / W kamiennych worach więzieni / Wrócą gniewem i sądem / na swą zhańbioną ziemię”.

Poetka Ludmiła Marjańska zadebiutowała w roku 1953 w „Twórczości” wierszem „Ethel”, bo jej liryków drukować nie chcieli, tylko właśnie ten, zaangażowany, którego się później wstydziła: „Juliuszu, ziarno prawdy rzucone w ziemię nie ginie / tak jak wyrzut sumienia zabrzmi nasze imię / Krew nadaremno w ziemię nie wsiąka / Rozkwitnie wolność w różanych pąkach”. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

GÓRA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Nowa Zelandia – kraj nowoczesny i zaawansowany technologicznie, który zwariował w sensie psychiatrycznym. Mają tam władzę chorych umysłowo szaleńców, a społeczeństwo zamiast pogonić wariatów, ulega grzecznie i pomaga szaleńcom realizować szaleństwa.

Przykład: w Nowej Zelandii uchwalono prawo, które nadaje górze status osoby. Maorysi, czyli rdzenni mieszkańcy tego kraju, wierzą, że góry i rzeki są ich przodkami. Uznano zatem, że góra powinna posiadać prawa osoby ludzkiej. Zdrowy rozsądek oraz światopogląd naukowy przywiezione do Nowej Zelandii przez białego człowieka przestały się liczyć, bo teraz popieramy zabobon Maorysów. Uchwalić można wszystko – że ślimak to ryba, że chłop to baba – i żadna uchwała nie zmieni prawdy obiektywnej, ale… każda uchwała ma konsekwencje prawne, a uchwała idiotyczna ma konsekwencje idiotyczne.

Gdyby w Indiach, gdzie większość obywateli wierzy w reinkarnację, uchwalić prawo, które traktuje reinkarnację jako fakt naukowy, zaczną się kłopoty. Kto jest spadkobiercą mojego majątku po mojej śmierci? Dzieci, które spłodziłem w moim poprzednim wcieleniu, czy może po reinkarnacji właścicielem jestem nadal ja, w tej mojej nowej odrodzonej wersji?

***

Gdy biały człowiek wiózł cywilizację chrześcijańską na krańce świata, ignorował dziwaczne wierzenia tubylczych ludów – niech sobie wierzą, w co chcą, ale to nie ma wpływu na przepisy prawa stanowione przez naszą cywilizację. Teraz biały człowiek zaczyna brać pod uwagę takie rzeczy jak przekonanie Maorysów, że góra jest czyimś przodkiem. Co z tego wynika konkretnie? Góra ma takie same uprawnienia i obowiązki jak człowiek. Czyli góra może głosować, kandydować albo dziedziczyć majątek. Gdybyśmy chcieli tę górę przekopać, bo są w niej rudy żelaza, to będzie atak na osobę, czyli nie wolno kopać. Gdyby deweloper chciał tę górę kupić pod zabudowę, to mamy do czynienia z niewolnictwem, bo kupił osobę. Idiotyzmy.

Nową Zelandię często postrzegamy hurtowo z Australią. W Australii jest przymus wyborczy, czyli obowiązek brania udziału w głosowaniu. Krajów, które zmuszają swoich obywateli do głosowania, jest ponad 20, w tym Belgia. Najczęstszą sankcją, którą te kraje stosują za brak udziału w wyborach, jest grzywna. Gdyby w Nowej Zelandii wprowadzono przymus głosowania, to góra dostanie grzywnę? A skoro góra jest przodkiem Maorysów, to czy traktujemy ją jako przodka żyjącego czy nieżyjącego? Idiotyzmy. Człowiek normalny nie zajmuje się idiotyzmami, a władze Nowej Zelandii, owszem.

***

Niech sobie Maorysi wierzą, w co chcą. Ale czemu reszta społeczeństwa ma się tym przejmować? Zjawisko wzięło się stąd, że starożytne ludy przedstawiane są FAŁSZYWIE, jako honorowe, prawe, bohaterskie, żyjące w zgodzie z naturą itd. Prawda historyczna jest zupełnie inna. Te dawne ludy były co najmniej tak samo beznadziejne, jak my dzisiaj – bandyci, złodzieje, rabusie, zbrodnia, niewolnictwo, wojny, wyzysk… Nie ma się czym zachwycać. Ludy starożytne nie były lepsze od nas, a większość była zdecydowanie gorsza. Maorysi w czasach przedkolonialnych walczyli pomiędzy sobą bez przerwy, a plemię, które zwyciężało, brało pokonanych jako niewolników lub… zjadało na miejscu. Kanibale!!!

Z kolei w Ameryce Północnej byli ci wszyscy Apacze, Irokezi i cała reszta, a my o nich myślimy dziś jak o bohaterach z westernów. Prawda jest taka, że zanim do Ameryki dotarł biały człowiek, tubylcy toczyli nieustające wojny plemienne, mężczyzn wyrzynali, kobiety gwałcili, zapasy kradli, wioski palili, dzieci porywali w niewolę – dziewczynki w celach rozpłodowych, chłopców do roboty; niewolnictwo, okrucieństwo, barbarzyństwo. O skalpowaniu państwo słyszeli? Indianie północnoamerykańscy skalpowali siebie nawzajem! Brali wroga za łeb, nacinali mu skórę na głowie, a potem zdzierali „perukę" na żywca. I co potem z tymi zdartymi włosami i skórą? Wojownicy nosili te trofea przypięte do paska. Nie ma czego podziwiać. Rzygać się chce.

W Ameryce Południowej przed konkwistą istniały cywilizacje, które dzisiaj podziwiamy za piramidy, matematykę i astronomię. Majowie i Aztekowie w ramach swoich obrzędów religijnych i państwowych wyrywali ludziom bijące serca; na żywca. Kiedy Hernán Cortés zobaczył schody piramid lepkie od potoków świeżej krwi, przeżegnał się, a potem wydał rozkaz: WYRŻNĄĆ BARBARZYŃCÓW! I to był dobry rozkaz, ale dzisiaj konkwista jest oceniana jako wyniszczenie rdzennej kultury, przez białych najeźdźców spod znaku krzyża. Pomniki Hernána Cortésa i Krzysztofa Kolumba się obala. Pomniki indiańskich wodzów i maoryskich ludożerców się czci.

***

Donald Trump przywrócił w USA Dzień Kolumba zlikwidowany przez lewicę. To święto obchodzono do niedawna we wszystkich krajach obu Ameryk oraz w Hiszpanii. Krzysztof Kolumb to bohater – zaryzykował życie, majątek, karierę, popłynął na zachód przez ocean, o którym nie wiedział wtedy, jak jest wielki. Był odkrywcą, a jego wyprawę da się porównać z pierwszym lotem na Księżyc – wielki krok dla całej ludzkości. Kolumb dotarł do Ameryki i zawiózł tam cywilizację chrześcijańską, która zlikwidowała skalpowanie ludzi i wyrywanie serc żywcem.

No, ale ponieważ starożytne ludy przedstawiane są dzisiaj FAŁSZYWIE, jako prawe, bohaterskie, żyjące w zgodzie z naturą itd., to w krajach obu Ameryk zaczęto likwidować Dzień Kolumba lub wymieniać na święto „szacunku dla różnorodności kulturowej" (Argentyna), „dzień dekolonizacji" (Boliwia), „dzień oporu ludności rdzennej" (Wenezuela). Trump przywrócił zdrowy rozsądek – obalone pomniki Kolumba będą podniesione. ©℗

eprasa.pl 2d5f1223d6

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

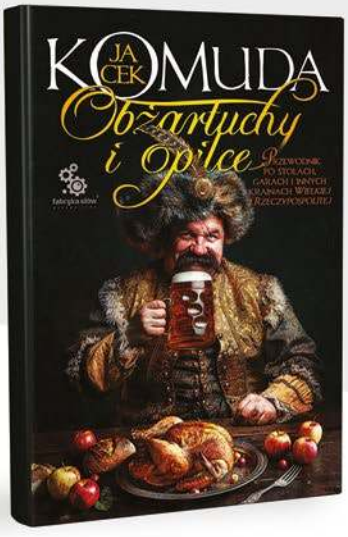

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~575 ZŁ~~

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 302 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2d5f1223d6

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zainwestuj w Do Rzeczy S.A. Kup Akcje Spółki!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Idziemy na giełdę, by budować jeszcze mocniejsze, niezależne medium."

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY"

Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl 2d5f1223d6